

SFINKS

STYCZEŃ, 1911

Agriou

Adres Redakcji: Hortensja 4.
Cena zeszytu rb. 1.

5590





Jacek Malczewski: Portret własny.

SFINKS

CZASOPISMO LITERACKO-ARTYSTYCZNE I NAUKOWE

WYDAWANE I REDAGOWANE

przez

WŁADYSŁAWA BUKOWIŃSKIEGO.

ROK IV. TOM XIII.

WARSZAWA.

Adres Redakcji: Hortensja 4.

1911.



-5590-



MARJAN WAWRZENIECKI.

MYŚLI O JACKU MALCZEWSKIM.

„Sztuka, to ujęcie niewypowiedzianego“.

Goethe.

Duma....

Gwar miasta. Grzmią ulice. Dymy fabryk zaciemniają powietrze. Ryczą samochody, brzęczą elektryczne tramwaje. Chylą się głowy, błyskają łysiny. Oto nabab, milioner wielokrociowy, mknie w pysznym „auto“. Przystają tłumy, okiem zawiści i lęku razem gonią bogacza.

Gorące spojrzenia kobiet ścigają szczęśliwca, gorsy falują wezbrane....

Oto ten, co może uszczęśliwić, ozłocić, ubrylantować, podnieść, oto wszechpotężny „kapitał“ sunął tylko co ulicami. Wszędzie dookoła pełzanie, płaszczenie się, trwożne podwijanie ogona, liczenie się z „kapitałem“ — duchem epoki i chwili.

Tylko tam oto, wśród tego błota i kału ulicy, stąpa człowiek niewielki, ale człowiek *dumny*.

Dama zasiadła na wyniosłym czole, dama strzelała z oka, dama asta rozdyma. Dama szlachetna, podniosła, dama człowieka, na którego czole spoczęła ręka Bogów i wyryła tam znamię niezatarte...

Tak wśród huku i gwaru bogatych a wielkich miast chadzały dachy „mocne“ takich, jak Słowacki, Mickiewicz, Norwid, Matejko, Siemiradzki, Pruszkowski, Gierymscy, Wyspiański...

Samotny wśród mrowia ludzi... Samotny wśród tłumu „zjadaczy chleba“, samotny wśród czerni ludzkiego „moba“, zażarcie waleczącego o powszedni kęs chleba...

Duchy wyniosłe, wielkie, twórcze...

Świadome swej potęgi i bezmiernej wyższości!

Arystokraci ducha

.

I rycząca fala niwelującej wszystko demokracji zliże wszelkie średniowiecza ostatki, poderwie wszelkie przesądów wyniosłości, zaleje i zrówna wszystko, a mimo ten cały zagładowy i wygładzający proces, ponad matematyczną równię, strzeli zawsze, póki świat trwać będzie, *organizacja twórcza*, ta siła żywotna i zapładniająca...

Te najwydatniejsze ducha jednostki świat zawsze dźwigać będzie czy to na zrębach stosów inkwizycyjnych, czy na męczeńskich drzewach krzyżów, czy na skrzypiących ramionach „drzew hańbiących“. Wynosić zawsze będzie tych, co potęgą *myśli* i *czyni* wybiegli ponad ławę czarnego błota ludzkiego.

Ich to oświecać będzie zawsze złocisty promień słońca... oni jaśnieć będą ponad tłumy.

Maż że im myśl o tem, że *przodują*, zdzierać szlachetną damę z czoła?

Więc są dumni, więc są wyniośli, więc są niedo-
stępni, więc są *samotni*...

Stać ich na *moc... samotności!*

* * *

Talent....

Wielkie nieporozumienie panuje u nas co do pojmo-
wania tego wyrazu.

Zdolność odtwórcza, naśladownicza wrodzoną jest
człowiekowi.

Jest to popęd wszechwładny, którego najsilniej wy-
stępuje w „modzie i jej niewolnikach“.

Małpia ta zdolność *malpowania* stroju i giestu bliź-
nich, importowanego nieraz z pod innego nieba i kraju,
zdolność naśladowania bezmyślnego, wrodzona atawis-
tycznie każdemu niemal człowiekowi, której jedynie siła
i napięcie bywają rozmaite, łądzi pierwotną, niekulturalną
w rzeczach sztuki, duszę naszą i rodzi szablonowy szept
„ciotek“: „on ma talent do sztuki“.

Jako tako mozolnie skopjował rycinę z ilustracji,
rysuje domki i drzewa, nieprawdopodobne koniki i krowy,
więc ma „talent“ — decydują „ciotki“.

Niewątpliwie ma to, czem rozporządza niemal każdy
człowiek — „zdolność naśladowniczą odtwórczą“. Umie-
jętnie prowadzony (nauczany) może zyskać pewne wyro-
bienie, możność dobrego widzenia i odtwarzania widzia-
nego. Zmysł b. cenny, a nawet potrzebny w życiu...

Jednak iluż to ludzi umie wybornie kaligraficznie
pisać litery, a przecież daleko im jeszcze do Mickiewiczów
i Słowackich...

Umieją pisać, nawet artystycznie kaligrafiować, ale
tworzyć nawet im do głowy nie przychodzi.

Można znakomicie odtwarzać i naśladować, być fotografem natury, a przecież nie być zupełnie *twórcą*.

Niemcy, ten naród, tak przez nas nienawidzony (sezonowo) i pogardzany, znaleźli trafne określenie pewnego niemal najwyższego rodzaju sztuki: „Neuidealismus“ (Kunstgeschichte von Hermann Ehrenberg, rok 1906, str. 449).

Nowoidealizm—malarstwo z duszy, z serca płynące.—
My, Polacy, którzy nadto wiele a niemądrze o sercu rozprawiamy, nazwalibyśmy ten kierunek *twórczością z serca*.

Zdolności odtwórcze ale nie naśladownicze czerpią się tu z własnych wrażeń serdecznych, przeżytych i odczu-tych przez czuć zdolnego człowieka.

Wyczułe, odziane w kształt i barwę, podaje on w formie obrazu widzowi, a gdy ten również czuć i odczuwać zdolny, wtenczas twórca i widz duchowo działają na siebie wzajemnie. Twórca, zapłodniony przez wrażenia odczute, przelewa je i podaje w mowie malarskiej (kształt i barwa) widzowi, którego myśl usidla i niewoli.

— Chodź za mną,—mówi mi—w kraj nowy, kraj mego ducha.—

A tamten idzie i odczuwa. Czarowna rozmowa dwu duchów—nawiązana. Upajająca, harmonijna, wzajemna wymiana skarbów ducha...

Tak wielkie, twórcze duchy epoki „odrodzenia“ porozumiewały się i jednoczyły z tymi, którzy *chcieli i mogli* „odczuwać“.

Taka wymiana odczuwań—to najwyższy cel i zadanie artysty na ziemi.

Znak umówiony, pojęty i odczuty przez muzyka, rozbrzmiewa dźwiękiem, pada do umysłów i kruszy serca...
Znak umówiony, rzucony na płótno w postaci zarysu i barwy, działa przez oko na umysł i wstrząsa sercem widza.

Potrzeba tu i tam pewnego *poziomu* inteligencji,
pewnej harmonji umysłów, bez tego nie!

Z tem się pogodzić wypada.

Sztuka, to myśl; myśl subtelna i wytworna, tylko
w równie rafinowej myśli dźwięk zbudzić zdolna.

— Zgroza! — rykną demokratyzatorowie...

Niech się obarzają!

Wytworność, wdzięk i subtelność tylko wytworność,
wdzięk i subtelność odczuć i pojąć może.

Jeden upaja się gorzałką, a inny nawet szampana
nie znosi. Jeden pędzi za zgrzebną spódniczką, a dru-
giego nawet jedwabie nie wabia.

Nie rzuca się pereł przed wieprze! Nie rzuca się
pereł myśli przed „mob“! Wara!

Do Sztuki, jak do świątyni, wolno się zbliżać i po-
dnosić, lecz Sztukę ściągać i poniżać, aby unurzana w bło-
cie *rozumieć*... nigdy!

* * *

Twórczość...

Wyraz czarowny, u nas całkiem niemal nierozu-
miany.

Gdy pierś męska wzbierze uczuciem, gdy ze skar-
bniey myśli pocznie czerpać i dobywać; gdy postaszna
ręka pocznie ten *nadmiar* przyoblekać w kształt i barwę,
wtenczas artysta zmienia się w półboga—i tworzy!...

Twórczość—to synteza ducha!

Twórczość—to widomy wskaźnik zasobów umysłu
artysty.

Twórczość—to potężny dźwięk, śpiżowy, idący z piersi
żywego człowieka! Dźwięk, rodzący dźwięki...

Trzeba, by społeczeństwo nasze, niemowlę w sprawach sztuki, nauczyło się cenić i rozumieć twórczość.

Człowiek twórczy w życiu jest u nas niemal unikatem. Artystów twórczych mieliśmy i mamy niewela.

Przed laty 20-ta rozpoczęto u nas krucjatę przeciw twórcom. Pewien umysł zbałamucony a niedorozwinięty *wtedy* na punkcie pojmowania wzniosłych zadań i celów sztuki począł chwały naszego świata sztuki, tytanów twórczości, przybijając do krzyżyków swej ciasnej a bezpłodnej doktryny. Tytany cicho szły na męki. Rwano ich a szarpano, rany zalewając oetem bezmyślnego szyderstwa. Tytany tworzyły i milezały, a oto dziś po 23 latach zmodowana twórczość znowu odżywa. Doktryner sam uznał *i odwołał* błąd swój, ukorzył się przed *majestatem twórczości*. Umysł jego, przywalony mnogością i ogromem twórczych cudów — przejawów potęgi ducha ludzkiego, ukorzył się i krzyknął: Twórczości, zwyciężyłaś!

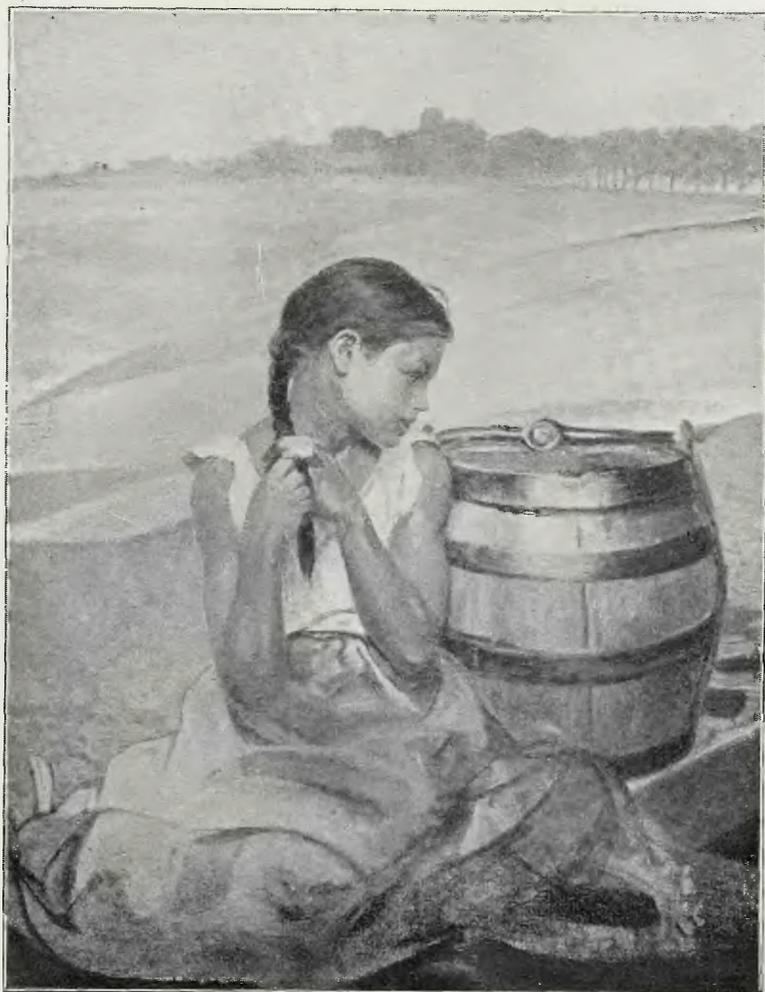
Niech nas to poczy, jaka żywiołowa niemal władza leży w tej ducha ludzkiego mocy, której miano *twórczość!*

Ona obszary płótna pokrywa ruchem i życiem („Grunwald“ Matejki), ona skarży się elegijną pieśnią cichego ideowego cierpienia („Pochodnie“ Siemiradzkiego), ona rzuca światu grozy pełne pytania („Ludzie czy szakale“? Grottgera), ona wstrząsa do głębi tragicznym momentem („Anhelli“ Pruszkowskiego), ona przemawia do naszych serc i umysłów z każdego niemal płótna Jacka Malczewskiego!

* * *

Jacek Malczewski—to *twórca!*...

Przez całą jego działalność artystyczną, od owego plafonu, na którym girlanda nagich ciał mknie śród lazurów, ponad ukwieconym szmatem pola; od owych *etapów*



Jacek Malczewski: Z cyklu „Zatruta studnia“.

pełnych jęku, kajdan i głuchych pomruków skazańców; od owych pieczar kwarcowych, wśród których przykute do tak katorżnych, złamane a szlachetne i godności pełne cierpią orlęta-ludzie; od owych wstrząsających „zgonów“ na wygnania, aż po chwilę obecną, bogatą w dziwne a głębokie, myślą brzemienne, utrwalone wizje—snuje się tęczowa nić *twórczości*.

Pasmo myśli własnej, indywidualnej, wypowiedzianej śmiało i szczerze z janacką niekiedy brawurą. Malczewski odmyka łamas ducha i czerpie zeń bez przerwy, tworząc *swoje* poetyczne wizje.

Więc w pierwszym rzędzie jest Malczewski *twórcą*. Od początku swej artystycznej kariery snuje nieprzerwaną przędzę swych myśli i *utrwała* je na płótnie. Utrwala!..

Trzeba przypomnieć, w jakim okresie sztuki przypadło kształcenie się techniczne Malczewskiego, aby ocenić pewien rozdźwięk, który stale panuje w jego „utrwaleniach“.

Najpoetyczniejszy myślowo pomysł pod pędzlem Malczewskiego traci stale jakąś cząstkę poezji.

Ponura epoka najograniczeńszego *realizmu*—to *epoka kształcenia się* Malczewskiego, jako *wykonawcy*.

Więzienna ciasnota doktryny zamroczyła i przysłoniła wtedy wszystkie niemal umysły. Taki potężny talent jak A. Gieryski, oplątany siecią tej doktryny, całe życie walczył wytrwale przeciw *swojemu talentowi*. On, mistrz „tona“, dławił w sobie wszelkie w tym kierunku porywy, dając blaszany, suchy, fotograficzny obraz natury.

W tej dobie kształcony Malczewski z natury epoki musiał przychorować w czasach swego rozwoju. I oto najpoetyczniejsze pojęciowo jego kreacje cierpią na nieusprawiedliwiony niekiedy *realizm*, który je ściąga i niewoli pełzać po *ziemi*.

On nie może, jak Pruszkowski, oderwać się od ziemi, wzbić na wyżyny poza doktrynerskie, on musi pełzać, przybity jak przepiękny, barwny motyl, przywarty do lepem wysmarowanej gałązki.

Ilekoć staję przed pracami Malczewskiego, przed temi płótnami, przepojonemi głęboką indywidualną myślą, smutek mię przejmując nad *realizmem*, jakim *te poezje obniżono*. Tu szukać należy rozwiązania zarzucanych z cicha Malczewskiemu w pomysłach „zagadek“, „łami-główek“.

Najpoetyczniejsza myśl, wypowiedziana „realnie“, musi budzić rozdźwięk powątpiewania, musi „zakłócać“ skupienie widza, musi bałamucić umysł odczuwający.

Niemiec, Fryderyk Uhde, najrealniejsze wykonanie jednoczy z głębokim poetycznym nastrojem, stworzył pewien „ton“, w którym się zawsze trzyma, i tonem tym okupuje szpetotę typów i ich spolitość...

Malczewski pod wpływem „plenaira“ najromantyczniejsze pomysły stawia w nieubłaganem, jasnym, pełnym świetle...

* * *

— Sercie kobiety! Tak, „wy“ nazywacie to sercem kobiety, może nawet kochajęcem sercem kobiety?

Podajcie no tu skalpel, rzućcie snop elektrycznego światła, przeświećcie to serce kobiece, a zobaczycie, że to *tylko muszkuł... zwykły muszkuł*. —

Tak woła, wbrew założenia myślowemu, niemal każdy obraz Malczewskiego.

I oto źródło zagadkowości, źródło rozdźwięków.

* * *

Wyż wypowiedzianego nie należy bynajmniej utożsamiać z krytyką i wyławianiem stron ujemnych danej artystycznej jednostki.

Historyk sztuki musi obnażać i wykazywać wpływy *prądów* lub *mody* na jednostki artystyczne, aby tem właśnie *ułatwić* zrozumienie, dla czego są one *takie*, a nie *inne*.

* * *

Gdy nieodżałowany Witold Pruszkowski w Elenai Słowackiego widzi zaledwie *przezcucie kształtu niewiasty*. Gdy niezmierną, bezcielesną niemal wizję Słowackiego daje nam w swych utworach, jako mglisty zarys... —

Jack Malezewski widzi tę „wygnankę“ *realnie*, o ciele zwykłej, nawet pospolitej kobiety zesłanki. Każę leżeć a jej realistycznych, zachodzonych i niezbyt nawet czystych stóp Anhellemu katorżnikowi w „dosze“ syberyjskiej, w otoczeniu aż nadto realistycznych akcesorjów.

Gdy Malezewski tworzył swój przepiękny „Zgon wygnanki“, ponarą kartę z życia skazańców na dalekiej północy, był *w zupełnej harmonji* ze środkami wypowiedzania się.

Realny dramat realnie odtworzył. Gdy ze środkami tymi zwraca się ku cudnej, pełnej koloru a subtelnej i wyszukanej finezji poezji Słowackiego, daje nam *zagadkę*, graniczącą z rozezarowaniem.

A przecież *to* właśnie realne wypowiedzanie się, to wprowadzanie wszędzie i zawsze bezwzględnej *prawdy* kształtu, koloru i oświetlenia, to dość niekiedy brutalne przeprowadzenie tematu, to właśnie, co jako *dysonans* musi podznaczyć historyk sztuki, *to* w epoce „walki o byt“, „zgrabienia moralnego“, „zaniku szczerej, głębokiej poezji“ jedna Malezewskiemu *fanatycznych* wielbicieli. Taki wielbiciel „po giełdzie“ staje przed obrazem Jacka i za-

chwycą się *prawdą*, gdy właśnie temat i pomysł wołają o „fałsz“, ale fałsz *poetycki*.

Nadto mają nasi współczesni „zjadacze chleba“ zamącone pojęcia Sztuki, by mogli objąć tego, kto ich w „aniołów“ chce przemienić. Oni i *anioły*—to coś jak *tancerka* a *nosorożec*.

Ilekróć rozmawiałem (naturalnie po „giełdzie“) z takim wielbicielem Malczewskiego, czułem, iż on sam, Malczewski, gdyby usłyszał *te* pochwały, byłby mocno zażenowany, widząc, iż podnoszą to właśnie, co mu obraz *zepsuło*, bo oderwało uwagę widza od tego, co *on* chciał *powiedzieć*, czem on chciał *przemówić* i *oddziałać* na umysł (n. b. nie umysł giełdjarza)....

* * *

I jeszcze jeden *dar zatruty* przyniósł Malczewskiemu *realizm*. Oto koloryt *naturalistyczny*, nieubłaganie *realny*, z całą przypadkowością.

Fauny, zjawy, duchy, rzeczy zaczerpnięte z fantazji i przekrwienia mózgu, wszystko to pilnie, naturalistycznie ukolorowane, wedle barw przygodnych modeli.

Ilekróć *temat* żąda odstępstwa od brutalnej, realnej prawdy, tylekróć *kolor* sprawia Malczewskiemu *złego figla*.

Obniża ten kolor siłę wrażenia, które zamierzył artysta.

I znowa wielbiciele (ci z giełdy) wynoszą *kolorystę* Malczewskiego za *realizm* barwny, którego *im* jest *dostępny*.

Koloryt—to piękna harmonija barw, które wzajem się podnoszą i dopełniają. To piękny *ton* całości, nastrojony *wolą* twórcy wedle *jego potrzeb i zamierzeń*.

W Malczewskiego obrazach *kolor* traktowany bywa jako *złe konieczne*. Skala niewielka, gra w szarych, czę-

sto czarnych oraz szaro-liljowych przejściach. Ale zato niemal każdy obraz jego ma *kiksa* kolorystycznego, który mu szkodzi i burzy harmonię. Wielokrotnie zadawałem sobie pytanie, dlaczego artysta ten przez wprowadzenie jakiejś krzykliwości, zbędnej, tak sam sobie szkodzi?

Odpowiedź na to znajdę jedynie w nadto małym u Malczewskiego *naginaniu* wszystkich składników obrazu ku *jednemu* z góry powziętemu założeniu.

Epoka realizmu wpoiliła mu nadmierne poszanowanie, a osłabiła panowanie nad naturą.

Nadto długo wskazywano mu ją jako *cel*, by zdołał uczynić z niej tylko posłuszny środek do swych własnych artystycznych założeń.

* * *

Zapalony realista-rysownik, aganiący się za trudnościami, lubiący w zawitych skröceniach ciał, w postawach powikłanych a wymagających niezmiernej biegłości oka i sprawności ręki, przepętnia Malczewski swe dzieła popisami swej mocy w tym kierunku.

Zaciekły realista w odtwarzaniu trzechwymiarowej bryły wszędzie i zawsze, bez względu na myślowe założenie, dąży Malczewski do możliwie doskonałego, panoramicznego nieledwie, plastycznego złudzenia.

Niezmordowany, realny obserwator barwy lokalnej przedmiotów barwy te bezwzględnie odtwarza.

Oto czynniki istotne, które historyk Sztuki, przy charakteryzowaniu działalności artystycznej Jacka Malczewskiego, musi brać w rachubę, o ile chce skreślić rzeczywisty wizerunek tej pierwszorzędnej twórczej jednostki artystycznej w naszej Sztuce polskiej,

* * *

Jacek Malczewski, jako myśliciel, twórca, jako wartość artystyczna, to zabłąkany romantyk, nowoidealista (strona dachowa kompozycji) w epokę ciasnego, gnębiącego realizmu.

Niekiedy baczne oko historyka Sztuki dostrzeże w twórczości Jacka momenty tragiczne walki z epoką, walki cichej, trwającej niemal cały okres działalności, walki widocznej przy każdym płótnie; walki tem boleśniejszej, że jest wciąż bojem nierozstrzygniętym.

Okres utworów z kategorii „etapów“, „seen katorgowych“, okres, powiedzmy, czystego realizmu, okraszzonego tu i ówdzie powiewem głębszego, wrodzonego romantyzmu (głowy wygnanek i skazańców), ten cały okres, zrodzony w duszy artysty pod wpływem realnych opowiadań teścia Fortunata Gralewskiego i grupy krakowskiej „sybirjaków“, ten okres do najspokojniejszych i najbardziej harmonijnych w działalności Malczewskiego zaliczam. Tu *cel* i *środki* były najbliżej siebie i wzajem się dopełniały.

Ale dach lotny Malczewskiego potężniał. Tematy wyłącznie realne nadto były ciasne dla tej duszy płomiennej. I oto powstaje okres drugi, Malczewski sięga do Słowackiego, a oparty na znajomości życia „wygnańców“ chce stworzyć na płótnie podobizny poetycznych wizji poety (który nb. Syberji jeszcze dobrze nie znał, gdyż w jego epoce mgliste o katordze i osiedlenia miano w Polsce pojęcia).

Byłem, jestem, a zapewne i pozostanę zdania, iż nie zawsze *można* a prawie zawsze *nie należy* chcieć utrudne wizje poety utrwalać na płótnie.

Jest to u nas pomieszczenie pojęć i brak należytej oceny *zakresu dwu sztuk*.

Gdy czytam poemat, *bezpośrednie* oddziaływanie słowa na moją fantazję daje ten czar, który czyni mię niejako współ-twórcą.

Kunsztowna fantazja poety zapładnia moją i przebudny, złudny obraz rodzi się przed oczyma ducha mego.

Ale niechno obraz ten, pochwycony na płótno, całą brutalnością środków malarskich, środków *namacalnych* odmiennej sztuki, ujęty w ramy i realny, bo kształt i barwa będą zawsze brutalniejsze od wizji ducha ludzkiego, zostanie sprezentowany memu oku i pocznie po *swojemu* działać; wtedy niezmierny rozdźwięk między tem, co *tworzył* poeta w *granicach* swej sztuki, a tem, co *dał* malarz w *granicach* swej sztuki, rozdźwięk wysoce niemiły, a niekiedy nawet bolesny, dotknie ducha naszego.

Jest to przecież takie proste do zrozumienia, że... właśnie mało ludzi nad tem się zastanawia.

Oto przykład brutalny!

Bóg, Twórca, Ojciec nasz, Pan nieba i ziemi. Ileż w umyśle naszym postać taka ma wielkości, siły, potęgi, wszechmocy — przecież to Bóg.

A oto wejdzmy do wiejskiego kościołka. Ściany, malowane ordynarnie, pstrokato, więją kakofonią barw dzikich: z ołtarza wygląda koślawy, biedny, dziecienniawy staruszek, w ręku dzierży niezręcznie metalową kulę (świat), nad czołem jaskrawy nimb, w obliczu prostacki wyraz tępości a ograniczenia...

To Bóg, to Pan, to Wszechmocny nasz władca?

Są rzeczy, których sztuki plastyczne tykać nie powinny.

Najwięksi mistrze, gdy im przyszło dotknąć postaci, których całe piękno leży w tem właśnie, że ich nie znamy, że wizerunki ich jedynie w wyobraźni swej chowamy, połamali swe pędzle i wyszli ze zmagania się niezadowoleni.

Okres tedy odtwarzania nieuchwytnych zjaw poetycznych w działalności Maleczewskiego uważam za mniej szczęśliwy.

Ale Maleczewski, umysł głęboko myślący, stworzył nowy okres; okres dziwnych, myślowo zawiłych, poetyckich własnych kreacji.

Uważam za niewłaściwe z brutalnością anatoma wdzierać się w zawiłe głębie tych własnych pomysłów Jacka; konstatując, że pomysły te wymagają nieraz pisarnego komentarza.

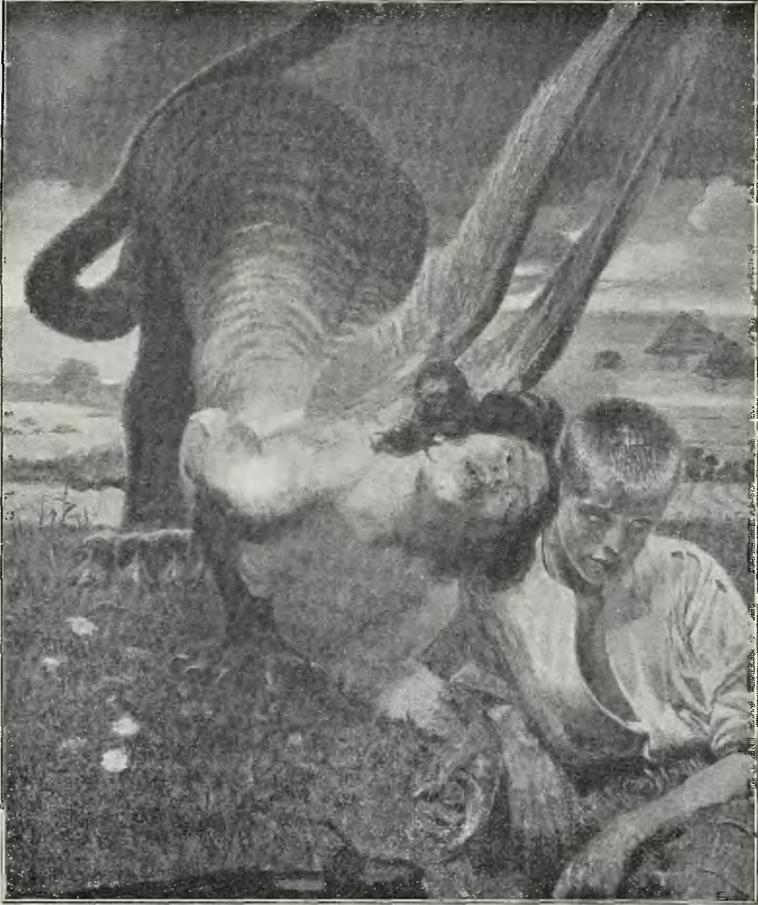
Mnie tu obchodzi jedynie *malarskie* tych tematów *ujęcie*. Obrazy te, na których zawsze istoty *pospolite* pomieszane są z *nadprzyrodzonymi*, mojem zdaniem mają ujemną stronę, iż i te i tamte odtwarzane są *także samą skalą* malarskich środków. Tu *faun* z barwnymi rogami i ligawką; nimfa w kajdanach rdzawych katorżnika, anioł w oklapłych, na tandecie nabytych butach krakowskiego parobczaka, a obok realistyczny zupełnie (tak samo jak tamte postacie) starzec żebrak, młodzieniec łobuz, dziewczyna uliczna; niema kontrastu, wszystko jednakowo *realne*, jednakowo ziemskie i jednakowo często brzydkie.

Realizm *nie na miejscu* niweczy wrażenie bardzo subtelnej i przemyślanej duchowej strony utworu.

* * *

Pasja *realisty*, pasja do *odtworzenia*, znalazła zaiste ujście dziwne w artyście tej miary, co Maleczewski. Oto ukochał on auto-portret. Stanowczo, żaden z naszych malarzy nie „popełnił“ tylu własnych portretów, ile Maleczewski.

Mecenasi i amatorzy co wystawa zwykli nabywać coraz to inaczej *kostjumowanego* Jacka.



Jacek Malczewski: „Przed burzą“.

Portrety te w najdziwaczniejszych „przebraniach“ a zawsze z zaciętkim realizmem malowane, stanowią nie-
lada zagadkę dla historyka Sztuki.

Czy twórca ich zyskuje na ciąglem odtwarzaniu
własnej twarzy, na odtwarzaniu czysto powierzchownem?
Co ma potomnym powiedzieć ta masa auto-portretów?

Lenbach dał tylko jeden i to niewielki swój auto-
portret w galerji Schacka w Monachjum, lecz wyznam, iż
portret ten powie więcej potomnym o autorze, niż prze-
ważna liczba auto-portretów Malczewskiego.

* * *

Malczewski wprowadził do sztuki naszej portret
znanych w Krakowie osobistości, w otoczenia symbolów
czy alegorji. Portrety tę wybornie rysowane, może nadto
mało mówiące „obliczem“ portretowanego, są jednak „za-
ciekawiające“ właśnie przez owe dodatkowe wprowadze-
nia myślowe.

Wyznaję, że nie zawsze mogę odgadnąć, *dłaczego*
artysta takie a nie inne wybrał *dopełnienia*. Nieraz por-
tret człowieka, którego czyny w życiu zdradziły aż nadto
jako brutala, t. j. wykazały, kim był istotnie, malowany
przez Malczewskiego, sprawia wręcz przeciwne wrażenie.
Portretów tych znaczna ilość wyszła z pod pędzla Mal-
czewskiego. Wypadałoby, aby się znalazł komentator tych
prac, bo inaczej mogą pozostać rebusami.

* * *

A może właśnie *ironja* stanie się kiedyś kluczem do
zrozumienia wielu utworów Malczewskiego?

Tak — ironja.

Malczewski od *ludzi* odgrodził się murem *ironji*,

Sfinks.

Jest to człowiek, którego *pozornie* ma tylko ironję i sarkazm na ustach.

„Kpiarz“—mawiali uczniowie. „Kpiarz“, który nigdy „serjo“ nie mówi — powtarzają *dalsi* znajomi.

Dach wyniosły, dumny, organizacja bardzo subtelna i bardzo szczerą, zbroi się w pancierz *ironji*, by *nie każdego* do sanktuarjum dacha swego dopuścić.

Niepodobna Malezewskiego od ironji i ironizacji oddzielić. Już to samo niech wykaże czytelnikowi, iż niełatwa to postać, ten artysta, do ujęcia i charakteryzacji.

Malezewski zatopiony w głębiach własnego ducha, lub wzniesiony na wyżyny bardzo niedostępne, nie da się ująć i należyście określić.

To, co o nim piszą i mówią, zapewne on sam (o ile czyta) czyta z uśmiechem gryzącej ironji.

Osiadły zdala od ludzi, na wsi, przy przedmieściu (Półwsie-Zwierzynieckie przy Krakowie) Malezewski tylko tych „widzi“, których widzieć pragnie.

Wdrzeć się do tej duszy niepodobna. Można tylko próbować uchylić przyłbicy tego niepospolitego w sztuce naszej artysty, ale dać wyczerpujący wizerunek dachowy tej organizacji bardzo złożonej, a bardzo niepowседневnej, niepodobna.

* * *

Jeżeli rozpatrzmy całą dotychczasową działalność Malezewskiego odnośnie do tła „epoki“, w której działalność ta przypada, to mimo wszystko zostanie on zawsze wybitną, twórczą i oryginalną jednostką w naszej sztuce.

Od piętna „epoki“ wyłamać ma się niepodobna, a mimo to tyle *plusów* stoi za Malezewskim, iż zajmuje on pierwszorzędną miejsce w naszej Sztuce.

Od Malczewskiego *poczyna się coś*, to już bardzo wiele. Malczewski jest *sobą!*

Piszący te słowa miał sposobność na własnych barkach wypróbować, ile kosztuje wśród zatęchłych naszych stosunków usiłowanie *bycia sobą*.

Malczewski był i jest, a ufam, że i pozostanie *sobą*.

* * *

Jak wyżej udowodniłem, oparty na *realizmie* ma on tę przewagę, iż widzom *się zdaje*, że go *rozumieją* i *wielbią*, ale istotnie nie za to, co w nim *wwiełbienia godne*, lecz za *pozory dostępne ich umysłom*.

Dzięki temu nieporozumieniu wychodzi Malczewski *cało*, a nawet cieszy się uznaniem t. z. mecenasów. Istotna jego wartość daleko przenosi zasoby inteligencji wielbicieli i tylko historyk Sztuki, i to historyk o pewnej *głębi*, może się nad tą wartością *inną* zastanowić.

Wartość ta *inna*—to niezniszczalny przymiot artysty, to pierwiastek, który przetrwa wszelkie mody, kierunki, narzucenia i skrzywienia, to feniks, który ze wszelkich ogni zawsze jednakowo żywy i piękny wołać będzie potomnym; „Jam jest, którym jest“!

* * *

Historja ludzkości przekonywa nas, że niezniszczalną jest tylko *potęga twórczego ducha ludzkiego*.

Kto na niej oparł pracę życia swojego, ten budował na opoce.

Malczewski na potędze twórczej ducha się opiera i do ostatnich kresów istnienia ludzkości w dachach budzić będzie echa.

Mimo przewroty, mimo burze losowe, mimo gwałty
a przemoce, duch trwa i zawsze w duchach budzi echa!

Kto się na takich opiera podstawach, ten trwać
musi!

* * *

W tych luźnych o Malezewskim myślach starałem
się utrwalić wrażenia, które mi moje wieloletnie wżycie
się w jego działalność artystyczną nasuwało.

Daleki od mniemania, bym temat wyczerpał, rzucam
te luźne myśli myślącym czytelnikom do rozwagi, a Sztu-
ce naszej życzę, by więcej miała takich jak Malezewski
bojowników!

Kraków—Warszawa, 1910.





WILIAM SZEKSPIR.

SONETY. *)

Tłumaczył Artur Górski.

29.

Kiedy, z fortuną i ludźmi w rozterce,
Wyrutek, gorzkie, samotne łyżę piję,
Na los swój patrzę i klnę moje serce,
I w głuche niebo próżno krzykiem biję,
Życząc mieć urok tamtego czy postać,
Tego nadzieję lub przyjaciół grono,
Innego sztuce lub wiedzy chcąc sprostać,
Najmniej rad z tego, czem mnie obdarzono;
Tak sobą gardząc, gdy twoje kochanie
Wspomnę, mój cały dach, jak ptak skowrończy,
Od mrocznej ziemi na słońca świtanie
Wzbija się w niebo i tam hymn swój kończy;
Bo za twej słodkiej przyjaźni wspomnienie
Z królami świata losu nie zamienię.

*) Cyfry nad sonetami zachowane z oryginału.

61.

Twojaż to wola, że w noey twa zjawa
 Trzyma otwarte me oczy stradzone?
 Czy na to cień twój przede mną tu stawa,
 By sna z mych źrenic zdejmować zasłonę?
 Jestże to dach twój, wysłany tu w gości
 Aż do mnie, aby mię śledził, co czynię,
 I miał podstawę do twojej zazdrości,
 Zastawszy w jakiej niegodnej godzinie?
 O nie! twa miłość nie jest takiej mocy:
 To moje, moje wierne serce marzy
 I oczy moje rozwiera po nocy,
 Barząc spoczynek dla bezsennej straży:
 Tak strzegęć; ty zaś przez losu igrzysko
 Ode mnie zdala, a innych zbyt blisko.

116.

Niech mi nie wątpią we związek przyjaźni
 Wiernych umysłów. To nie miłowanie,
 Co w zmianach losu odmianą się błażni
 Lub z odchodzącym w oddali ustanie:
 O nie! jest ono niewzruszoną wieżą,
 Uragą barzom budową niezłomną;
 Jest gwiazdą łodziom, której dal odmierzą,
 Ale wartości nie znają, nie pomną.
 I nie jest miłość Czasu kpem, choć różę
 Ust i oblicza jego kosa zmiata,
 Lecz trwa przy godzin i tygodni wtórce
 Silniejsza niż czas — aż po koniec świata.
 Jeśli się myślę i sam jeśli błądzę,
 Nigdy nie pisał, nie kochał — jak sądzę.

66.

Znażon do głębi w tym świata obrocie,
 Chcę zgonu — widząc zastagę, jak żebrze,
 I czystą wiarę w krzywoprzysięstw błocie,
 I Nic — chodzące we złocie i srebrze;
 I cześć dziewczęcą na nierząd złowioną,
 I czysty honor podany w odprawę,
 I świetną dzielność niesłasznie skrzywdzoną,
 I siłę zmiętą przez wodze kulawę;
 I sztukę, kneblem tłumioną przez władzę
 I prostą wierność z przewiskiem prostoty,
 I głupstwo ponad rozumem w przewadze,
 I dobro u zła w obroży heloty;

Znażon tem wszystkiem, odszedłbym już prawie,
 Gdyby nie troska, że ciebie zostawię.

71.

Nie dłużej żałuj mię po moim zgonie,
 Aż gdy ustaną bić posępne dzwony,
 Ogłaszające, gdzie składam me skronie,
 Z lichego świata w lichszy dom złożony:
 A jeśli czytasz te słowa, to proszę,
 Nie pomnij na tę piszącą je rękę;
 Tak cię miłuję, że raczej przenoszę
 Niepamięć o mnie, niż żalu adrekę.
 Rzucasz li jeszcze w te wiersze spojrzenia,
 Kiedy ja może będę równy glinie,
 Już nie wymawiaj i mego imienia,
 Niech razem ze mną nasza miłość zginie;

Poco nieść świata na oczy swą żałość,
 By ci urągał za tę dla mnie stałość?

110.

Tak jest, niestety, znałem co bezdroże,
 I pstry dla oczu, własne myślím ranił,
 Sprzedawał tanio co najdroższe może,
 Przez nowe żądze żal dawnych tumanów;
 Co więcej, obo i tylko z ukosa
 Patrzyłem w prawdę; jednak te błąkania
 Dały mi drugiej młodości niebiosą,
 A mniej ene — cenę twego miłowania.
 I już zapadło, mam co nieprzemienie,
 Porzucam dawnej ciekawości próby,
 Twojej przyjaźni zamieszkać świątynię,
 Serca mojego odtąd boże luby.

Bądź mi miłosiw, i otwórz ty jeden,
 Twej piersi dla mnie błogi, czysty eden.

105.

Nie nazywajcie tego bałwochwalstwem
 Ani idolem przedmiotu mej cześci,
 Że mój rym zawsze z tem samym zachwalstwem
 To samo kołem opiewa i pieści.
 Wdzięcznem jest moje kochanie codziennie,
 Jutro jak dzisiaj, stałością swą dziwne,
 Przeto się wiersz mój przewija niezmiennie
 W tem jednym — rzeczy mijając przeciwne.
 „Jasne i wdzięczne i wierne“ — powtarzam,
 „Jasne i wdzięczne i wierne“ — te słowa,
 Zmieniając inne, odmieniam, przetwarzam;
 W nich się ogromna treść potrójna chowa.

„Jasne i wdzięczne i wierne“ — tym razem,
 Rzecz rzadka, jednym złączone wyrazem.

5.

Te, co to miłe ead oczom oblicze
 Rzeźbiły—godnie pracowne godziny
 Małaczko między tyrany policzę,
 Co dzieło chluby obróć w ruiny:
 Czas zawsze skory, nie staje w pół lata,
 Lecz je w zatrąę przywodzi ka zimie;
 Tężęją soki, liście wiatr rozmiata,
 Gdzie był czar — pustki i śniegi w zadymie.
 A przeto — gdyby w kryształowe ściany
 Nie był ów lotny eliksir schwycony,
 Dar lata — jakże byłby zapomniany
 Urok tych kwiatów i jak całkiem płony!
 Tak kwiat, co zimą w essencji się kryje,
 Zrzucił swą szatę; ale duszą żyje.

6.

Podobnie w tobie, nim zrzucisz tę szatę
 Cieleśną, zima niech lata nie niszczy:
 Uczyń swój kryształ; i piękno bogate
 Zachowaj, z własnych uleciawszy zgliszczy.
 Nie są to lichwy wzbronionej sposoby,
 Gdy dłaźnik wesół płaceniem surowszem;
 Tak ty płac własnej zdwojeniem osoby,
 A jeśli dziesięć za jeden — i owszem;
 Szcześliwszy pono byłbyś dziesięć razy,
 Widząc dziesięćkroć odbitą twą postać:
 Czem wówczas śmierci dla ciebie przerazy,
 Gdy ginąc, żywym umiałeś pozostać?
 Zruc samolubstwo — zbyt piękne to lice,
 Aby robactwem były tve dziedzice.

1.

Wdałym istotom, by się życie przedło,
 Pragniem; niech piękno nie traci się z różą,
 Owszem, gdy czas ją uczyni świędłą,
 Niech ją uroczę potomki powtórzą:
 Ty zaś przed swemi własnymi oczyma
 Trawisz się ogniem, co się w tobie kłębi,
 Tam szerząc głody, gdzie nadmiar się wzdyma,
 Sobie wróg, własnej naturze gołębicj.
 Dziś jesteś ziemi ornamentem świetnym,
 Heroldem wiosny, zwiastującym o niej,
 Lecz, gnębiąc wszystkoś w jednym pędzie kwietnym,
 Mraka, przez skąpstwo jesteś tym, co trwoni.

Pożalaj świata, lub, chciwa istoto,
 Ukryj, coś winien, pod grobu robotą.

2.

Gdy na twe czoło padnie lat czterdzieści
 I bruzdy zorzą twej piękności łany,
 A młodość, dzisiaj w podziwie i cześci,
 Zmieni swą szatę w żałobne łachmany:
 Wówczas, spyta kto, gdzie ten cudny człowiek,
 Gdzie jest ów klejnot twoich dni wesela,
 Odrzec mu wzrokiem z pod zapadłych powiek
 Wstyd to niesławny i chwalby niewiela.
 Ileż twa gładkość byłaby użyta
 Lepiej, byś mógł rzec: „Owo wdzięczne dziecię
 Jest mym zrachunkiem, gdy czas mój przekwita“, —
 W niem spadek piękna budując na świecie.

Tak będziesz młody, kiedy będziesz stary,
 I, chłodny, krwi twej znów obaczysz wary.

4.

Tak pasto trwonić twą piękność bezcenną
Czyż byłbyś laby samotnika zdolnym?
Nie darem daje natura, lecz w lenno,
I, sama wolna, powierza je wolnym.
Jak możesz bowiem, skąpcze przeuroczy,
Zużywać dobro do dawania dane?
Gdzie się, lichwiarzu, twoje złoto toczy,
Jeżeli życie tobie jest nieznane?
Złotem tem z sobą ty kapeząc jedynie,
Siebie o siebie przyprawiasz o stratę;
Lecz co — gdy w życia ostatniej godzinie
Z rachunku tego spytają o spłatę?

Strwonisz ty urok, zamknąwszy go w skrzyni
Grobowej—co cię bez dziedzica czyni.



ELIZA ORZESZKOWA.

WSPOMNIENIA.*)

CZEŚĆ PIERWSZA.

Panu Aurelemu Drogozowskiemu.

Wspominać jest to przechadzać się po cmentarzu, na którym śpią pogrzebane w mogiłach nietylko postacie i rysy ludzi, na sposób różny dla nas zginionych, lecz również zginione, pomarłe obrazy miejsc, sceny życia, stany własnej naszej duszy. U każdej z tych mogił tkwi oddarta nam od serca szmatka, mniej lub więcej zakrwawiona, niekiedy umoczona w złocie słońca lub różaności jutrzenkowej, lecz daleko częściej opalona w ogniu bóla, jakiegokolwiek bóla, pochodzącego z żalu, z zawodu, z tęsknoty, czy poprostu z uczucia przemijalności wiekustej, niezłomnej i powszechnej. To ostatnie uczucie nie-najmniej jest dolegliwe; owszem, dolegliwość jego zwiększa się przez powszechność i niezłomność zjawiska, czy prawa, które je obudza.

*) Przedruk wzbroniony.

Poco więc wspominać? Poco chadzać na ementarze? Jest to również prawo, rządzące ludźmi, któremu przecież jedni mniej, inni więcej są podlegli. Znam ludzi, z długą już za sobą przeszłością, którym pamięcią silnie wstrząsnąć potrzeba, aby¹ wydzieliło się z niej choć jedno wspomnienie. Znam ludzi, nie posiadających ani skłonności ani zdolności do wspomniania. Są to ludzie trzeźwi, praktyczni, pochłonięci dniem dzisiejszym i z łaski natury pozbawieni asposobień elegijnych. Wielka to łaska, bo tony elegji smatne są i zmierzchem smatka zalewają serec, a oprócz tego jeszcze skrywać je w sobie potrzeba, bo nadzą, albo rozśmieszają ludzi; któżby zaś chciał sobą ludzi rozśmieszać lub nadzić? Wszystkie takie asposobienia, jak elegijność, sielankowość, wrażliwość, tkliwość etc. etc., nie są żadnymi dobrodziejstwami natury, ani takimi przymiotami, któreby w walkach i wyścigach życia służyć mogły człowiekowi tak, jak pazury służą lwom, kły wilkom i skoki zającom. Mówię to nie bez żalu, bo właśnie we mnie natura wyspała asposobień tych garść bardzo sporą; pomiędzy innymi dała mi elegijność, skłaniającą do wspomnień. Jestem ogromnie skłonny do wspomniania i mam w tem ku pomocy pamięć bardzo dobrą i dokładną. Zmusza mnie to często do chodzenia po ementarzach, co wesoleści życia nieszczególne oddaje usługi.

Poco spisywać wspomnienia? W ogromnej większości wypadków nie warto czynić tego, ale są i takie, w których może to przynieść pożytek podobny temu, jaki przynosi wszelkie wogóle pisanie: jeżeli człowiek był świadkiem wypadków ważnych, niedość jeszcze dla ogółu wyświeltlonych, jeżeli sam brał udział w jakichś wypadkach, czy w pracach publicznych, jeżeli posiada w sobie jakąś psychikę, różniącą się od psychiki ludzkiej najpospolitszej, jeżeli wspomnienia, czy wyznania jego mogą rzucić jeden

więcej promień światła na cokolwiek w życiu powszechnem, czy w naturze człowieka, co dość mu jasnym jeszcze nie jest, a o czem wiadomość użyteczną być może i t. d. Zdaje mi się, że wszystkie powyższe okoliczności zachodzą w stosunku do mnie. Czuję się w obowiązku opowiedzenia wielu rzeczy widzianych, doświadczonych, przepłynionych przed oczyma przez serce i głowę. Być może jednak, że spełnienie tego obowiązku i tego zamiaru, unoszona prądem wrażeń, potrzeb i zatrudnień życia, długobym jeszcze odkładała, albo i wcale ich nie spełniła, gdyby mię do tego nie zachęcały, nie zmaglały niejako rady i życzenia Pana. Do pobudek natary oderwanej i ogólnej przyłączyła się pobudka, z uczuć osobistych pochodząca. Chcę zadość uczynić życzeniu Pana, chcę w życiu Pana wykrzesać to drobne światełko, które powstaje zazwyczaj ze spełnienia się jakiegokolwiek życzenia naszego. — Piszę, już piszę.

O wszystkim, czego doświadczyłam, co czułam, o wszystkich kolejach losu mego i ich przyczynach pisać nie będę. Są wśród nich rzeczy takie, o których pisać wprost nie warto, i takie, na których opisywanie i odstawianie przed światem nie zgadza się serce moje lub sumienie. Jakkolwiek prawdziwem jest zdanie, że wszyscy za pomocą własnych przymiotów naszych, dobrych zarówno jak złych, szpetnych zarówno jak pięknych, wykrywamy losy nasze, to jednak szczęścia i nieszczęścia, zażożenia lub zbogacenia, najczęściej przybywają do nas za pośrednictwem innych ludzi. Co więcej, nieszczęścia i zażożenia takie, jak utrata wiar, ufności, złudzeń, przybywają do nas najczęściej za pośrednictwem tych ludzi, których kochamy. Obojętni i dalecy niewiele przeciwko nam mogą; cierpimy zazwyczaj przez kochanych i blizkich. Nie potrzebowałam nigdy zabraniać sobie odstawiania tego, co poczytywałam względem siebie za błąd lub winę kogoś, z kim wiązały mię krótsze, czy trwalsze,

słabsze, czy silniejsze węzły przywiązania i dni przeżytych wspólnie. Nie potrzebowałam zabraniać sobie, bo był we mnie wstręt ku temu wrodzony i nieprzewyciężony. Trzebaby chyba tortur, niepodobnych do przeniesienia dla ciała mego, aby dusza moja wydała przez usta me skargę i obwinienie przeciw tym, którzy na jakikolwiek sposób byli mi kiedykolwiek drodzy i z którymi jeden choćby dzień jasny przeżyłam.

Nie będę więc pisała o niczem, co ma związek z przywarami, lub winami ludzi, w których najbliższem otoczeniu życie mi upłynęło, lub od których w mierze jakiegokolwiek, szczęście, czy nieszczęście moje kiedykolwiek zależało. Większość ich już nie żyje. Niech śpią spokojnie. Pamięć ich i imiona nie doznają ode mnie obrazy ani ujmy. Ale stąd, w osnowie wspomnień, w logicznem powiązaniu momentów i faktów, muszą powstać przerwy i próżnie. Pewne składniki życia i duszy zostaną niewytlómaczone, ale inaczej być nie może. Nie będzie to autobiografia, ściśle łącząca się z datami, nazwiskami, t. zw. okolicznościami. Będzie to garść obrazów i wyznań, mających dwa cele: opowiedzenia rzeczy ważnych i poważnych, na które patrzyłam, w których przyjmowałam udział, oraz ukazanie tych właściwości charakteru, czy umysłu mego i tych wewnętrznych procesów duchowych, przez które stałam się pisarką, przez które pisma moje powstawały i były takiemi, jakiemi były. Jak w życiu mojem praca pisarska posiadała miejsce i znaczenie, bardzo nad innymi składnikami jego przeważające, tak i we wspomnieniach tych historyce i krytyce pism swoich szerokie poświęcę miejsce. Nie dlatego, abym pismom tym szczególną wartość i wagę przypisywała, o nie! Wielec od tego oddloną jestem. Ale nie bez zajęcia i korzyści dla innych będzie odślonięcie procesów duszy pisarza, tych pobudek wzlotów, osłabnień, zwątpień i znowu zapałów

i natchnień, które nią rządziły i poruszały; tu nie mi nie przeszkodzi odstawiać sprężyny najtajniejsze i z żywym dla siebie samej zajęciem dokonywać będę tej sekcji duszy człowieczej, którą natura obdarzyła wszystkimi człowieczymi cechami i jedną więcej. Jest to coś podobnego do cielęcia, któremu natura dała, jak wszystkim cielętom, parę oczu i jedno jeszcze oko więcej. Widziałam raz ogromną kapę ludzi, tłoczących się do oglądania cielęcia z trojgiem oczu.

Może też kiedy, oprócz dwóch powyższych celów spisywania wspomnień, opóźnię się nieco przy opisywaniu obrazów natury, wśród których przechodziły mi momenty życia różne, albo przy rozważaniu cech, przymiotów i przywar, niedoli i nadziei narodu mego. Może o pierwszej i drugim mówiąc, nie będę siebie do pośpiechu napędzała. Niech mi to przebaczeniem zostanie, bo i naturę i naród swój kochałam bardzo.

Kartki te, w miarę powstawania ich, posyłać Panu będę, pragnąc i prosząc, aby poczytywał Pan je za własność swoją wyłączną i absolutną. Życie moje długo już trwać nie może i najśmielsze o tem marzenia, gdybym je miała, przestrzeni lat paru przekraczałyby nie mogły. Otóż, gdy życie to kresu swego dobiegnie, niech Pan z kartkami temi uczyni wszystko, co się Panu podobać będzie. Druk to druk, szuflada to szuflada, nawet ogień to ogień. Niech Pan je wydrukować każe, albo zamknie w szufladzie na zawsze, albo spali. Jeżeli jednak kiedykolwiek czytać je ma wiele oczu, z miłym uczuciem myślę, że tymczasem Pan będzie jedynym ich czytelnikiem.

Kiedyś, jeżeli Pan zechce, może dla wszystkich...

Tymczasem — *tibi soli!*



I.

Nie mógłby pojąć samego siebie ten, ktoby zatraci pamięć o swoim dzieciństwie. Jest to pąk, z którego wnosić można, jaką barwę i wielkość posiadać będzie przyszły kwiat. Gdy wpatruję się w swoją istotę dziecięcą, spostrzegam pierwsze zadatki wszystkiego, co miało wypełnić mi późniejsze życie. Najprzeciwiejsze działania świata zewnętrznego nie zdołały zniszczyć siewu natury. Może pod wpływem ich niektóre ziarna zeszechuplały i nie wydały pełnego plonu, całkowicie jednak nie przepadło żadno, a były i takie, których moc rodzajną zwiększyły oddziaływania napozór im przeciwne. Wychowanie i okoliczności, dzieciństwu towarzyszące, mogą wiele, ale nie mogą wszystkiego. Mogą ustosunkowywać, modyfikować, przytłumiać albo rozwijać, ale stwarzać, ani zabijać nie mogą. Dość mi jest przypatrzeć się własnej mojej dziecięcej duszy, aby nabrać przekonania najmocniejszego, że nie przyszła ona na świat kartą niezapisaną, lecz owszem, pokrytą znakami, w których mieściła się zagadka mojej przyszłości, a choć żadna moc zewnętrzna nie pracowała ani nad uwyrażnieniem, ani nad układaniem tych znaków w słowa dobitne, słowa się ułożyły i spełniła się zagadka.

Więc trochę o swoim dzieciństwie napiszę.

Istniał na powierzchni ziemi naszej w porze, gdy na świat przyszedłem, szczegół pewien, dość piękny i ruchem życia ludzkiego napełniony, który teraz zniknął niemal doszczętnie. Były nim, podobne do szerokich rzek spławnych lub do arterji, stramienie krwi po organizmie roznoszących, pocztowe gościńce publiczne. Starły je z obliza ziemi koleje żelazne, które również, oprócz strony

użytkowej, posiadają właściwą sobie piękność i poetyczność. Nie dlatego więc o dawnych gościńcach publicznych wspominał, abym nad ich zniknięciem ubolewać miała, ale dlatego, że z jednym z nich związane są najwcześniejsze wrażenia moje i te obrazy, oraz odgłosy świata, które najwcześniejsze do oczu, a przez oczy do serca mi się dostały.

Jak inni ludzie rodzą się nad brzegami tej lub owej rzeki, tak ja się urodziłam nad brzegiem tego gościńca pocztowego, który przed zbudowaniem odpowiedniej kolei żelaznej, łącząc Warszawę z Petersburgiem, był jedną z głównych arterji komunikacyjnych nie tylko dla kraju naszego, ale dla całego państwa. Nie wiem, albo nie pamiętam, jak wyglądał on gdzieindziej, ale od Grodna, mijając Szeszczyn, Lidę, prześliczny i z piękności sławny oddawna dwór Możejkowski, wiele zresztą miasteczek i dworów innych, aż do samego Wilna, był drogą bardzo szeroką i ze wspinałem bogactwem osadzoną dwoma rzędami drzew gatunków rozmaitych, które, gdy były stare, tworzyły po obu stronach drogi nieprzejrzanie długie, cieniste, prawdziwie królewskie aleje. Od Grodna do miejsca urodzenia mego i dalej drzewa były stare, rozłożyste, ale jeszcze przez czas nie uszkodzone, więc tworzone przez nie aleje, w porach zwłaszcza dla piękności drzew najpomyślniejszych, wydawały się czarodziejskim, w dłażyznę nieskończoną wyciągniętym ogrodem. Po obu ich stronach leżały pola gładkie i bezkreśne, bo powiat grodzieński, gdzieindziej wzgórzysty, tu rozkłada szerokie, gładkie równiny, a środkiem toczyły się bardzo częste, prawie nieustanne turkoty kół i rozlegały się jękami na szerokich równinach, płynąc i przepadając, dzwonki pocztowe.

Jadący gościńcem tym podróżny, o sześć mil od Grodna zdaleka już spostrzegał stojący u brzegu jego dwór. Musiał koniecznie spostrzegać go już zdaleka, bo

setka topoli włoskich wzbijała się nad nim wysoko, a poniżej szarzała lub zieleniła się ciężka i rozległa masa drzew, objęta sztachetami, których murowane słupy jaśniały w dzień zwłaszcza słoneczne białością, silnie od reszty krajobrazu odbijającą. Ozdobne, na dość wysokiem podmurowaniu umieszczone sztachety obejmowały dwa rozległe ogrody, równie rozległy dziedziniec i wysoką bramą otwierały się na boczną drogę, która z gościńca prowadziła do dworu. Podróżny, mijając sztachety, mijał wznoszącą się za nimi długą, cienistą aleję ze starych lip, pośrodku której stała zgrabna, z żółtawemi ścianami kapliczka, i zatrzymywał się na stacji pocztowej, której niedaży domek, z wielu należącemi do niego zabudowaniami, znajdował się jeszcze naprzeciw tych sztachet i rozciągniętego za nimi na znacznej przestrzeni angielskiego parku, pełnego drózek, ścieżek, trawników, wielkich bukieców drzew i krzewów, mostków rzucanych na kanały, prowadzące do niewielkiego stawu. Jeden z ogrodów składał się z czterech długich alei lipowych i pomiędzy nimi z kwadratów zasadzonych drzewami owocowemi, drugi był tym angielskim parkiem. Parkowi przypatrzyć się podróżnemu trudno było, bo wzdłuż sztachet biegł zasłaniający go szereg wysoko rosnących krzewów i kwiatów takich, jak georgińje, malwy, sztamowe róże i t. p., łatwiej mógł on po przez lipową aleję zobaczyć dom, w stosunku do otoczenia dość skromny, długi, niski, stary, na biało otynkowany, z dachem gontowym i dużemi oknami, nisko nad ziemią osadzonemi. Nad dachem u wierzchołka lipy, znajdowało się gniazdo bocianie. Były też po stronach obu domu ganki, na białych słupach oparte. Wszystko jak w starej szlacheckiej powieści.

W domu tym urodziłam się i z domu tego w półtora roku po urodzeniu mojem wyniesiono zwłoki ojca mego, przedwcześnie, bo w 43-cim roku życia, zmarłego. Umie-

rając, zostawił żonę młodą i piękną, dwie małe córki, z których ja byłam młodszą, imię uczciwego oświeconego człowieka i majątek znaczny. Nie zostawił tylko dzieciom swym stosunków i związków rodzinnych, bo jednego tylko miał brata, który umarł bezdzietnie, a z dalszymi krewnymi, po przeniesieniu się swem w młodości z Wołynia na Litwę, nie zachował widać łączności żadnej, gdyż matka moja głucho tylko o nich słyszała, nie wiedząc, kim i jakimi byli. Ze swej znowu strony matka moja była jedynaczką, a krewni jej, po ojcu Kamieńskim i matce Kaszubiance z domu, mieszkali daleko w Królestwie i, choć utrzymywali z moją matką stosunki listowne, a czasem i spotykali się z nią w Warszawie, rzeczywistą spójnią rodzinną związani z nią nie byli. Piszę o tem, ponieważ ten brak całej kategorii zwykłych w życiu ludzkim węzłów, podpór, źródeł zmartwień i trosk niekiedy, ale też nierzadko serdecznych pokrzepień i uciech, ważne posiadać miał znaczenie dla przyszłych moich losów i nawet usposobień. Miałam nieszczęście urodzić się w gnieździe osamotnionem i pustem, bo z dwojga tylko znajdujących się w niem piskląt jedno wkrótce zniknąć miało.

Matka moja, kilka lat tylko z ojcem moim przeżywszy, owdowiała bardzo młodo. Była piękną. Podnoszę oczy i patrzę na zawieszony nad biurkiem mojem, bardzo dobrym pendzlem malowany jej portret. Wysmakła brunetka z niezmiernie świeżą cerą i ogromnymi, czarnymi jak noc oczyma, ze szczupłą, ślicznie atoczoną ręką, w sukni dekoltowanej i kunsztownym naszyjniku dokoła łabędziej szyi; z obu stron owalnych różowych policzków spadają, zakrywając uszy, grona czarnych loków. Taką jest na portrecie i taką ją pamiętam. Oprócz młodości i piękności posiadała majątek osobisty, nie tak znaczny, jak ten, który zostawał po moim ojcu, jednak nie mały.

Rzeczą więc było zupełnie zrozumiałą i prostą, że dom w Miłkowszczyźnie, opustoszały po swym panu, ze swymi czterema dążymi pokojami, dokoła których nocami sowy jęczały w starych lipach, a z gościńca dolatywały wieczne jęczenia pocztowych dzwonek, mógł być dla niej trochę za ponurym i smutnym. Urządziła więc sobie mieszkanie w Grodnie i, zimy w mieście tem spędzając, na kilka miesięcy letnich przyjeżdżała do Miłkowszczyzny. Ja i siostra moja z boną naprzód, a potem z nauczycielką towarzyszyłyśmy jej tu i tam, tak że najwcześniejsze wspomnienia swoje czerpię z dwóch domów: miejskiego i wiejskiego. Pełno ich błąka się po mej pamięci; bez szczególnego pomiędzy nimi przebiegania, garstkę ich tu wysypaję.

Musiłyśmy być, ja i siostra moja, Klemania, bardzo jeszcze małe, bo wyniesiono nas z domu na rękach i, w ciepłą odzież owinięte, posadzono na gankowej ławce. Dzień był letni, ale zimny i bardzo wietrzny; pomimo to i nie wiem dlaczego, starsi postanowić musieli, abyśmy trochę dnia tego na świeżem powietrzu posiedziły. Ganek był od strony dziedzińca, otoczonego wielkiem półkolem topoli włoskich, których wysmakłemi postaciami wiatr wstrząsał i miotał. Rozezochrane ich szczyty miotły się na tle szarego od chmur nieba, a całe potężne wzrosty gięły się w niskich i szybkich pokłonach. Raz zdawały się kłaniać jedne drugim, drugi raz nam, naprzeciw nich siedzącym, to znowu tak gwałtownie przeginały się w tył, jakby wnet, wnet runąć miały na leżące za sztachetami żółte pole. Gałęzie ich rozwierały się i zwierzały, jak rozpaczające ramiona, i szedł od nich szum łopotliwy, co chwilę wzdymający się w niezmierny gwałt, jakby w krzyk rozlatanych na wsze strony liści. Nie wiem, jak długo siedziłyśmy już na ganku naprzeciw tych szalejących od barzy topoli, gdy zdecydować mnie zaczęła niezmierna, niewypowiedziana żalność, od której na głos

się rozbeczałam. Czawająca nad nami osoba pochwyciła mnie coprędzej na ręce i wniosła do domu, a płacz mój, którego długo utalić było niepodobna, przypisano zimna lub przestraszowi, przez burzę sprawionemu. Ale było inaczej. Nie czułam zimna ani trwogi. Czułam poprostu niewypowiedziany smutek, niezmierną i do płaczu zmaszającą żalność. Pamiętam to uczucie i jego stopień tak dokładnie, jakby rzecz działa się wczoraj. Pamiętam też jakby wczoraj widziane wszystkie szczegóły obrazu: niebo szare, pole żółte, ruchy wysokich topoli, rozlegający się po wielkim dziedzińcu szum. Pamiętam każde rozłożenie się i zamknięcie gałęzi na topolach i migotanie rozlatanych na gałęziach liści. Wątpię, abym miała wówczas więcej niż trzy lata, a prawdopodobnie mniej jeszcze mieć musiałam, ponieważ Klemnięć, o trzy lata ode mnie starszą, tak jak i mnie wyniesiono na ganek. Dlaczego scena natury, tak wczesnie widziana, tak głęboko i szczegółowo wyryła się w mej pamięci? Dlaczego, patrząc na nią, doświadczyłam uczucia żalności, które silnem być musiało, skoro z rodzaju i stopnia jego dziś jeszcze mogę sobie zdawać jasną sprawę? Tylko przyczyna, która je obudziła, pozostała niezrozumiałą. Wiele dzieci może patrzeć na taką burzę w powietrzu i na takie w burzy rozmiotane drzewa, doświadczać zimna, przestrasza, nudy, albo nie wcale nie doświadczać. W jednym budzi się niepojęta, niezem wcale, oprócz widoku tego, nie spowodowana żalność. Dlaczego? Czy niema w tem odrobiny metafizyki? Później, po opowiedzeniu kilku podobnej natury objawów, trochę się nad tem zastanowię.

Teraz w miejskiem mieszkaniu naszym szara godzina, zmrok. W dużym jadalnym pokoju majaczej w zmroku obrazy na ścianach, otomany pod ścianami, grupy roślin wazonowych u okien; fortepian w rogu pokoju, pośrodku duży okrągły stół. Dokoła stołu chodzę

z nauczycielką swoją, panną Michaliną Kobylińską i ona uczy mię na pamięć śpiewów historycznych Niemcewicza. Nie potrzebuje wiele nad tem pracować, bo mam pamięć chwytną i każdą strofę po pierwszym powtórzeniu umiem prawie, po drugim zupełnie. Tak chodząc powoli dokoła stoła, deklamujemy jedna za drugą pieśni o królach, królowych, rycerzach. Mam tylko sześć lat, ale znam już skądinąd ich nazwiska, czytając o nich z nauczycielką i siostrą, lub i bez nich, bo czytam już z łatwością i czytać bardzo lubię. Nawiasem mówiąc, umiem też w tej porze życia czytać po francusku, rozumiem ten język tak, jak i polski, a najwyższą przyjemność sprawia mi czytanie książki, której autora nie pamiętam, ale mającej tytuł: *Contes á ma fille*. I mówię tym językiem z łatwością, bo obie nie rozmawiamy z matką inaczej, jak po francusku. Ale teraz mówimy z p. Michaliną po polsku i o rzeczach polskich. Usiadłyśmy na otomanie i ona mi o jakichś wielkich mężach, wielkich czynach opowiada. Przytem ramieniem swem otacza mi szyję, przygarnia mię do siebie i czasem całuje w czoło, we włosy. Czuję, że lubi mię bardzo. Ciepły powiew czułości, przywiązania idzie od niej i sływa mi w serce uczuciem szczęścia. Szczęście to podwójne: rzeczy, które opowiada, przejmują mię takim zachwyceniem i zapałem, że niekiedy aż łzy napływają mi do oczu, a z obejmującego mię ramienia sływa na mnie zaprawiony cichą radością spokój. Nie pamiętam, czy chwil takich było wiele, ale dobrze pamiętam, że należały do najszcześniejszych, jakich w dzieciństwie zaznałam. Dobrej p. Michalinie zawdzięczam nietylko chwile te, ale i wiele pierwszych zadatków umysłowego światła. Mogile jej dalekiej, nieznannej, i imienia, przez wszystkich oddawna zapomnianemu, wdzięczne wspomnienie to poświęcam.

Ale już nad jadalnym stołem zapalono lampę, w sąsiednich pokojach rozlegają się głosy, porzucam p. Michalinę i biegnę do pokoju mojej siostry, biednej mojej siostrzyczki — chorej. W tej właśnie porze, gdy miałam około siedmiu lat, zachorowała. Dziecko było śliczne, do matki podobne (tak jak ja miałam być podobną do ojca), żywe, zdolne, nadewszystko do rysunków wielką zdolność objawiające. Nagle coś jej się stało. Zaczęła blednąć, mizernieć i tracić władzę w nogach. Z trudnością chodząc, słaba, najeźsciej leżała, zrazu w ubraniu, na jakimś sprzęcie, dokoła którego gromadziły się stosy zabawek i książek. Bo tak jak i ja lubiła czytać. Miałyśmy podobne z sobą gusta i usposobienia. Kochałyśmy się bardzo. Pomimo różnicy wieku (o trzy lata byłam młodszą), uczyłyśmy się razem, bo gdy ona wskutek choroby ustawać zaczęła, ja szybko pędziłam naprzód. Zastugi w tem mojej nie było. Te małe wielec nauki, których p. Michalina udzielała (trzy języki: polski, francuski, niemiecki, arytmetyka, geografia, historia polska—powszechnej jeszcze nie uczyłam się), przychodziły mi z wielką łatwością. Nigdy prawie nie robiłam tego, co nazywa się uczeniem się lekcji. Jedno przeczytanie przy nauczycielce i jedno jej wyjaśnienie wystarczało. Więc mnóstwo czasu zostawało na wspólne z Klemunią zabawy i czytania. O niektórych z tych zabaw pisałam trochę w obrazkach p. t. *Z pożogi* (w tomie zatytuł. *Drobiazgi*), powtarzać więc tego nie będę. W tej chwili z żywością wielką przypominam sobie, jakieśmy wspólnie czytały *Jana z Czarnolasu* Tańskiej i *Życia Wielkich Polaków* Niemcewicza (może Naraszewicza; od owych czasów książki tej nie widziałam). Przypominam też sobie te psychiczne poruszenia, które obudzały w nas te książki. W chwilach szczególnych zachwyków, czy rozrzewnień, przez nie sprawionych, rzucałyśmy się sobie na szyję i całowałyśmy się

zapamiętała. Bona, niemka, p. Fechnerówna, która pomimo i obok p. Michaliny jeszcze przy nas egzystowała, śmiała się z tych uniesień i potem o nich Matee naszej opowiadała. Mama słuchała z zadowoleniem, głaskała nas po głowach i naradzała się z p. Michaliną, co im jeszcze *takiego* dać do czytania?

Wogóle atmosfera domowa była patriotyczną. Pochodziła z usposobień Matki naszej, z rozmów, które w obecności naszej prowadziła z domowymi i gośćmi, z różnych drobiazgów i szczegółów urzędzenia i życia domowego. Ojciec mojej Matki był oficerem w legionach Napoleońskich, z jego to zapewne serea wzięła ona do swego te świętości i prostą filjacją zaszczepliły się one w serea nasze. Nie było prawie dnia, w którymby dojrzałymi czy dziecinnymi usty wymawiane nie brzmiały w domu słowa: Polska, w Polsce, dla Polski, Polacy i t. d. Z różnemi, ma się rozumieć amplifikacjami i komentarzami.

Pierwszym, o którym mam niejaki wspomnienia, wypadkiem publicznym, z tą naszą atmosferą domową w pewnym związku zostającym, były ruchy rewolucyjne zagranicą, a potrochu i u nas w r. 1848 i prawie jednocześnie z nimi rewolucja węgierska. Wiele o wypadkach tych w domu było mowy; w dziennikach przychodziły portrety głównych działaczy ówczesnych, którym przypatrywałyśmy się z ciekawością. Rozumiałyśmy wybornie stosunek Węgier do Austrii i gorące życzenia składałyśmy na rzecz pierwszych. Przez Grodno przechodziły wojska rosyjskie, na pomoc Austrii wysyłane; za oknami ciągnęły pochody żołnierzy w długich do ziemi szynelach i płaskich czapkach. Zapanowała moda noszenia przez kobiety kokard u sakien z trójkolorowych wstążek i sztyletów za paskiem; kolory wstążek były naturalnie polskie. Pamiętam doskonale taką kokardę u stanika mojej Matki i tkwiący u niego sztylecik stalowy. Wyniknęła z tego

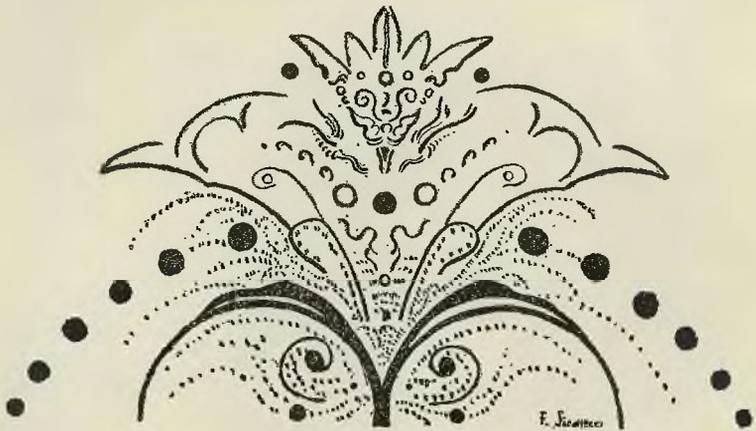
mała awantura. Pułkownik żandarmski, zobaczywszy gdzieś Mamę z tą kokardą i z tym sztyletem, wyrządził jej jakąś przykrość. Mnóstwo osób ją potem odwiedzało z zapytaniem, z kondolencjami, mnóstwo mowy było o tem, a myśmy wszystkiego chętnie słuchały, czując dla owego żandarma coś bardzo podobnego do nienawiści. Ale Mama ani kokardy, ani sztyleta nie porzuciła i pamiętam dzień letni, zielony, w którym, tak ubrana, z nami, ubranami w śliczne kostjamy krakowskie, pojechała do ogrodu publicznego (zwanego gubernatorskim) na jakieś ognie sztuczne czy coś podobnego, gdzie napewno tego żandarma spotkać musiała. Tak się stało. W kokardzie ze sztyletem i z dwiema swemi małemi krakowiankami kilka razy rozminęła się z nim w alei ogrodowej, za każdym razem prosto w twarz mu patrząc i z czarnych oczu iskry sypiące. A on nie, jakby nie widział. Mówiono później że gubernator zabronił mu dalsze przykrości wyrządzać Mamie, ale, jakkolwiek było, myśmy z Klemunią ogromnie tryumfowały, szczególnie przy tem rozmijaniu się z żandarmem. Teraz naturalnie rozumiem, że była to drobnośćka, ale wówczas wypadek ten miał w oczach moich rozmiary olbrzymie i wstrząsnął całą moją istotą dziecięcą. Było jednak i coś ważniejszego. Cioteczny brat matki mojej, syn jej ciotki zamężnej kędyś daleko, na Białorusi, Michał Sołtan, został podówczas w Dorpacie awięziony. Ja tej ciotecznej babki, wkrótce potem zmarłej, nigdy nie widziałam, ale Mama z nią korespondowała i z listów jej dowiadywała się o losach ciotecznego brata, którego znała i kochała. Opowiadała też o nich domowym i gościom. Miano go podobno męczyć strasznie w więzieniu, żywiono go śledziami i pić nie dawano, budzono w nocy co chwila i t. p. okropności. W więzieniu tem i umarł. Mama, opowiadając czasem, płakała. Myśmy, słuchały i potem w kątku jakimś, objąwszy się z Klemunią

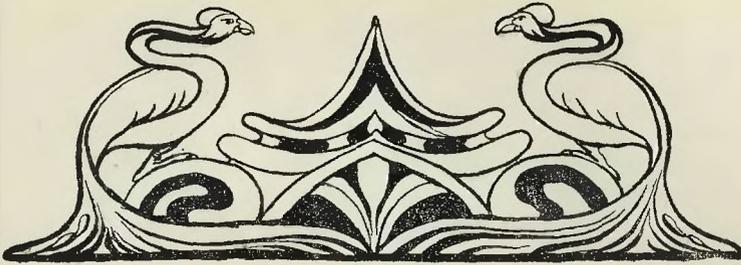
szeptaliśmy o biednym, nieznanym, lecz kochanym wujaszku Michale. Płakała też nad tym siostrzeńcem i po nim babka nasza, bardzo kochana, o której później obszerniej nieco napiszę.

Życie w domu spokojnie płynęło. Wizyt Matka nasza przyjmowała i oddawała wiele, ale wieczorów u siebie nie wydawała. W pamięci pozostały mi tylko t. zw. obiady proszone, z kilkanaście lub kilkadziesiąt osób złożone, w których my z Klemanią nie brałyśmy udziału. Utkwiły mi one w pamięci przez jeden szczegół. Z babką, nauczycielką, boną przesiadywałyśmy pory tych przyjęć w swoich pokojach, których drzwi otwierały się jednak kiedy niekiedy dla przepuszczenia służby, przynoszącej nam obiad, czy z innych przyczyn. Otóż ile razy drzwi te się otwierały, miałam krótkie jak mgnienie oka widzenia światła rześistego, strojów wielokolorowych, błyszczących nakryć stołowych; jednocześnie też wybuchał z drzwi otwierających się szałmiony przedtem gwar rozmawiających głosów. Drzwi zamykały się, wizja znikwała i gwar opadał w niewyraźny, jakby daleki szmer. Wywierało to na mnie wrażenie podwójne: ciekawości i wzruszenia od rzeczy, jakby tajemniczej, oddalonej, malowniczej. Zapewne też malownicza struna tych krótkich wizji chwyciła mię za wyobraźnię, ale było i coś innego, było jak gdyby jakieś przeczuwanie przyszłości... Takie przeczuwanie rzeczy przyszłych—zawsze z pewnem uczuciem ciekawości i tęsknoty połączone, obudzać we mnie miały później dwa zjawiska: zorza wieczorna i las. Opiszę to na innem miejscu. Teraz widzę siebie, siedzącą w jadalnym pokoju na otomanie, z robótką w ręku i patrzącą przez drzwi otwarte, jak Mama w swoim gabinecie listy pisze, albo maluje. Pisała dużo listów i robiła wiele ręcznych robót kobiecych, a pomiędzy innemi pięknie malowała na jedwabnych materjach. W ostatnie te roboty Klemania,

mająca zdolności do rysunków, była wtajemniczona; ja nie. Mnie zato mama dość często wołała do siebie i dawała różne éwiartki i skrawki papierów listowych, przyozdobionych ładnymi rysunkami i wyciskami. Bawiłam się nimi, gryzmołam na nich lub wyklejałam z nich różne rzeczy, i kto wie, czy nie one to zaszezepiły we mnie upodobanie, które przez całe życie miałam do ładnych papierów listowych.

Miałam lat siedem, gdy zaszły dwa najważniejsze w dzieciństwie mojem (nie licząc śmierci Ojca) wypadki: powtórne zamążpójście Matki mojej i śmierć Klemani.





Dr. Med. R. RADZIWIŁŁOWICZ.

PRAGMATYZM.

Rozwój psychologii, którego jesteśmy obecnie świadkami, to sprawa ostatniego półwiecza.

Rozwój ten rozpoczął się od chwili, kiedy nauka ta zerwała z uprzednią tradycją, kiedy z umiejętności, pogrążonej całkowicie w metafizycznych spekulacjach, stała się wiedzą empiryczną, opartą na doświadczeniach, mającą do czynienia tylko z tem, co może być poznane i sprawdzone drogą obserwacji.

Poprzednio psychologia rozwijała się w zamkniętym łonie filozofji—dzieliła ten los ze wszystkimi innymi naukami nie wyłączając przyrodniczych, które były również oddzielnymi postaciami filozofji przyrody, podobnie jak psychologia była filozofją ducha. Jak innym naukom przyrodniczym, ciasno było i psychologii w tem łonie. Ulegała ona naciskowi apriorycznych teorii filozoficznych, musiała ustępować przed nimi nawet wówczas, gdy kłóciły się one z danymi doświadczenia, a wszystkie jej zdobycze szły pod strychulec prawd ustalonych, usawiających wszystko, co było z nimi niezgodne. Własny rozwój psychologii był całkowicie zamknięty w ramach zew-

nętrnych, narzuconych przez filozofję. Dopiero otwarte i szczerze przecięcie sznarka pępkowego, łączącego psychologję z macierzystem łonem filozofji, jawne zerwanie z metafizyką i teorjami apriorycznymi, przerodzenie się w naukę wyłącznie empiryczną, opartą na doświadczeniu, dla której zasada *contra experimentum nullum argumentum* jest jedynie obowiązującą i gdzie nie doświadczenie, lecz teorja musi ustąpić, jeśli się kłóci z doświadczeniem, wlało w psychologję zupełnie nowe życie. Przewrót ten dokonał się pod wpływem mocnego prądu przyrodniczego, który zapanował w nauce ogólnej w połowie ubiegłego wieku, a okazał się tak wydajnym dla wszystkich dziedzin wiedzy przyrodniczej. Był on niemniej wydajny i w dziedzinie psychologji. Odżyła ona jak gdyby zupełnie nanowo, paściła nowe pędy, rozrosła się i 'rozwinęła bajnie. To nowe życie, które wlała w nią empirja, nie ograniczyło się wyłącznie do samych tylko granic ścisłej psychologji, lecz zaczęło promieniować na zewnątrz, przenikać do dziedzin pokrewnych, przyległych do socjologii, logiki, estetyki, etyki. Datuje się to szczególnie od tej chwili, kiedy psychologja stała się nauką biologiczną, w ogólnem rozumieniu tego słowa, wyróżnicowała się, że tak powiem, z organizmu ogólnego nauki przyrodniczej, jako organizacja odrębna o charakterze biologicznym, ujmająca zagadnienia psychologiczne jako pewną postać życia i dążąca do rozważania spraw duchowych w oświetleniu, jakie rzucają na nie prawa ogólne, rządzące życiem we wszystkich jego rozlicznych postaciach. Biologiczne ujęcie zagadnień ducha pobudziło do prób zastosowania tej metody we wszystkich dziedzinach, gdzie ona może znaleźć zastosowanie z wynikiem niewątpliwie dodatnim. Najdłużej może opierała się temu filozofja ogólna, ale i ona całkowicie naciskowi nowych prądów oprzeć się nie mogła. Obecnie jesteśmy świadkami przeobrażeń, dokonywanych

w tej dziedzinie o tym samym charakterze. Nowe życie, jakiem zaczęła żyć psychologia od chwili oddzielenia się od macierzystego łona filozofji, zaczyna przenikać w to łono, pobudza organizm macierzysty do żywszego życia. Zdobyte w dziedzinie psychologii, jako nauki biologicznej, poczynają oddziaływać bezpośrednio na myśl filozoficzną; ustalone, zdawałoby się, całkowicie podstawy wierzeń filozoficznych chwycją się, ustępują zastygłe w swych kształtach wiązania systemów, pękają więzy skostniałych dogmatów, od filozofji wieje jakiś nowy, ożywczy prąd życia. Psychologia, uwolniona z kajdan filozoficznych, zaczyna nadżerać kajdany samej filozofji. Usiłuje ona teraz wyzwolić swą rodzicielkę z więzów dogmatyzmu, uniemożliwiających jej dalszy rozwój, oddalających ją od życia, usuwających od właściwego jej celu, to jest od podnoszenia życia na coraz wyższe szczeble bytu, słowem usiłuje przywrócić filozofję do właściwej godności—mistrzyni życia.

Dokonywa tego nowy ruch filozoficzny, „który odrazu wytrysnął na świat w wielu punktach“: pragmatyzm, stanowiący jak gdyby kopułę filozoficzną nad gmachem psychologii społecznej. Jako myśl filozoficzna nie jest on całkowicie nowym. Nowemi są podstawy, których nadbudowę stanowi, stworzone przez łączne wysiłki biologji ogólnej i psychologii biologicznej.

Za twórcę tego kierunku nie bez słuszności uchodzi zmarły niedawno psycholog i filozof amerykański William James, nie tylko dlatego, że ujął i sformułował najlepiej myśl samą, ale przede wszystkim dlatego, że swemi pracami psychologicznemi wytworzył grunt, na którym można było dźwignąć ten nowy gmach myśli.

Pragmatyzm^{*1)} (od greckiego wyrazu pragma—czyn-

*1) Pragmatism 'a new name for some old ways of thinking

ność—źródłostowu tkwiącego w wyrazach praktyka, praktyczny), „nowa nazwa pewnych starych dróg myślenia“, jak go określił James, jest oczywiście kierunkiem filozoficznym o dość odległej przeszłości, skoro uprawiali go już stoicy, a wyznawcą był już Protagoras, filozof grecki, współczesny Sokratesowi (480—411 przed Chr.), jak to wykazał prof. F. G. Schiller w jednym ze swych szkiców filozoficznych zatytułowanych „Humanizm“. Sama nazwa nie jest również nowością. Spotykamy ją bowiem już u Kanta (*Grundlegung zur Met. der Sitten*, wydanie Rosenkrausa str. 42), gdzie użyta jest dla oznaczenia postaci przypuszczalnego nakazu, określonego inaczej jako rada rozumu, a scharakteryzowana jako asertoryczna ta mianowicie rada rozumu, która przepisuje środki konieczne dla osiągnięcia szczęśliwości, celu, jaki możemy postawić każdej czującej istocie. Praktyczna etyka jest według Kanta pragmatyczną antropologią, a przystosowanie naszej wiedzy ogólnej do oddziaływania na naszą moralność—widnokreśleniem pragmatycznym.

Zagadnienie pragmatyzmu podjął ponownie, jak sam przyznaje, pod wpływem Kanta, jego Krytyki Czystego Rozumu, Dr-r. C. S. Peirce w styczniowym zeszyście miesięcznika amerykańskiego *Popular Science Monthly* r. 1879. Punktem wyjścia rozmowań Peirce'a było założenie następujące*): „Przyjrzyj się, jakie skutki mógłby posiadać przedmiot ujmowany pojęciowo, przedmiot, posiadający

Popular lectures on philosophy by William James. Longmans, Green and C. London 1908.

*2) *The Meaning of Truth, a sequel to „Pragmatism“ by William James. Longmans, Green and C. London 1909.*

*3) Przytaczam według artykuła Peirce'a o pragmatyzmie, umieszczonego w *Dictionary of Philosophy and Psychology*, wydanym przez J. M. Baldwin'a.

w naszym mniemaniu znaczenie praktyczne, a wtedy przekonasz się, że pojęcie nasze o skutkach jest wszystkim w naszym pojęciu o przedmiocie“. „Metafizyka zyskałaby znacznie na jasności, gdyby przyjęła powyższą zasadę i zastosowała ją w rozważaniu rzeczywistości“.

Zasada pragmatyzmu w rozumieniu Peirce'a zawiera twierdzenie, że celem życia człowieka jest czynność—zasada stoicka. Nie narzuca ma się ona obecnie, kiedy ma lat 60, z taką samą koniecznością, jak wówczas, gdy ją stworzył, mając lat 30. Przeciwnie, jeśli przyjąć, że czynność wymaga celu, że ten cel musi być czemś ogólnie ujętem (of a general description), wtedy dach zasady podczajęcej, że, ażeby trafnie oceniać nasze pojęcia, należy zważać na ich wyniki, kierowałby nas ku czemuś odmiennemu od faktów praktycznych, a mianowicie ku pojęciom ogólnym, jako ku właściwym wykładnikom naszego myślenia. Pomimo to Peirce stwierdza, iż po wieloletniem rozmyśleniu nad tem zagadnieniem pragnąłby widzieć zasadę, że, aby trafnie oceniać wartość nowych pojęć, powinniśmy brać w rachubę ich wyniki praktyczne, zastosowaną w życiu z całym sumiennem pogłębieniem. Widzi on w tem wielką użyteczność tej zasady, że ona prowadzi do większej jasności w myśleniu.

Myśl rzuconą przez Peirce'a podjął W. James i rozwinął w szeregu prac, które zebrał w jednolitą całość, a ogłosił jako ogół nauki o pragmatyzmie w r. 1908. Uzupełnił ją później zbiorem szkiców filozoficznych, ogłoszonym w roku następnym pod tytułem wspólnym „Znaczenie prawdy.“

W wywodach swych rozszedł się jednakże James całkowicie z Peirce'm i to tak dalece, że Peirce widział się zmaszonym stwierdzić tę rozbieżność poglądów i zaznaczył ją w wyżej przytoczonym artykule o Pragmatyzmie w Słowniku Baldwin'a. Powiada on, że James

posunął metodę do takiej krańcowości, iż zmasił go do zaprzestania stosowania jej (as must tend to give us pause). Odpowiedzialność zatem za pragmatyzm w jego spóźniejszej postaci spada całkowicie na James'a.

Pragmatyzm w sformułowaniu najkrótszem samego James'a, umieszczonem obok artykułu Peirce'a w przytoczonym powyżej słowniku Baldwin'a, oznacza myśl, „że całkowite znaczenie pojęcia wyraża się samo w wynikach praktycznych“, w wynikach jażto dotyczących rodzaju postępowania, jakie ma być zalecone, jażto dotyczących rodzaju doświadczeń, jakich należy oczekiwać, jeżeli pojęcie to jest prawdziwe. Wyniki te byłyby odmienne, gdyby pojęcie samo było nieprawdziwe, i musiałyby być różne od wyników innych pojęć, określaných również przez ich wyniki. Jeżeli inne pojęcie nie zdaje się posiadać innych wyników, to w rzeczywistości nie jest ono jakimś innym pojęciem, lecz jest tem samem, tylko figuruje pod inną nazwą. W metodologii jest rzeczą pewną, że wykreślenie i porównanie ze sobą wyników obu pojęć, stanowi znakomitą drogę ustalania różnych znaczeń, różnych pojęć“.

To krótkie sformułowanie zasady ujmaje ściśle jądro sprawy. W pojęciu, jeśli posiadać ma ono dla nas jakąkolwiek wartość, powinny zawierać się i wyniki, do których ono prowadzi, w wynikach tych bowiem leży sprawdzian prawdziwości samego pojęcia. Tę zasadniczą myśl rozwinął James dalej i uogólnił. Sprawdził jej wartość w odniesieniu do szeregu zagadnień ściśle filozoficznych, a wyniki tych rozważań ujął w pewien całokształt i określił nazwą pragmatyzmu.

Pragmatyzm zatem — to nie jakiś zamknięty system filozoficzny, lecz „jest on tak otwarty jak świat, który ma ujmować“. Pragmatyzm—to wyraz pewnego stałego stosunku do zagadnień tego świata, bez powziętego z góry założenia, czem jest ten świat sam w sobie. Pragmatyzm

nie staje po stronie żadnego bezwzględnie filozoficznego, ani materialistycznego, ani idealistycznego, chce zachować krytycyzm, właściwy filozoficznemu stosunkowi do zagadnień bytu, posuwa ten krytycyzm o jeden stopień dalej, rozszerzając granice dotychczasowe doświadczenia, jako sprawdzianu prawdy.

Papini, jeden z włoskich wyznawców pragmatyzmu, porównywa go do hotelowego korytarza, łączącego ze sobą oddzielne pomieszczenia hotelu; każdy musi przejść przez korytarz, zanim wejdzie do swego pokoju. Niezliczone pokoje prowadzą na korytarz. W jednym znajdziemy człowieka, piszącego tom ateistycznej pracy, w sąsiednim kogoś, modlącego się na klęczkach o wiarę i moc; w trzecim chemika, badającego własności ciała, w czwartym jest obmyślany system idealistycznej metafizyki, w piątym jest wykazywana niemożliwość jakiegokolwiek systemu metafizycznego. Każdy, kto poszukuje praktycznej drogi wyjścia dla swych założeń, musi przejść przez korytarz. Podobnie pragmatyzm — leży pośrodku między teorjami; nie chodzi tu o żadne wyniki oddzielne, tworzy on rodzaj stanowiska orjentacyjnego w odniesieniu do wszelkich twierdzeń i założeń. „Stanowisko to polega na odwracaniu oczu od tak zwanych pierwszych rzeczy, założeń podstawowych, kategorii, rozmaitych konieczności i wymagalników, a na zwróceniu ich ku rzeczom ostatnim, ku wynikom, skutkom, faktom“.*) Tak przedstawia się zagadnienie pragmatyzmu w zarysie najogólniejszym. Zanim poddamy je rozbiorowi szczegółowemu w tej postaci, jak go przedstawia James w przytoczonej powyżej książce, przyjrzyjmy się przedewszystkiem temu, co nazywa on społecznym dylematem w psychologii, a co i u niego poprzedza sam rozbiór zagadnienia pragmatyzmu, za-

*) Pragmatism str. 55.

wa. te tam bowiem uwagi rzucają cenne światło na same zagadnienie i przyczyniają się w wysokim stopniu do zrozumienia go dokładnie i ściśle.

„Filozofja“, jak powiada James, „dla każdego z nas stanowi mniej lub więcej wyraźne poczucie tego, co oznacza uczucie i głęboko wzięte życie. Zdobywa się ją tylko częściowo z książek. Stanowi ona indywidualny sposób, nowy szlak, drogę widzenia właściwie i odczuwania właściwie całego nacisku, wywieranego na nas przez wszechświat. Wyniki filozofji żywo obchodzą wszystkich nas, a najzawilsze filozoficzne wywody drażnią przyjemnie nasze poczucie subtelności i pomysłowości. Przeniknięty głęboką wiarą w filozofję, wierząc dalej, że jakiś nowy rodzaj świtania rozdziera mgły i powstaje w nas filozofach, widzę się zmaszonym per fas et nefas spróbować zasześcić w was pewne nowe dane o położeniu obecnem tej sprawy“.

„Filozofja—to jednocześnie najszczytniejsze, lecz również i najbardziej trywialne z zadań ludzkich. Pracuje ona w najciaśniejszych szczelinach, lecz otwiera jednocześnie najszersze widnokreśli. Nie piecze chleba, jak ktoś gdzieś powiedział, ale napełnia dusze nasze odwagą. Promyki światła rzucone przez nią, przeciwieństwa, ciemności i tajemniczości, które towarzyszą tym błyskom światła, stwarzają to, co nazywamy interesem, który jest czemś większem, niż wszelki interes profesjonalny.

„Dzieje filozofji—to w dużej mierze spór temperamentów ludzkich; jakkolwiek pogląd taki spotkać się może z pogardliwym przyjęciem a wielu moich towarzyszy, maszę brać go pod uwagę, tłumaczy mi bowiem wiele rozbieżności w poglądach filozoficznych. Jakim jest temperament filozofa z zawodu, takimi będą wyniki jego filozoficznych dociekań. Temperament w rzeczywistości wywiera na niego większy wpływ, niż którakolwiek ze ściśle

przedmiotowych jego przesłanek. Temperament nadaje wagę dowodom, wywiera na nie nacisk w jednym czy drugim kierunku, wpływając na powstanie bardziej sentymentalnego czy „twardszego“ poglądu na świat, podobnie jak czyni to taki czy inny fakt. *Ufa* on swemu temperamentowi. W braku rzeczywistego wszechświata, któryby mu odpowiadał, wierzy w wytworzone wyobrażenie wszechświata, które mu odpowiada. Czuje on, że człowiek o innym usposobieniu nie posiada klucza właściwego do otwarcia zagadki wszechświata, serce jego nie pozwala mu uznać go za kompetentnego, nie godzi się na to, że trafił on w sedno rzeczy w swej pracy filozoficznej, chociaż przeciwnik ten może przewyższać go pod względem zręczności dialektycznej. Na „forum“ nie może on oczywiście rościć pretensji do uznania temperamentu jego za autorytatywny, za czynnik decydujący w wyższej instancji; wynika stąd pewna nieszczerłość w naszych filozoficznych dyskusjach: najsilniejsza ze wszystkich naszych przesłanek nigdy nie bywa wspomiana“.

„Mowa tu być może oczywiście tylko o ludziach wybitnych, ludziach, co wycisnęli swe wyraźne piętno na dziejach filozofji, jak Platon, Locke, Hegel lub Spener. Większość ludzi nie posiada wyraźnego temperamentu umysłowego, każdy z nas stanowi pewną mieszaninę przeciwstawnych składników, zjawiających się w stopniu bardzo względnym. Trudno zdać nam sobie samym sprawę z naszych upodobań w rzeczach oderwanych. Każdy kończy na tem, że poddaje się wpływowi jakiegoś filozofa, któremu całkowicie ulega. Panujący w filozofji pogląd obowiązywał każdego do widzenia rzeczy w ściśle wskazany sposób, sposób przeciwny powinien był wywoływać niezadowolenie. Trzeba przypuścić, że nadal ta ścisłość w wierzeniach ludzkich nie będzie tak obowiązującą, jak obecnie. Oddzielne różnice w tempe-

ramentach, o których myślę, czyniąc te uwagi, istnieją i są brane w rachubę w literaturze, sztuce, rządzie, obyczajach—podobnie dzieje się i w filozofji. W obyczajach widzimy formalistów i ludzi, nie robiących sobie nic z niczego. W odniesieniu do władzy, widzimy zwolenników mocnej ręki i anarchistów. W literaturze purystów, czyli wyznawców akademickiego kierunku, i realistów. W sztuce klasyków i romantyków; każdy zna te przeciwieństwa. Otóż w filozofji mamy do czynienia z bardzo podobnymi przeciwieństwami, wyrażającymi się w nazwach: racjonalista i empiryk, przy czem za empiryka uważany jest zwolennik faktów w całej ich grubej różnorodności, za racjonalistę, kto oddaje się całkowicie oderwanym i wiecznym zasadom. Nikt nie może żyć nawet godziny bez obu faktów i zasad; różnica zatem jest tutaj raczej różnicą nacisku, kładzonego na jedną czy drugą stronę sprawy, a jednakże rozbieżność ta wywołuje nienawiść bardzo mocną pomiędzy obu stronami. Wydaje się rzeczą pożyteczną to przeciwieństwo pomiędzy ludźmi w ujmowaniu przez nich wszechświata określić jako różnicę pomiędzy empirycznym i racjonalistycznym temperamentem. Nazwy te czynią przeciwieństwo prostem i wyraźnem.

Są one prostsze i wyraźniejsze niż ludzie, do których się odnoszą. W naturze ludzkiej albowiem możliwe są wszelkiego rodzaju przemiany i połączenia. Kiedy obecnie mam zamiar określić w sposób bardziej szczegółowy przez dodanie do pojęć racjonalista i empiryk szczegółów wtórnych, uzupełniających ich charakterystykę, będę czynił to z pewną dowolnością, za którą z góry przeproszam słuchacza. Wybieram typy zespołów tak, jak dosyć często przynosi je nam przyroda, lecz wcale nie stale, a wybieram je wyłącznie ze względu na ich odpowiedniość w dopomożeniu mi do celu dalszego w charakteryzowaniu pragmatyzmu. Historycznie znajdujemy

terminy intelektualizm i sensacjonalizm, używane zamiast racjonalizm i empiryzm. W przyrodzie spotykamy często połączenie intelektualizmu z idealizmem i optymistycznym dążeniem. Empirycey z drugiej strony są nierzadko materialistami, a ich optymizm wygląda bardzo warunkowo i chwiejnie. Racjonalizm jest zawsze monistyczny. Wychodzi z założeń całości, powszechności i przywiązuje duże znaczenie do jedności przedmiotów. Empiryzm za punkt wyjścia bierze części, a całość uważa za pewną zbiorowość—nie ma żadnego wyraźnego wstępu do przyjęcia nazwy pluralizmu. Racjonalizm zwykle uważa się za coś bardziej religijnego niż empiryzm. Racjonalista w twierdzeniach swych wykazuje wyraźny temperament dogmatyczny; empiryk występuje jako sceptyk.“

Winienem zaznaczyć w tem miejscu, że pod słowem religja i religijny pojmuje James coś odmiennego niż to, co zwykle łączone bywa z tem słowem. Dla niego religja—to wszelki uczuciowy stosunek do wyższych postaci bytu, nie wyłącznie tylko stosunek człowieka do Boga. Dogmatyczna strona dla James'a posiada znaczenie dalsze, może nawet wcale nie istnieć bez uszczerbku dla religji i religijności. Widnieje to z dalszych wywodów jego o stosunku religji do pragmatyzmu, a jest szczególnie wyraźne w pracy, poświęconej wyłącznie zagadnieniom religji, zatytułowanej „O odmianach religijnego doświadczenia“.

„Każdy z nas wykazuje skłonność do dobrych rzeczy po obu stronach. Fakty są dobre bezwątpienia—prosimy o jaknajwięcej faktów. Zasady również są dobre, prosimy również o nie. Świat bezwątpienia jest jeden, jeśli patrzeć nań w pewien sposób, lecz niewątpliwie jest również wieloraki, jeśli oglądać go z innej strony. Jest on zarówno jeden jak i wieloraki—musimy zatem przyjąć zasadę pewnego rodzaju pluralistycznego monizmu. Każda

rzecz z konieczności jest uwarunkowana, a jednakże niewątpliwie wola nasza jest wolna; pewnego rodzaju determinizm indeterministyczny stanowi prawdziwą filozofję. Nie można zaprzeczyć zła pewnych części, ale całość może nie być zła: w ten sposób pesymizm praktyczny może łączyć się z metafizycznym optymizmem. Każdy żąda faktów, każdy żąda nauki, ale każdy pożąda również i religii. A jakiegoż rodzaju filozofję ofiarowują nam obecnie. Znajdujemy filozofję empiryczną, która nie jest dostatecznie religijną, filozofję religijną, która dla celów naszych nie jest dostatecznie empiryczną.

W ciągu 150 przeszłych lat postęp nauki wydawał się oznaczać rozszerzenie materialnego wszechświata i zmniejszenie w nim znaczenia człowieka. Wynikiem było to, co ktoś mógłby nazwać wzrostem naturalistycznych i pozytywistycznych uczuć. Człowiek nie jest już prawodawcą przyrody, jest jej pochłaniaczem. Ona stoi mocno, on niewzruszenie, musi przystosowywać się do niej. Niech uzna tę prawdę, chociaż może jest ona nie-ludzka, i niech się jej podda. Romantyczna samorządność i odwaga znikły, wizja jest materialistyczną, przygnębiającą. Ideały wydają się być biernymi, dodatkowymi wytworami fizjologii; wyższe tłumaczy się przez niższe i jest uważane za coś niecoś pośledniejszego gatunku. Zdobywa się pewien wszechświat materialistyczny, w którym tylko twardoduchowi (tough minded) czują się w domu. Jeżeli z drugiej strony zwrócimy się do dzielnie religijnych pociech i zapytamy o radę miękko-duchowych (tender minded) filozofów, to cóż znajdujemy? Filozofja religijna wśród narodów, używających języka angielskiego, należy do dwóch typów. Jeden bardziej radykalny i zaczepny—drugi ma charakter cofającego się z bitwy. Przez bardziej radykalne skrzydła filozofji religijnej rozumiem t. zw. idealizm transcendentálny szkół y

angielsko - heglowskiej, filozofję takich ludzi, jak Green, Cairdowie, Bosanquet, Royce. Filozofja ta mocno oddziaływała na oddanych bardziej nauce członków protestanckiego obrządku. Jest ona panteistyczną i niewątpliwie zawsze ścierała rogi tradycyjnego deizmu w protestantyzmie w sposób szorstki.

Deizm ten jednakże trwa. Jest on bezpośrednim potomkiem, przez kolejne szczeble ustępstw, dogmatycznego, scholastycznego deizmu, wykładanego z całą ścisłością w seminarjach; deizm zwykły budzi więcej niesmaku, lecz oba są zarówno dalekie i puste. Czego wy potrzebujecie, to filozofji, któraby nietylko ćwiczyła wasze zdolności w przyswajaniu umysłowego materiału, lecz któraby tworzyła pewną pozytywną łączność z tym rzeczywistym światem doczesnego życia naszego. Poszukujecie systemu, któryby łączył lojalność naukową względem faktów, chęć brania ich w rachubę, pewnego ducha przystosowania się do nich ze starą ufnością w wartość człowieka i wynikłą stąd samorzutnością czy to religijnego czy romantycznego typu. I! to stanowi wasz dylemat—widzicie obie części waszego żądania beznadziejnie rozdzielone. Znajdujecie empiryzm z inhumanizmem i bezreligijnością, lub znowu znajdujecie filozofję racjonalną, która może nazywać sama siebie religijną, lecz która usuwa się od wyraźnego zetknięcia z konkretnymi faktami, z radością i smutkami“.

Jeden z uczniów W. James'a pisał kiedyś do niego: „byłem zawsze przekonany, że kiedy wchodziłem do auditorjum filozoficznego, to otwierano mi oczy na stosunki do świata zupełnie odmienne, niż te, jakie zostawiłem za sobą na ulicy. Przypuszczam, że oba te światy mają tak mało ze sobą do czynienia, że jednocześnie, w tym samym czasie nie można zajmować się obydwoima. Świat konkretnego osobistego doświadczenia, do którego należy

ulica, jest wielorakością, przechodzącą wyobraźnię bolesną i zwątpiałą. Świat, do którego wprowadza was profesor filozofji, jest prosty, jasny i szlachetny. Niema przeciwnieństw życia rzeczywistego w tej filozofji. Budowa jej jest klasyczna. Zasady rozumu zakreślają jego kształty, logiczne konieczności spajają jej części. Czystość i dostojność—oto, co filozofja wyraża najbardziej. Stanowi ona rodzaj marmurowej świątyni, świecącej na pagórku. W odniesieniu do faktów jest to coś znacznie mniejszego, niż sprawozdanie z rzeczywistego świata, raczej jasny dodatek nadbudowany na nim, klasyczne sanktuarjum, w którym wyobraźnia racjonalistyczna może szukać schronienia przed nie do pojęcia pomieszaniem gotyckim charakterem, jaki przedstawiają fakty. Nie jest to wytłomaczenie naszego konkretnego wszechświata, jest to zupełnie inna rzecz, jakiś jego zastępca, jakieś lekarstwo nań, droga ucieczki od niego.

Temperament filozofji, jeśli można użyć tutaj tego wyrazu, jest całkowicie obcy temperamentowi bytu rzeczywistego. Wyrafinowanie—oto co określa naszą intelektualistyczną filozofję. Zaspakaja ona wyłącznie chęć poszukiwania tego wyrafinowanego przedmiotu kontemplacji, która stanowi tak silną potrzebę umysłu. Lecz proszę popatrzeć z całą powagą na ten olbrzymi wszechświat konkretnych faktów, na jego straszne zdziczenie, jego dziwy i okrucieństwa, dzikość, jaką on wykazuje, i zapytać potem, czy rzeczywiście *wyrafinowany*—to ten nieudnikiony przymiotnik opisowy, jaki narzuca się waszym ustom. Wyrafinowanie posiada swe miejsce w rzeczach—lecz filozofja, która teźnie tylko wyrafinowaniem, nie zadowolni nigdy empirycznie usposobionego ducha. Wydaje się być ona raczej pomnikiem sztuczności. Dlatego widzimy ludzi nauki, którzy wolą odwrócić się plecami od metafizyki, jako od czegoś klasztornego i widziadło-

wego, i ludzi praktycznych, strzepujących kurz filozoficzny ze swych stóp i podążających za głosem dzikości.

Jest coś strasznego w tem zadowoleniu, jakie wywołuje czysty, lecz nie rzeczywisty system w umyśle racjonalisty. Leibniz był umyślem racjonalistycznym ale interesował się faktami w stopniu większym, niż większość racjonalistów. Lecz jeśli szukać wielonej powierzchowności, to dosyć przeczytać jego prześlicznie napisany traktat pod tytułem „Teodyceja“, w których szukał on usprawiedliwienia dróg Boga do człowieka i starał się dowieść, że świat, w którym żyjemy, jest najlepszy z możliwych światów. Słabe ujęcie rzeczywistości rzuci się w oczy u Leibniza, nie wymaga żadnych dodatkowych komentarzy. Widać odrazu, że żaden obraz realny doświadczenia jakiejś duszy przekłetej nie zbliżył się nawet do wrót jego umysłowości. To, co on nam daje, to zimne, literackie wypracowanie, którego treść nie może rozgrzać. Proszę nie mówić mi, że sięgnąłem aż do okresów epoki kamiennej dla wykazania płytkości racjonalistycznej filozofii. Optymizm racjonalizmu społecznego brzmi tak samo pusto dla umysłu lubiącego fakty i dzisiaj. Rzeczywisty wszechświat jest rzeczą otwartą szeroko, ale racjonalizm tworzy systemy, a systemy muszą być zamknięte. Dla człowieka w życiu praktycznym doskonałość jest czemś dalekiem i ciągle podlegającym procesowi doskonalenia. Dla racjonalizmu jest złudzeniem o skończonym i względnym; absolutną podstawą rzeczy jest wieczna zupełna doskonałość.“

Dalej przedstawia James szereg przykładów z życia rzeczywistego, bardzo sprzecznych z pogodą racjonalistycznego optymizmu. Czerpie je z książki znanego anarchisty amerykańskiego Morrisona Swifta, rzuciła przytem uboczną uwagą, która powinna dać do myślenia tym wszystkim, którzy, pociągnięci zamięłowaniem James'a

do rozstrząsania zagadnień religijnych, chcieliby go widzieć wśród wyznawców tych wszystkich haseł, związanych z nas z religią. Powiada mianowicie „anarchizm Morissona Swifta idzie trochę dalej, niż idzie mój anarchizm, lecz przyznaję się otwarcie, że ja mocno z nim sympatyzuję, a i wy także z pewnością będziecie sympatyzowali z tem niezadowolaniem jego z idealizmu optymistycznego, obecnie bardzo wziętego“.

„Fakty, przytoczone według Morissona Swifta, dowodzą niezbitnie nicości religii.“

„Ludzie od dwadziestu wieków uprawiają religję bez skutku. Czas jej przeszedł, jej twierdzenia skończyły się, jej własne wyniki ją grzebią. Ludzkość nie może wiecznie próbować uprawiać zdyskredytowany system.“ „Taką jest synteza“ powiada James „bilansu racjonalisty, dokonana przez umysł empiryka.“ „Religia“ powiada Swift „podobną jest do lunatyka, dla którego życie rzeczywiste nie istnieje. Podobny wyrok, może mniej uczuciowo podkreślony, wyda każdy, kto poważnie zwraca się do filozofji o zadosyć uczynienie jego wymaganiom przyrodzonym. Empiryczni pisarze ofiarowują mu materializm, racjoniści dają mu religję, lecz dla tej religji życie rzeczywiste nie istnieje. Dzięki temu staje się on sędzią nas, filozofów. Uważa nas za pustych.“

„Pragmatyzm rozwiązuje całe zagadnienie. Może on pozostać religijnym, jak racjonalizm, ale jednocześnie, jak empiryzm, chce zachować najbogatszą styczność z faktami. Mam nadzieję zjednać waszą dobrą opinię dla pragmatyzmu, którą sam posiadam o nim.“ Jeśli filozofowie mogą traktować wszechświat oderwanie, nie powinni uskarżać się na oderwane traktowanie filozofji samej przez życie. Mam nadzieję, że wykłady moje doprowadzą nas do znalezienia drogi, której wszyscy potrzebujemy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



SAVITRI.

KSIEGA MILCZENIA.

Szeroki, szeroki świat...

Leżę wśród ruin zamku Czorsztyńskiego w obramieniu dwóch hardych złomów kamiennych. Pod stopami memi twarda, ślizka trawa upłazu, po którym ongi wdrapywali się wrogowie, truchlejąc pod wejrzeniem nieubłaganych dział, straszących czarnem okiem na tle ażurowych strzelnic, zawieszonych kotarą niepokalanie szafirowego nieba.

Kaliny pochylają ku mnie kraśne jagody. Cicho. W dali widać zakrety Danajca, widać góry, jak czaszki powalonych olbrzymów, zarzucone smrekowym kobiercem na przyjazd zwycięzcy. Jestem tu, gdzie jest dal. Tęsknota rozplywa się w głębokiem westchnieniu ulgi, w nieprzytomnem ze szczęścia zatrzepotaniu swobody.

Przekroczyłam przestrzeń krokiem niepowstrzymanym, wstąpiłam w dal, jestem w niej, a ona we mnie. Przyciskam ją do piersi upojonej, czuję, jak wpływa we

mnie oceanem powietrznym, jak się we mnie rozwiewa i nicestwieje. Dal szafirowa, w zaboreczym uścisku wędrowniczej radości uwięziona — dal schwyтана: cicho, cicho, nie odchodzi!

Chwilę poleż na piersi zdyszanej, dopóki cię znów nie odrzucę, dopóki za tobę nie pogonię.

A teraz władam. Tętna biją mocno i młodo.
Szeroki, szeroki świat...

Idę drogą dolinną. Za mną idzie huk wezbranego Dunajca. Pozrywał mosty, zalał nędzne pola uprawne i wypędził ludzi z dusznych legowisk w radość bezdomną, w szerz-zwodzicielkę. Na podeptanym trudzie przyziemeów, na druzgach domków-ciasnotek rozpienił się w mocy szalonej.

I cóż, że tam rozpacz kartła bezsilnego zawodzi? Na gruzach wzrasta wszelka moc. Bądź błogosławiona, odwago niszczenia—gdy z ciebie się rodzi objawienie potęgi!

Huczy woda, rzuca się naprzód, jak nieugięta klinga stalowa, od licznych cięć chropawa i pogięta. Rzuca się i pręży w gwałtownem pragnieniu ciosu — cios nadludzki, wspaniały, który ziemię wstrząśnie i dusze bohaterstwem przeszyje.

I cios ten niech się stanie.

Choćby przez moją pierś!

A jeżeli mój cichy jęk może wzmóc ten grzmot nawalnej wody —

to niech mnie zmiecie!

Idę drogą dolinną — po kilka dniach wytechnienia w dolinny trud, w bitewne mozoly.

A wezbrany Dunajec szumi pieśń cudowną i dziką, woła bezsłownie imię jeszcze nieznanę, imię groźne i słodkie.

Jak ciężkie głazy w łożysku, których prąd unieść nie zdoła, osiadają w sereu głoski, wrywa się w nie imię jeszcze nieznane...

Pokój studencki, na stole szklanki z niedopitą herbatą. Obok trupa czaszka, a nad nią w szklanym cylindrze astry bezwonne i białe.

Odpozywam w fotelu. W każdym mym członku drga szczęśliwe przemęczenie, pienia się jeszcze we krwi radość przybycia i nie wygasta wędrowna ochota. Wkrótce pójdziemy z Magdą włóczyć się po Krakowie.

W zaśnie kąt, w pleśnie zagładać będziemy ciekawcami, dzisiejszemi oczami.

Zapukano do drzwi. Wszedł mężczyzna, widocznie towarzysz. Umawiają się z Magdą o przejazd za kordon. Brzmienie głosu nieznanego rozeszło się po nerwach, jak rozbiegane kropelki rtęci. Odwróciłam głowę. Magda zapoznała nas. W pierwszej chwili otoczył mnie lekki zamęt, obłoczek rozchodzący się z nagle spłoszonego sereu. Potem wyraźnie zobaczyłam i na wieki pamięcią ogarnęłam oszałamiające oczy — płomienie. Były to oczy nie zaśnione, lecz takie, które swój sen już posiadały i w zachwycie w sereu noszą.

Magda musi być gdzieindziej. Zaproponowała nam, abyśmy razem poszli oglądać Kraków. Przybyły towarzysz zgodził się chętnie. Poszli — zostałam na parę godzin sama.

Wyciągam członki, cicho drzemię na jawie, biorę astry, strząsam z łodyg warstewkę wody. Krople lecą, lecą pod światło i rozteczają się w niem. Trzymam kwiaty, czuję w nich jeszcze niewygasłe życie. Rośliną się czuję wyrwaną z gleby, przesadzoną w kryształowy żywioł w sferę beznamiętną. Odcięte korzenie z grudkami zie-

mi, z pyłem brudnym i szarym. Krążą myśli, jak woda przezroczą, miast gęstych a pożywnych soków.

I nagłe zachecenie, nagłe nabrzmienie żył wszystkich lawą gorącą: korzeniem w ziemię wrość, jej sokami upoić się i nieznany mocny aromat lata czuć uderzający do głowy, oplątujący zmysły siateczką niewidoczną...

Jest gdzieś słodycz, która ból ustawiczny świata równoważy. Jest potęga, która raz tylko w nabożnie struchlałą duszę uderza i na niej piętno niezłomności kładzie.

Jest złoty klucz, który skarbiec mój głęboko ukryty, a mnie samej nieznany, otwiera. W tej chwili wiem, że jest we mnie ład nieodkryty, którym o władnie ten, kto go pierwszy dotknie stopą zdobywey. Ku ładowi temu płynę przez toń, lelejącą się zacisznie. Przypływam — czuję niby lekkie odtrącenie łodzi. Tu mi odtąd pozostać. Oczy biały obłok zasnuwa — łączka biała z globów rozwiewnych, z mlecznych kul kwiatowych, ni to dmuchawców. Wiem: by dojść do bramy — pokusy, trzeba tę łąkę z puchów niewinnych doszczętnie stratować. Żal kładzie się na duszy niemocą i łzami. Żal przeszkadza spełnić konieczność. Wytężam wołę, wołę ku nowym sił obudzeniu. Stać się muszę, w pełni zakwitnąć, wydobyć z tajnie mej dojrzalności dzieło przedziwne i mocarne, wydobyć je z wiedzy życia kielicha.

Niech się stanie wola moja!

Podnosi się we mnie chęć wezbrane, jak powódź hucząca. Aż do najwyższego kresu —

I nagłe —

Tysiąc rumaków oszalałych szarpnęło się z uwięzi. Rzuciło się na łąkę białych puchów. Przeleciało i zostały tylko ślady kopyt, świeżą posoką wiotkich łodyg zwilżone.

Wehodem, wlatując w ogród jakiś... Mocny i zdrowy

zapach jaśminu, słońce niewidzialne rozpala ciało, wsiąka w nie wszystkimi porami, rozpręża w bezoporność, w której jest nieprzemierzona siła, w samą siebie zapadła, nad krawędzią tajemnicy w okrutnem dumaniu pochylona. I naraz zaczynają się chwiać w złotych kadzielnicach złote dymy. Otaczają mię obłokiem, zasnuwają wzrok, fałami słodkimi zalewają piersi i oddech tamują. Wciągają mnie w złote wiry i w ich coraz szybszem krążeniu strącają niepostrzeżenie w otchłań zapamiętania. Leżę w niej odurzona, spowinięta w słodki, moeny zapach storezyków. Nie wiem o sobie. Potem znów zaczynają krążyć złote wiry, przerzedza się mgła na oczach. Patrzę na równy, niejaskrawy dzień letni, zdziwiona po raz pierwszy spostrzegam od kilku dni zapamiętane ściany.

Jeszcze w dobrotliwym bezwładzie spooczywam, a już świsnęła myśl, jak cios obucha:—Więc to tak? Klucz, co nowe wierzeje we mnie otworzy, zamknie na zawsze ogród biały i prosty. Zdepczą puchy kwiatów bielutkich rozpiętane ramaki. Lecz i w nowe, nieznanne kraje poniosą. I stanie się cud, po raz niezliczony, a pierwszy i jedyny.

Jak woda głęboka — dusza moja. Śpią pod powierzchnią śpiewne ondyny, jeno zakłęcia czekają, by wypłynąć ze swą pieśnią. Trwożnie pojmuje dusza, że raz tylko może zabrzmieć zakłęcie...

Więc woła moja niech się stanie!

Idziemy po cichych ulicach wśród kamienie o własnych, odrębnych obliczach. Błąkamy się wśród grobów, aniołów i rycerzy witamy imieniem wyczytanem z lic marmurowych, zanurzamy się w zeszłowiecza wirydarze jaśkrawe.

Przytulnie spoczywa stare miasto na pleśniach miękkich, pod czcigodną patyny osłoną. Sennie i niewzruszenie przysłuchuje się opowieściom, które między nami się snują.

On opowiada: Trumna zewsząd zamknięta, szczelnie żelazem okuta. W czterech ścianach zawarto życie człowieka. Sączy się światło — jałmażna przez okratowane okienko. Cisza nieprzerwana wśród murów grubasnych, które, rozpalone więźnia nienawistnym wzrokiem, łzami straszniemi się poęą.

Co godzina miarowo biją zegary, po korytarzach dalekich i pustych chodzi echo — istota nieznana, przez drzwi, przez ściany szpony niewidzialne aż do drzwi zapuszcza, szarpie i przewraca pod sercem żmiję zdawien dawna wtuloną, zadrzemaną w zmęczeniu swej katowskiej roboty. I długo idzie przez korytarze echo-podzwonne, grzebiące żywego życia godziny...

Słowo ludzkie nie ozwało się nigdy. Stała się wokoło duszy atmosfera jednostajna i nijaka, jak mrok, w którym nie się nie dzieje. I zaczęły oczy znużone krzesać ze siebie błyskawice olśniewające i ćudne. I odtąd już zostało światło własne, latarnia morska wśród nocy barzliwej. A wszelkie światło z zewnątrz było jako nadmiar i widowisko radosne.

Bo światła już nie potrzebuje mrok przeświecony i już przesycony, nie syci się niem więcej.

Biała równina bez końca... Na krańcach równiny — tajga zadumana, oszroniona. Groźne i nieublagane są głębie czarne, chłód śmiercionośny i potwory — kudłacze kryją gałęzie nieobjętych cedrów i sosen, z arkad swych ziemi sięgających splatające wysokie pieczary. Śniegi iskrzą się złowrogo w noc gwiazdzistą, wyiskrzają tysiące srebrnych sztylecików, kłających oczy. Cisza groźna i zakrzepła.

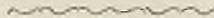
Nagle na środek równiny wyczołgał się cień, w świetle nocnym potwornie wyolbrzymiały. Wilk samotny wyszedł na równinę i stoi sam. Sam w milczeniu mocarki—zimy. Sam przeciwko aklaciom mroza, sam przeciwko wrogim paszczekom. Wśród nieskończonej syberyjskiej nocy błąka się—w pustyni, w swoim żywiole. Cała pustyniã jest w nim, a on całą pustynię wypełnia sobą. Omija wszelką siedzibę, strzeże zazdrośnie niewidzialnych wierzei swego królestwa, — okręgu spiętego srebrnemi kłamrami snu. Towarzysza, któryby się podkradł ku niemu, a świętokradzko dostojeństwo pustyni znieważył — rozszarpałby na strzępy. Jest bezmiar utajony w syberyjskiej nocy... zagabionej w tajgach i śniegach.

...A mnie się zdawało, że to nie mowa ludzka, że to cedr w pustyni śnieżystej szumi stąd o wiele, wiele tysięcy mil...

Zalane słońcem miasto. Wesoła zieleń kasztanów w zacisznych uliczkach. Z balkonów nowych domów zwisają festony pnączy. Obec i natrętne wtargają do duszy turkoty i odgłosy miasta. Poprzez dzień letni, wśród świadomości o wielu ciepłych dłoniach, rozsnuwa się całun wpatrzonyj we własny ogrom pustyni... Żal nie do przebycia i nie do ogarnięcia. Żelazne koło samotnego istnienia. Zewsząd zwarte, zaklepane na wieki wieków.

Jakież dłonie olbrzymki złamać je zdoła?... A może ono miażdży wszystko, co okrąg jego przekracza?

Szumi stąd cedr o tysiące, tysiące mil...



Dziś weszliśmy do kościoła Franciszkańskiego. Siedzieliśmy w stallach. Kwiaty okalające dwa witraże — dwa sny ekstatyczne, dźdźły nam w dasze w półmroku zacisznym. Wniebowzięta twarz św. Salomei i św. Fran-

ciszka prosta, braterska modlitwa... Wszelkie dokonanie w brutalnym wirze walki stało się dalekie i obce.

Przebrzmiały zmagania się z pokusą jaskrawą codziennego dnia. Przewiało brzemień chwil zwątpienia i upadku.

Oto już po wielkim boju i zwycięstwie. Po szczeblach stromej drabiny dosięgnięty próg niebieski. Trwa dusza w słodkim śnie o niepojętem i o sobie już nie wie.

Spojrzałam na niego. Piękno sfrunęło cicho na jego piersi i otworzyło drzwiczki zakąte. Przyémiony blask zwycięskich oczu. Po twarzy ślizgają się miękkie tony, jak pierwsze fale po odtajałem jeziorze.

Przeszliśmy ku witrażowi Boga Ojca. Olśniewająca wichura barw porwała mnie w zamęt światła. Po chwili ujrzałam władną prawicę w twórczym nakazie wzniesioną. Orgja twórczości, bezgraniczne rozpętanie woli w słońcu. Potężne od krańca do krańca: stań się. Przetapiały się zwolna tęcze słoneczne witrażu na krzyk olbrzymi, na wołanie muzycznym rytmem krwi, na śpiewanie w słowach ongi, jak perły na dnie morza utopione:

...I weź na skrzydła, skrzydła twe wichrowe —
i nieś mnie w dale, dale szafirowe...

Powiedziałam sama nie wiem kiedy: — Taką oto moc twórczą trzeba we mnie rozpętać. Darzącą i dźwięgającą. A ja ją rozdram ludziom. —

Popatrzył na mnie ciekawie i zapytał:

— Jakże to zrobić?

Odpowiedziałam:

— Wy przyjdziecie kiedyś do mnie choć na dzień, choć na godzinę. I taką oto moc twórczą we mnie rozpętaście. —

Stał i patrzył jeszcze na mnie przez chwilę. Usłyszałam w drzemiącym kościele zgrzyt żelaznego koła, które się ścisnęło szczelnie, samoobronnie.

Wyszliśmy na planty. Po chwili ujrzałam jego zwykłe oczy i usłyszałam głos, zaledwie o parę tonów głębszy:

- Czy wiecie, że mi nikt niepotrzebny?
- Wiem, ale wy jesteście mi potrzebni. —
- I coś zrobicie, abym przyszedł do was? —
- Nie. Będę tylko chciała. —

Szliśmy w milczeniu. Lekko szumiły drzewa, a głosy przechodniów obijały się o uszy i ześlizgiwały z uwagi bez śladu.

Gdyśmy przechodzili koło kawiarni, powiedział do mnie:

- Wejźmy. Tu jest teraz Magda. —

Wistocie przy stoliku w głębi siedziała Magda w swej szarej bluzce i prostym kapelusiku. Zapijając coś z filiżanki, w przerwach pilnie porządkowała swe notatki. Usiedliśmy przy niej. Melodja, wyniesiona z Franciszkańskiego kościoła, ciągle jeszcze uderzała we mnie niewidzialnymi skrzydłami. Powtórzyłam ją Magdzie, a oczy jej stały się na chwilę piękne i głębokie.

Towarzysz zauważył:

- Jak można roztrwaniać skarby przeżytych chwil piękna i wyzuwać się z nich na czyjaś korzyść!

Odrzekłam na to:

- Czyż nie jest to właśnie rozszerzeniem i utrwaleniem bytu chwil pięknych? I jakaż inna droga pozostanie od duszy do duszy, jeżeli odrzucimy nawet jedną na dziś, choć zachwaszczoną ścieżynkę piękna?—

— Jeżeli ma być siła, dusze ludzkie powinny być jak szczyty, a jedynymi drogami między nimi — otchłanie. —

— Tem lepiej — niech będą między ludźmi otehtanie. Wtedy porozumiewać się będą mogły tylko — dasze skrzydlate. —

Magda przytwardziła gorąco. Tak, między ludźmi powinno być porozumienie, a kto myśli inaczej, ten niegodzien budować nowego społeczeństwa. Tu spojrzała wyzywająco na towarzysza.

Ten zaśmiał się wesoło:

— Tylko ten *może* je budować — rzekł lekko, poczem wyszliśmy z kawiarni. Magda, choć jeszcze zarumieniona ze zmęczenia, znowu pobiegła na jakieś zebranie. Towarzysz odprowadził mnie do domu, a po drodze powiedział mi swoje prawdziwe imię:

— Andrzej!...

Elegancki salon, pełen ludzi. Siedzą na kanapkach i krzeselkach, stoją wśród fałd ciężkich draperji u drzwi. Bat ordynarny depeze aksamitne kwiaty dywanu, ręka nieurobiona, a z bezsenności pomięta i żółkła, zrzuca niecważnie popiół na atlas bez skazy w gwałtownym zapale sporu. Kłęby dymu pełzną cieniutkimi pasemkami dokoła liści filodendronów i palm. W powietrzu czuć apel nieustanny. Ona — niewidzialna, wielooka patrzy zapalającymi się płomykami źrenic. Przez źrenice dojrzeć można serca, jak słoneczniki, obracające się ku słońcu, lub, jak ezary lotosu, otwierające płatki ku księżycowi. Ręce aściskiem bezwiednym się łączą — w olśnieniu ciała, iż oto słowo staje się ciałem. Witają mnie:

— Przyjechaliście? do roboty?

KSIĘGA MILCZENIA.

— Do roboty — odpowiadam wesoło.

Wikta odciąga mnie na stronę i pokazuje list. — Pytają o was z Krakowa, czy pomyślnie dojechaliście — mówi tajemniczo.

— Kto pyta?

— Wy go nie znacie. Pisze: proszono mnie zapytać, czy dojechała pomyślnie Wanda? —

— To pewnie Magda pyta — odszeptując jej z wypiekami na twarzy. Nie, on nie mógł się zatroszczyć. Naturalnie, że nie mógł. Poczłam się bardzo samotną wśród wielu ludzi.

Odwołał mnie kto inny, by dać polecenie. Pójdę dziś pod obóz na przedmieście — dasze zagarniać siecią jedwabną i wczarowywać w nie poświsty burzy...



Przyjechał. Wchodząc na zebranie zobaczyłam go odrazu w progu, rozmawiającego z ożywieniem z Wikta. Podniósł na mnie oczy i przeczytałam w nich wyrok twardy, nieubłagany.

Podał mi rękę bez słowa i potem natychmiast zapomniiał o mojej obecności. Małeńka, zatruta ranka wykwitła na sercu, jak stygmat. Odwróciłam się ku oknu. We framudze uśmiechnęła się do mnie twarz męczeńska, przezroczyta od bladości, ze starczą brózdą między ciemnymi brwiami. Samotność długoletnia, przymusowa starła z tej duszy głos, przykryła ją jednostajnym całunem tęsknoty. Bolesna odmienność nie pozwala mi wcielić się w radosną czeredę. Widzenie tej twarzy upadło jak czysty płatek na serce moje i zakryło, przewinęło rankę na niem. Zbliżyłam się do niego, starałam się tknąć jego duszę dalekim poświstem wichrowym, przelatującym nad ziemią.

Roman uśmiechnął się sachotniczo i nieufnie. Pani rycerska objawiła mu się niegdyś w pięknie i chwale, a gdy zbliżył się do niej, przepołowiła się jej postać i ukazała wewnątrz wysadzone ćwiekami. Bo zblizka była Dziewicą tortur. I był na jej łonie ciernistem, na łonie Ukochanej, tak długo, aż hymn miłości zmienił się we wściekłe rżenie męki. Uśmiechy przefrąnęły między nami. Arka mostu przerzuciła się z brzegu na brzeg.

— Przychodźcie do mnie czasem — powiedziałam, ściskając jego rękę mocno na pożegnanie.

Andrzej zdawał się tak zajęty poważną rozmową, że chciałam się z nim nie żegnać. Lecz w chwili, gdy wysłizgiwałam się z pokoju, odwrócił się i przykuł mię do miejsca spojrzaniem.

— Zaczekajcie trochę, wyjdziemy razem—powiedział prawie surowo. Serce się męząco zatłukło w szczęściu i bólu. Chciałam jednak wyrwać się z pod cudzej woli, która mnie dotknęła spokojnie i bezwiednie. I nie mogłam. Podałam sobie ciche usprawiedliwienie: nie walczyć z miłością swoją, bowiem zwycięża bezbronny. I czekałam bardzo długo, lub może parę chwil tylko. Wyszliśmy na ulicę. W zmieszaniu szłam szybko, pragnąc jednocześnie przedłużyć tę niewiadomą drogę, którą mieliśmy odbyć razem. Wszystkie uczucia wirowały we mnie i machinalnie liczyłam płyty asfaltowe.

— W jakiej dzielnicy będziecie pracowali? — zapytałam, aby przerwać milczenie. —

— Nie wiem jeszcze, to zależy, — odparł Andrzej, patrząc z pod oka;—pewnie w tej, w której się będę czuł najsamotniej. —

— Czy to wam do pracy potrzebne? —

— Tak, każdy człowiek bliższy krępuje. Ten, co walczy, powinien być wolny, powinien być pewien, że w chwili rozstrzygającej żadne rozkwilone uczucie nie

uczepi ma się ręki i nóg nie oplącze. Powinien być wolny, — powtórzył z wyzywającym spojrzeniem.

— Tacy, jak wy, — odparłam twardo — uważają silne uczucia za grzech, bo naruszają doskonałą równowagę życia. Co więcej — psują życie, i tacy nie chcą znieść ciężaru śmiertelnych przywiązań. Nietrudno przejść bohatercko przez życie, gdy się jest obcym jego treści i gdy się nie idei nie przeciwstawia. Nie, trzeba się ugiąć i jęknąć pod brzemieniem uczucia, trzeba doznać, jak wszystkie fibry oplata, i wyszarpywać je wtedy, gdy pasorzytnie, aż pod korzeń serdeczny się wesołgnie — trzeba doznać tego i zwyciężyć. Taką potęgę nazwę bez skazy. —

Przeszywał mnie błyskami ironji, pod którymi serce cierpiało i mdlało: — Macie słuszność, taka potęga będzie bez skazy. Dźwigającym niech zwiększy się brzemień. Lecz o cóż to wam chodzi? czy chcecie mnie przekonać, czy siebie usprawiedliwić? —

Zaparło mi oddech i zrobiło się niecznośnie i strasznie w przelotnym maśnięciu krzywdy. Nagle zwróciłam się w inną stronę. — Zapomniałam, że mam jeszcze wstać w jedno miejsce — dowidzenia — rzuciłam ma i poszłam. W pustej uliczce dzwoniły kroki moje opuszczone, za którymi nie pogoniło ucho niczyje. I tylko czołgały się za moim śladem podłużne cienie wieczorne.



Siedzieliśmy w moim pokoju — Roman i ja. Przez okno otwarte widać czubki drzew, sięgających niskiego piętra, i zorzę wieczorną. Powoli przygasa zorza wieczorna. Dalekie turkoty ucichają, opadają i zrywają się znova. Wlatują zmierzchy o przejrzystych skrzydełkach

niebieskich i szarych i maskają nam delikatnie skronie. Wchodzi zaduma, siada wśród nas i oczy nasze zatapia w sobie mądrze i głęboko. Roman opowiada o sobie.

— Widzicie, trzeba całe życie do końca, aż do najdalszego załamania przecierpieć i przemyśleć i wtedy niepodobna być takim, jak inni. Bo pomyślcie tylko: wiedzieć, że w każdej chwili wszystko, cokolwiek stanowi potrzebę i ozdobę życia, wyrasta z cierpienia, mieć uczucie, że się ciągle chodzi po cudzych głowach, po głowach tłumy, który sparty da się i rzęzi pod nogami, a wtedy każdy krok jest męczeńskim stąpieniem po rozpalonem żelazie, lub po ćwiekach. Trzeba przejść przez wszystkie więzienia ludzkości, nietylko fabryki, więzienia, szpitale i szklanki, nietylko czworaki i karczmy, lecz te niewidzialne mury, którymi ogradzają i odgradzają dusze, trzeba znać tę atmosferę strasznego chłodu lub zamkniętej hermetycznie lawy, trzeba natknąć się i własnymi rękami dotknąć się trupów umarłych z głodu ciała lub duszy wśród milionowych miast, trzeba widzieć bezlitosność dla chorego człowieka, kradzież cudzego zdrowia i życia — żeby planąć takim życia w oczy.

I jedyna jest droga, by się utrzymać przy życiu: niszczyć, tępić, walić w całe plugastwo, w szarańczę na radosnych winnicach. Kiedy nie robię nic, żeby życie przetworzyć, żeby oczyścić te zaszlamione stawy, zdaje mi się, że życie ustaje, i nachodzi mnie znova martwa rozpacz. Patrzę wtedy w twarz śmierci — widziałem wielu konających ludzi. Przechodzę szaleństwem wyobraźni powolne zamieranie zmysłów, mięśni, płuc, mózgu i serca, przechodzę rozpacz ostatniego krzyku świadomości, ostatniego huczącego błysku, którego już nikt nie słyszy i po którym już następuje nicestwo. I, śmiało okropnieć — śmierć biorę za rękę, by ją skierować przeciwko zbrodniarzom i bez drżenia odwracam jej chód, znaczony

niby jakimś tam losem. Bo człowiek jest panem życia i śmierci i jego dawna wola rozstrzyga i wola sądu. Nasze ludzkie sumienie spokojnie śpi, gdy w nocy żebraczka z niemowlątkiem ginie pod płotem, gdy wypaczzone dasze i storturowane ciała krzyczą ratunka i bez ratunku giną—i spokojem swym dają sankcję wszystkim śmierciom. Lecz śmierć jednego zbrodniarza i ciemnościela, opoja i świadomego syna Arymanowego przestrasza nasze delikatne, inteligienckie ręce. My, od tej śmierci się powstrzymując, jesteśmy sami zbrodniarzami i potwierdzicielami istniejącego złego. Ktokolwiek w chwili obecnej nie idzie druzgotać i walić wszystkiego, co stoi na drodze, ktokolwiek każdego swego kroku nie czyni krokiem ku nowym i twórczym rzeczom, ktokolwiek rąk nie wyciąga ku światu, lecz chowa w kieszenie, jest w tej chwili zbrodniarzem i na jego barkach leżą wszystkie klątwy, które jego dzieci obarczają i jego nieszczęśliwą samozachowawczość pomszczą straszliwie. Zbrodniarzem jest ten, kto choć jednej zmurszałej cegiełki z gmacha życia nie wyszarpnie i na to miejsce nowej nie wstawi. Zbrodniarzem takim jak ten, który widzi, że zarzynają dziecko, a na pomoc nie pośpiesza.

— W takim razie ludzie powinni być silni, ogromnie silni, — mówię, — lecz gdy wszyscy będziemy żyli — któż będzie używał? —

— Jesteśmy za ubodzy na używanie. —

— A jeżeli krzyk wybucha i woła o chwilę użycia?—

— To zdusić, jak skowronka, co wleciał między orły. Niech się nie odzywa. Nie wolno.

— Łatwo wam powiedzieć! To się odbarwmy ze wszystkiego, co ludzkie. Czyż my, chodzące formuły idei, potrafimy nie tylko być żołnierzami, lecz i tworzyć życie? Czyż w was, pomimo wszystko, nie płacze tęsknota za

pięknem, za blizką, blizką duszą, za zzuciem rysztańka rycerskiego?

— Płacze tęsknota za takim stanem, kiedy można będzie pić, nie myśląc, że ktoś inny kona z pragnienia. Tymczasem wszystkie źródła zbyt są spleśniałe. Nie chcę pić. Nie mogę wytrzymać z tą wyostrzoną, niesłychanie wyraźną pamięcią o obliczu życia. Istnieję o tyle, o ile przetwarzam: o ile dokoła mnie jest ruch, i o ile w tym ruchu zatracą się moja nieuleczalna rana.

— Więc wy z pracy robicie sobie nieustanną narkozę? Toż słabość—nie znosić życia na trzeźwo. I co wy tam opowiadacie! Czyż nigdy nie pomyśleliście i o innej narkozie, o chwili, gdy dwoje staje się jednym i nie ma przegród między niemi?

— Tego być nie może. Ludzie są podobni do jeźwozwierzów. Tylko mają igły dłuższe lub krótsze. Skalałam się ciągle sam w sobie, bo boję się pokłuć. A nawet osobnik uigłony szęatkowo, gdy mocno przyciśnie do piersi, to pokłuje. —

— A ja — czy was pokłuję?

— Wy — wy to może nie, wy nie pokłujecie igłami, a możecie otruć, sami nie wiedząc o tem. —

— W jakim to sposób? — zaczęłam się śmiać, gdy nagle niecierpliwie i rozkazująco szarpnięto za dzwonek. Poszłam otworzyć i w niewyraźnym zmierechu poczułam raczej, niż zobaczyłam Andrzeja.

— Wchodźcie, — powiedziałam cicho.

Zapaliłam lampę. Przywitał się z Romanem, który już cały zgasł i zapadł w siebie.

— Pewnie macie do pomówienia w sprawie — rzekł Roman i wyszedł. Andrzej siedział naprzeciwko mnie, z drugiej strony biurka, stojącego pod ścianą. Zdawał się być mocno zmęczonym.

— Sprawa jest taka — zaczął, — przeznaczono mnie do waszej dzielnicy. Musicie mnie zapoznać ze stanem rzeczy i zaprowadzić jutro na przedmieście, pod obóz. Rozejrzemy się i ułożymy dalszy plan roboty. Idziemy jutro o szóstej. Wstąpię po was. —

— Dobrze—odpowiedziałam, czując wzbierający za-
lew radości.

Będziemy się spotykali codzień. Andrzej siedział ciężko zmęczony. Odpoczywał.

— Mam tu trochę do pisania, — powiedział, rozwiewając błękitną ciszę, która rozesnęła się między nami:— można u was?

— Można — odpowiedziałam i odsunęłam książki z biurka.

Usiadł i zaczął pisać, nerwowo przewracając kartki, pokreślone niezrozumiałymi znakami. Wzięłam w rękę książkę i udawałam, że czytam, pochłaniając ukradkiem czyste linje jego głowy, i rozpalając się, i szalejąc, i rozpamiętując w niewymownem szczęściu jego obecności.

Turkoczą miarowo koła wagonów. Noc zagląda przez okna i ze snopami iskier z lokomotywy wlatuje wieść o radosnej przygodzie, o krzyku budzącym echa.

Wysiadamy na małej stacji. Ostrożnie skradamy się przez miasteczko! Psy wyją, a księżyc wstaje za nami ogromny i czerwony. Oto już ostatni dom zostawiliśmy za sobą. Idziemy drogą polną, drogą chłodną od ros przedrannych. Czarna smuga zarysowuje się przed nami—pas aksamitu na gazach mgieł.

To las. Weszliśmy w podwoje zielone. Kępki twar-dolistnych borówek i czarnych jagód szeleściły pod naszymi nogami. Kłady nas igły sosnowe. Wreszcie za-trzymaliśmy się na dążej polanie.

— To tu — powiedział Andrzej.

Rozpaliliśmy ognisko i grzeliśmy się przy niem — Andrzej, Roman i ja. Las szumiał przeciągłe pieśni. Roman zerwał ogromną naręcz paproci — zanokcie i zło-żył przede mną. Cierpki, trochę nieprzyjemny ich zapach witał świeżością lasu.

Przebierałam wachlarzyki paproci, strzepując sy-piący się pyłek zarodników. Wkrótce wstało słońce, ukoś-nemi smugami przedarło się przez igliwie sosnowe. Las wypełnił się szmerem stłumionym. Zaczęli się schodzić żołnierze. Tłum wypełnił polankę. Koło wygasłego ognis-ka pokładli się niektórzy, utworzywszy płat czerni man-darów, przerywanej czerwonymi plamami szlif i opasek na czapkach, które wyglądały jak krwawniki, apuszczone na spalenisko. Inni posiadali na pniach, lub oparli się o drzewa. Zagłuszył mowę lasu gwar przyciszony. An-drzej wszedł na pień i zaczął mówić. Potrącił głównię jakąś, ledwo w popiele w sereach tlejącą, i rozdmuchał ją w pożar nienawiści. Oczy jego stały się śmiałe do szaleństwa i zapłonęły ogniem, jak gwiazdy niezwykle i świetne... Urodzone oczy buntownika i władcy...

Ustąpił mi swego miejsca. Przemawiałam do nich w imię wielkiej miłości. Potem Andrzej powiedział do mnie:

— Bardzo to pożyteczne — rozwijanie i budzenie dasz. Lecz na to niema teraz czasu.

— Więc praca moja niepotrzebna? — zapytałam stro-piona.

— Ależ owszem, to jest zawsze potrzebne, tylko za mało skuteczne. To jest woda na rany — nam potrzeba dynamitu.

W tej chwili podszedł Roman.

— Między nami jest sprzedawczyk — powiedział cicho. — Rozchodźmy się prędko i zosobna. Żołnierze go zatrzymają i dadzą nam czas się ukryć.

— Wanda nie pójdzie sama — rzekł Andrzej. — Pójdźcie ze mną — zwrócił się do mnie.

— Dobrze, dobrze — rzekł Roman: — ja tu muszę umknąć jednego żołnierzyka — nie może tu pozostać. Postarajcie się nie zabłąkać, bo las ogromny. Droga do miasteczka odcięta.

Poszliśmy w gęsty las. Gałęzie zagradzają drogę. Ślizga się noga po mechach i kretowiskach. Wykroty zwalone i próchniejące z trzaskiem niegłośnym pod nami się załamują, odsłaniając wnętrza robaczywe, pełne stonóg i wijów. Syknęła uchodząca żmija, wytrzeszcza z pod pnia oślinionego wilgocią swe ślepie ropucha. Wielkie pierzaste paprotki stoją bajecznie i zacisznie, ledwo, ledwo kołychną czasem swoim pióropuszem jaśniutkim. Tryska czarna i czerwona krew jagód rozdeptanych.

— Nie mogę dalej — błagam Andrzeja.

Ściąga niecierpliwie brwi rozkazujące.

— Iść, bo wpadniemy.

Zdążam za nim zdyszana, a gałęzie kłują mi ręce, szyszki spadają na głowę, przyczepiają się do obuwia.

— Nie mogę dalej — błagam.

Lecz nagle słychać trzask łamanych gałęzi, tętent konia.

Andrzej ogląda się z poważnym, skupionym wyrazem twarzy.

Każe mi się usunąć pod niskie, rozłożyste gałęzie świerku i zarzucić moje schronisko suchym chrustem.

Widzę, jak się skrada poza drzewami, spokojny i nawet nie bledszy. W ręku jego rewolwer. Oddała się o kilka staj ode mnie i nagle łamie gałąź.

Spostrzeże go, spostrzeże...

Jeździec zatrzymał się, zsiadł z konia, pewnie go przywiązuje...

Ciężkimi krokami po rozrzuconym chruscie idzie w stronę złamanej gałęzi. Nagle powietrze rozdarł gwizd, słychać tępe uderzenie, koń parsknął i runął z kopyta w dal, z coraz to cichnącym tętentem. Słychać ordynarne klątwy żołnierza; tupot jego ciężkich butów. Odbiegł drogą leśną za koniem.

To Andrzej odjechał i zdoła uciec. Jak dobrze, jak dobrze!

Czy to żołnierz wraca? A może to inny człowiek z pościgu?

Jakieś kroki lekkie, pewne. Idzie wprost ku mojej kryjówece... Coraz to bliżej, widzę przez gałęzie koniec buta... Schyla się, odgarnia gałęzie... Wezmą mnie... Odkryli... Stało serce...

— Wando — woła cicho głos Andrzeja — prędzej w drogę. Wypuściłem mu konia, myślał, że to ja odjechałem i poleciał, jak opętany.

Biegniemy zziązani. Nagle uświadamiam sobie dotknięcie ręki Andrzeja, nie wypuszczającej mojej dłoni i pociągającej mnie za sobą. Po chwili zapominam o tem.

Strzał w oddaleniu. Andrzej, nie zatrzymując się, pociąga mnie za sobą i mruczy:

— Idjoci... Dają nam znać, gdzie są...

Po pewnym czasie zatrzymując się, zmęczenie jest silniejsze od nakazu władnej ręki.

— Możemy teraz iść, byle się nie zatrzymywać ani na chwilę—mówi Andrzej i zwalnia kroku.

Siły mnie opuszczają. Opieram się o pień.

— Idźcie sami, ratujcie się. Ja tu pozostanę. Może mnie nie znajdą.

— Za pół godziny z pewnością was tu znajdą — mówi Andrzej szorstko. — I niespodziewanie bierze mnie na ręce.

Szarpuęłam się i znieruchomiałam w jego żelaznych ramionach. Próżny opór. Niesie mnie. Wstuchuję się w mowę jego ramion. Mileżą i niosą mnie mężnie i nie-strudzenie. W końcu słabną.

— Już odpoczęłam — mówię wtedy i Andrzej spuszcza mnie na ziemię. Idziemy dalej. Na niebie zbierają się chmury. Wicher targa gałęzie. Przed nami otwiera się jasne okno w olszynie, a przez nie wzrok strudzony zatapia się w czystej szybie. Małe jeziorko wśród bora, leśne oko wypieszczone odbija zmienne krajobrazy chmur. Chwieją się nad niem paprocie, grają cichatko trzciny i tataraki szablaste, a turkusiki — niezapominajki, wpięte w szare kitki liści, zaściewają grzązkie brzegi. Padam bez sił na mechy. Andrzej rzuca grube gałęzie na turkusowy dywan, gniotąc go i rozdzierając bez litości. Po gałęziach przechodzi grzązki brzeg i czerpie wodę z jeziora. Przynosi mi trochę wody w dużym liście i wiele razy przechodzi tam i z powrotem, by ugasić moje pragnienie. Potem pije sam, czerpiąc wodę dłońmi i rozpryskując ją wesolo w powietrzu. Bryzgi na tle chmarnego nieba są ołowiane i nie błyszczące. Przymykam oczy na chwilę. Leżeć tak, leżeć bez końca... Gdy otwieram znów powieki, Andrzeja niema. Wynurza się z gęstych zarośli poza mną i podaje mi garść czarnych jagód.

O tak, mądry i mężny jest Andrzej. Każdy czyn, każdy giest jego jest tak spokojny i prosty, tak konieczny

i pewny, jak gdyby przed wiekami nakreślony. Tak biegnie planeta po swej orbicie i nie daje się obłąkać... Tak pewnie i spokojnie biegnie planeta po swej orbicie i dla nikogo ze swej drogi nie zbacza.

— Dlaczego nie aciekliście konno? — zapytałam Andrzeja.

— Bo uważałem, że lepiej uciec pieszo — odpowiedział niechętnie, a po chwili dodał z zimnem spojrzeniem:

— Tylko nie posądzajcie mnie o jakąś specjalną względem was galanterję. Tak samobym postąpił ze słabszym towarzyszem.

Tak, postąpiłby tak samo. On jest taki.

Wlokę dalej obolałe nogi po zeszlórocznem igliwiu, szeleszczącym pod obuwem, jak setki małych gadzin. Nie śmiem zapytać Andrzeja, czy również jest zmęczony, lecz widzę, że krok jego ociężał, a włosy zmoczone potem przylepiły się do skroni. Chmury stają się coraz to gęstsze. Sina czarność rozlewa się po lesie sosnowym. Będzie burza. Wychodzimy na łąkę obszerną, pośrodku łąki — pagórek z kępą drzew, kołyszących się gwałtownie.

Za łąką — znowu las. Na skraju znajdujemy szałas porzucony, koło niego ognisko. W popiele garść porzuconych kartofli, a w szałasie zapomniana sukmana. Pastuszkowie musieli tu obozować. W czasie burzy nie wróćcą. Spożywamy kartofle i wsuwamy się w głąb szałasu. Wicher wrzeca za nami kurzawę rozmiecionego popiołu. Konary drzew skrzypią żałośnie. Zapada wieczór. Siedzimy tak blisko, a tak daleko pościg i walka.

— Zimno — szepeczę drżąc, i Andrzej okrywa mnie sukmaną.

— A wam nie zimno? — pytam.

— I mnie zimno — odpowiada wesoło — podzielimy się okryciem.

Nasuwa prawą połowę sukmany na swoje ramiona i obejmuje mnie jedną ręką, byśmy się szczelniej okryć mogli. Robi to tak prosto, że żadna myśl nie powstaje w mej głowie.

Zapach przepoczonej pilśni sukmany łechce nieprzyjemnie moje nozdrza. Lecz i to przechodzi! Pozostaje tylko wrażenie ciepła od jego dotknięcia, nieopisane szczęście spoczynku przy jego boku.

Potoczyły się po niebie pierwsze łaskoty barzy. Coraz gwałtowniej, coraz potężniej zrywał się głos barzy. Piorun uderzył w kępę drzew na wzgórzu pośrodku łąki. Miotnęła się oślepiająca błyskawica... Buchnął ogniem najwyższy wierchołek. Płomień lekko przeskakiwał z gałęzi na gałąź i wydierał z cienia na widok coraz to nową czarną linję, skręcającą się boleśnie w szkarłatnej kąpieli. Kolumna ognia rozwijała się w wachlarz, zwijala się znowu w kolumnę i rozwidlała w pióropusze.

— Zgaśnie ta kaskada ognia i pozostanie spalisko — powiedziałam.

— I niech zostanie — doszedł mnie głos Andrzeja, przyciszony rykiem barzy:—niech buchnie wielki płomień—choćby na chwilę. Lepiej spłonąć odrazu, niż tlić się długo w ostygającym popiele. Wszyscyśmy pochodnie i wszyscy na chwilę płoniemy wśród nocy.

Po chwili doszły mnie znów jego słowa, dziwne i nowe:

— Słuchajcie, Wando. Sam zawiesiłem mój zakon nad sobą i spełnię go, choćbym miał skonać. Nie spętam mojej wolności służenia sprawie osobistem uczuciem. Lecz jeżeli macie odwagę wziąć chwilę, weźcie ją!

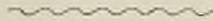
Wyszeptalam:

— Chcę wziąć chwilę...

Wtedy obrócił mnie ku sobie. Głowa moja znalazła

zła się na jego piersi. Ręce jego stały się wymowne i szalone...

Skrzypiały, ugiwały się drzewa, pijane, nieprzytomne od wichru... Raz wraz były piorany i gdzieś waliło się drzewo z jękiem i trzaskiem bolesnym gałęzi. Łuna z płonącego wzgórza zaglądała do wnętrza szałas. Złota łuna na oczach naszych...



Jasne słońce błądzi po pokojach. Jasne słońce odłsniewa z głębi lustra, które wczoraj widziało nasze uściski. Chodzę po dwóch małych pokojach, w których zawarta jest wszystka radość człowiecza od wieków. Mądrość jest w słowach wieloustnych róż, szeptanych woniami. Karminowe róże na biurku mojem... A tam obok twarda pościel jego, wezgłowie sarowe czuwającego żołnierza. Czarny sztych-portret jednego z tych, co zginęli... Stawiony przed oczy wzór bohaterstwa, upieszczony przez serec.

Oto przyjdzie za chwilę.

Otwieram drzwi, zanim odgłos kroków zamrze przed progiem. Idzie za nim Roman. Nie widziałam go dawno.

— Nie spodziewałem się zastać was tutaj — mówi Roman.

— Jestem tu zawsze — odpowiadam wesoło.

Roman wszedł bardzo powoli i ciężko usiadł na krzesło. Powłóczył po ścianach oczami gasnącemi.

— A więc pobraliście się, szczęście Boże. Lecz słuchajcie, Andrzeju — zmarnujecie Wandę. To wam powiadam. Za szorstkie macie ręce dla niej.

— To już rzecz Wandy — dać się zmarnować, lub nie—odparł Andrzej oziębło i zaczął wyjmować z szuflady papiery.

Będą mówili o sprawie. Idę do drugiego pokoju. Głos Romana jest taki smutny. Takim głosem odmawiają msze na mogiłach. Czemu głos jego dziś taki smutny?

Czyż jego dusza nie znosi cudzej radości, która światłem bardziej cień jego załamania uwypakła? Oddam mu szczodroliwie dar słońca ze mnie. Odrzucę jasność potężną smugą w jego duszę. Rozdam me serce smutnym, jak hostję. Niech będzie w każdym opłatku całe niepodzielne słońce, które rozdawane, nie zmniejsza się nigdy.





WALERY GOSTOMSKI.

PROBLEMAT PRACY POLSKIEJ. *)

I.

Doniosły, a okropnie niepokojący problemat. Trudniejszego do rozwiązania w naszym życiu narodowym nie było, niema i wszak pono nie będzie.

Nie było — bo jak daleko cofniemy się w przeszłość, zawsze i wszędzie (wyjawszy czasy budującej się marmowanej Polski Kazimierza Wielkiego, gdy zdał się bliżki rozwiązania) widzimy go stojącym na poprzek naszych dziejów w nierozwikłanej grozie tamującego lub rozkładowego ich czynnika; niema — bo jak daleko sięgniemy okiem po obszarach naszej obecności, nigdzie rozwiąza-

*) Rzec z powodu „Legiendy młodej Polski“ Stanisława Brzozowskiego, Lwów, 1910. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka, Drugie wydanie w tymże roku.

nym go nie ujrzymy; nie będzie — bo skądże zaczerpnąć nadziei na pomyślne rozwiązanie go w bliższej przyszłości?

A jednak, ktokolwiek wierzy w Polskę, musi wierzyć w pomyślne rozstrzygnięcie problemu jej pracy. Niewątpliwie: to jej *być albo nie być* — najpierwszy, zasadniczy warunek nie tylko rozwoju, lecz wprost istnienia narodowego. Prawda elementarna, oczywista, bijąca w oczy wewnętrzną swą jasnością, a jednak aż nadto słusznie od wieków aż po dzień dzisiejszy wciąż jeszcze nanowo z nowego punktu widzenia podejmowana, rozpatrywana i oświetlana w naszej literaturze. Są prawdy, co się nie starzeją i, towarzysząc rozwijającemu się życiu, w niem i przez nie odmładzane, wraz z niem nowych potrzebują wciąż badań i oświeśleń.

Któż zaprzeczy, że do ich liczby należy prawda zawsze jeszcze nierozwiązanego zagadnienia pracy polskiej. Podejmował ją już Modrzewski, jako zagadnienie naprawy Rzeczypospolitej — potem w doniosłej, rozstrzygającej chwili dziejowej rzucił ją z mocą Staszic, jako kwestję wcale nie ginącej ojezycznej. A później, po upadku, wiele razy podnoszono ją w czynie i w słowie, jako jedyny sposób odrodzenia, podźwignięcia narodu. Przykładowym sposobem wspomnę tu tylko działalność Labeckiego, Wielopolskiego, Towarzystwa Rolniczego z Andrzejem Zamojskim na czele; później, po ostatniej katastrofie, nawoływania do pracy u podstaw, do rozwoju gospodarstwa społecznego aż po dzisiejszą tak pożyteczną i zbawienną dla kraju propagandę współdziałłości.

Równocześnie nie milknący w tej doniosłej kwestji głos literatury. Dość wspomnieć Sapińskiego około połowy zeszłego stulecia, Stanisława Szczepanowskiego na jego schyłku. Wymieniam tych dwóch znamienitych pisarzy obywateli, bo w nich nie tylko jasne zrozumienie

potrzeby pracy narodowej, ale też głębokie, serdeczne tej potrzeby odczucie ze szczególną objawiało się mocą, z całą mocą narodowego instynktu samozachowawczego, co namiętnym krzykiem serca wtórował głosowi trzeźwej rozwagi.

Czasy się zmieniają. Wraz z nimi i znami w nich, zmieniał się też nieraz nasz problemat pracy narodowej; ale tak zasadniczego przekształcenia, jak to, któremu aległ w ostatniem swem na kartach literatury naszej postawieniu i sformułowaniu, dotąd nikt chyba w nim nie mógł stwierdzić.

Przed kilka miesiącami pojawiła się obszerna książka Stanisława Brzozowskiego p. t. „Legenda młodej Polski“. W prędkim czasie szeroki zdobyła sobie rozgłos i niezwykłe jak na nasze stosunki rozpowszechnienie — nie tyle w krytyce, która (z wyjątkiem jednej entuzjastycznej recenzji Bronisława Chlebowskiego w „Książce“) dość niewiele i dość niechętnie nią się zajmowała, ile wśród ogółu czytającej publiczności, przez którą tak szybko rozehwyтана została, iż w kilka miesięcy już po swem pojawieniu się ponownie się ukazała w bardzo pięknej formie wydawniczej.

Takie powodzenie, naogół u nas niezwykle, w danym wypadku tem bardziej jest zastanawiające, iż książka Brzozowskiego jest dziełem poważnem, uczonem, filozoficznem, napisanem zajmująco i z wielkim talentem, ale wcale nie lekko; owszem, miejscami, co się zowie ciężko i zawile. Jest to przeważnie ciężkość gatunkowa, wynikająca nietyle z niedość lekkiego pióra, ile z nazbyt przeciążonej myślni głowy; ale niemniej przeto, a może właśnie dlatego, czytelnikowi tembardziej daje się ona odczuć, do gruntownego zmusza go zastanowienia, do poważnej i ciężkiej nieraz pracy myślni. Owóż nasi polscy czytelnicy pracować myślną niezbyt lubią — jest to także

jedna z postaci problematu pracy polskiej — wolą bujać wyobraźnią, a jeszcze bardziej bawić się wrażeniami. Cóż więc tak pociągnęło znaczną ich liczbę do głębokiej książki młodego pisarza, wprowadzie dość głośnego, ale w znacznej części, niestety, z powodu znanej powszechnie arcy smutnej i bolesnej sprawy, ponury rzucającej cień na osobisty jego charakter.

Powie kto, że właśnie otaczający osobę autora rozgłos skandalu zjednywa powodzenie książce. Byłoby to może słuszne, gdyby chodziło o rzecz, co bawi puste głowy, lub pobadza niskie apetyty. Ale innemi zupełnie pobudkami, na inne natury oddziaływa „Legiendą młodej Polski“. Tych, co zdolni są zainteresować się jej treścią, skandal mógłby raczej odstręczyć, aniżeli pociągnąć, i faktycznie odstręcza niejednego z poważnie myślących czytelników, zrażonego do dzieła smutnym rozgłosem autora; jeżeli pomimo tego dzieło tak wielką w myślących poważnie kołach zdobyło sobie poczytność, to chyba istotną wewnętrzną jego wartością daje się to wytłomaczyć.

Na czem ona polega?

Odpowiedź da nam rozpatrzenie treści. Wszelako nie myślę tu poprzestać na samym tylko jej rozbiorze. Ważniejszą rzeczą jest mi tutaj uzupełnienie pewnych jej braków, oświetlenie wszechstronniejsze niezmiernie doniosłego jej przedmiotu. Chciałbym rzucić nań pewne, jak miemam, nieodzowne światło dopełniające, przyczem niektóre jego strony w innych może ukazą się zarysach, w odmiennem zabarwieniu.

Za przedmiot dzieła, wbrew jego tytułowi, poczytując omawiany już powyżej problemat pracy polskiej. Wszelako zaznaczona w tytule legiendą młodej Polski nie jest tu czemś przypadkowym, mechanicznie przyczepionem. Owszem, jest to jakby motyw przewodni, który przewija się wzdłuż całej osnowy książki i w grze przeciwieństw służy do tem

wyraźniejszego uwydatnienia zasadniczego, istotnego jej przedmiotu.

Czem jest legienda w znaczeniu, jakie autor jej tu nadaje? Sam on zastrzega się, że nie ma to być ironiczne określenie urojeń w ich przeciwstawieniu do życia realnego. Przeciwstawienie zachodzi tu istotnie, ale inaczej pojęte. Z jednej strony młoda Polska—ideał przyszłości, „mit ojczyzny swobodnej pracy“, czyli przedmiot wiary tych, co do ideału owego dążą i całą mocą swej woli, całym pragnieniem swego serca realizować go usiłują; z drugiej strony młoda Polska, jaką ona jest obecnie, jaką okazuje się we współczesnej naszej literaturze: zbiór talentów wybitnych, niekiedy znamienitych, dusz wzniosłych, serc szlachetnych, które zdolne są górnice czuć, pragnąć, myśleć, w różnych dziedzinach i w różnych kierunkach swego życia wewnętrznego, ale do działania, do pracy na wyższym poziomie życia zbiorowego, społecznego, mającego być rzeczywistym przysiężką Polski, warunków odpowiednich nie posiadają i snują w swych duszach nie heroiczny epos czynów, mogących świat zewnętrzny przekształcić, lecz piękną legiendę zdarzeń wewnętrznego przeżycia, która wydaje niekiedy wspaniałe twory poezji, ale w życiu bezpłodnie przemija.

Logicznym wynikiem tego przeciwstawienia—problemu pracy polskiej: jakim sposobem te bogate zasoby ducha, te tkwiące w nich moce wewnętrzne zwrócić na zewnątrz w zbiorowy świat społeczny, zużytkować jako działające, twórcze w nim siły, jako czynniki zwycięskiej w pełni swego uświadomienia pracy ludzkiej nad ślepych żywiołami świata pozaludzkiego. Autor wierzy, że w społecznym organizmie Polski znajdzie się po temu dosyć sił bezwiednych, dosyć biernego materiału. Tylko uświadomić te siły, tylko rozbudzić czynną energję w tej olbrzymiej masie narodowej bierności, a Polska stanie się pierwszym

w świecie wzorem i przykładem narodu samowiednych i swobodnych pracowników, do których przyszłość należy, jednym z narodów-zdobywców przyszłej, szczęsnej doli człowieczeństwa.

Pomijam tu kwestję zasadności i możliwego ziszczenia tych pięknych nadziei, na razie chodzi mi tylko o będącą ich źródłem wiarę autora w rozstrzygające znaczenie świadomości i wpływów uświadamiających w dziele zwiastowanych przeobrażeń społecznych. Jest to zarazem wiara w przodowniczą na tej drodze rolę literatury, powołanej uświadcicielki społecznej. „Od was zależy—mówi autor,—pisarze polscy, twórcy myśli polskiej, oracze gleby ducha, aby naród nasz posiadał pierwszy w świecie prawdziwie nowoczesną, swobodną, jasną samowiedzę. Nie dziw, że takim ożywionym przekonaniem w książce, poświęconej wielkiemu zagadnieniu bytu narodowego, zajmuje się głównie stosunkiem doń najwybitniejszych przedstawicieli naszej literatury współczesnej, wodzów poetyckiej młodej Polski, powołanej przedewszystkiem do budowania ideowych podstaw Polski przyszłości.

Jakkolwiek główny, nie jest to wszakże jedyny do podjętego zagadnienia stosunek. Owszem, w książce Brzozowskiego mamy cały szereg podobnych ustosunkowań, w których dobitnie, jaskrawo niekiedy ukazana jest niemoc tych, „co stoją na narodu czele“, tych, którzy nawet stać z godnością nie umieją, a cóż dopiero przewodzić w pochodzie—dowodzić w walce, zwyciężać w bohaterstwie poświęceń. I tutaj mamy przeciwstawienie Polski, pracownicy przyszłości, jaką ma być, jaką stać musi, jeśli jej żyć i trwać sędzono — a Polaków, marnotrawców obecności, nie umiejących wydobyć z niej zasobów zbiorowej mocy, bezmyślnie lub samolubnie roztrwających te nawet, co im przekazane zostały na wspólne dobro, na wspólną chwałę. Tylko tutaj mamy nie piękną

legiendę wewnętrznych przeżyć, lecz arcypospolitą historję, często zgoła trywialną farsę zewnętrznego użycia, pochłaniającego siły jednostek, sprawie zbiorowej, dobru publicznemu poskąpione lub odjęte.

Stara jak świat, szerokie wszechświatowe widnokreśli ogarniająca historja, co wciąż odnowa się powtarza na różnych widowniach życia. Autor „Legiendy“ roztacza ją przed nami na współczesnej naszej widowni życiowej w bardzo charakterystycznych zarysach. Daje nam arywki dosadnej satyry społecznej, ukazanej w świetle wielkiej, ponad wszystkie inne żywotnej idei pracy społecznej, w której słusznie uznaje jedyne zbawienie, jedyną przyszłość naszego narodu. W następstwie rozpatrzemy, o ile słuszny jest sposób ujęcia i określenia tej idei, o ile trafna zarysowana w jej świetle satyra — tymczasem przejrzymy obiektywnie treść książki, podnosząc najwydatniejsze w niej motywy twierdzeń i zaprzeczeń.

II.

Podstawą rozwiniętych w dziele Brzozowskiego poglądów na zagadnienia i zadania pracy społecznej jest marksowska doktryna materializmu historycznego. Polega ona, jak wiadomo, na uznaniu ścisłej zależności zjawisk dziejowych i rozwoju kulturalnego od stosunków ekonomicznych, od sposobów wytwarzania i spożycia dóbr materialnych. Przemiany, zachodzące w tych sposobach i ustosunkowaniach, mają pociągać za sobą nieodzownie, fatalnie przekształcenia w życiu politycznym, religijnym, cywilizacyjnym, w nauce, filozofji, literaturze, sztuce, poezji: w całej jednym słowem ideologicznej nadbudowie życia społecznego, jak się wyrażał Marks.

Konsekwencją tej doktryny ojca socjalizmu naukowego są zasady teoretyczne i dążenia praktyczne dzisiejszej demokracji socjalnej. Stwierdza ona dokonywując się obecnie, na skutek rozwoju wielkiego przemysłu fabrycznego, niezmiernie doniosłe w życiu ekonomicznym przeobrażenie, i wyciąga stąd odpowiednie wnioski. Rosnąca wciąż w liczbę na skutek tego rozwoju, a zarazem w niedolę na skutek złączonego z nim wyzysku kapitalistycznego klasa robotników przemysłowych, czyli robotniczego proletariatu musi bronić praw swej coraz bardziej wyzyskiwanej pracy, musi walczyć o zdobycie warunków bytu, umożliwiających normalny rozwój ludzkiej natury robotnika, gnębionej obecnie przez ucisk nędzy materialnej, paraliżowanej przez fatalne wpływy nadmiernej pracy mechanicznej. Dążenia te proletariatu w połączeniu ze wzmagającym się wciąż rozrostem współczesnego przemysłu fabrycznego, oraz wynikającymi stąd starciami i wstrząśnieniami w jego łonie, pociągnąć za sobą muszą katastrofy i przewroty rewolucyjne, w których następnie zorganizowany proletariat robotniczy zagarnie władzę najwyższą i przekształci cały dzisiejszy ustrój społeczny na modłę socjalistycznej republiki, ustalając raz na zawsze trwałą równowagę i możliwie największą pomyślność w życiu cywilizowanej ludzkości.

To przypomnienie zasadniczych idei doktryny socjalistycznej potrzebne mi się zdało dla wyjaśnienia opartych na nich poglądów autora „Legiendy“ — opartych na nich, ale nie podległych im niewolniczo. — W pewnych granicach Brzozowski zachowuje zupełną niezależność sądu wobec naczelných zasad i powag doktryny i nie szczędzi im wcale surowej krytyki. Szczególnie krytycznie zapatruje się na ogłoszoną przez socjalizm zasadę mechanicznego, niezależnego nieomal od woli ludzkiej, rozwoju stosunków ekonomicznych i społecznych w ich nagłym lub po-

wolnem, ale w każdym razie koniecznem przeobrażenia się i ukształtowaniu na modłę i wedle formy doktryny marksowskiej. Tego rodzaju teorjom (które zresztą po- czytuje za wynik niezrozumienia czy też przekręcenia nauki mistrza Marksa), przeciwstawia nasz autor zasadę samodzielnej, uświadomionej woli ludzkiej, uznanej za istotny, główny czynnik wszelkiego wyższego rozwoju ludz- kości. W tych swoich zapatrywaniach przeciwstawia się on nie tylko teoretycznym i praktycznym autorytetom współ- czesnej demokracji socjalnej, ale też wszystkim prawie powagom urzędowym współczesnego liberalizmu, rozmiło- wanym, jak wiadomo, osobliwie w doktrynie mechaniczne- go rozwoju — opiera się natomiast na mało jeszcze do- tąd znanej i uznanej powadze znakomitych myślicieli fran- cuskich, Maurycego Blondela, Jerzego Sorela i Henryka Ber- gsona, którzy z ogromną siłą talentu, wiedzy, przekonania zwalczają dzisiaj ciasny, jednostronny materializm róż- nych deterministycznych i materialistycznych teorj życia i wbrew im wykazują niezłomną moc przez wolną wolę objawiającej się w niem potęgi ducha.

Obszerne, wyczerpujące studjum najżywoźniejszych zadań naszego bytu współczesnego, ze stanowiska idei socjalistycznych, krytycznie i oryginalnie oświetlonych w du- chu mało u nas znanych doktryn filozoficznych, samo przez się jest zjawiskiem niezwykłym i aderczącym w bie- żącej naszej literaturze, tem godniejszem uwagi, iż w o- pracowaniu nacechowane jest niezwykłą siłą myśli samo- dzielnej i talentu pisarskiego.

Konstrukcja ideowego całokształtu dzieła nie odzna- cza się wszakże przejrzystością, poszczególne jej motywy dość chaotycznie powikłane, czasem w bezładną zrza- cone masę; — wynagradza to obfitość bystrych spostrze- żeń, oryginalnych myśli, głębokich poglądów. Punkt wyj- ścia nader trafny i ciekawy: nasze *ja* i historia. Autor

wykazuje sprzeczność tych pojęć we współczesnym życiu kulturalnym. Żyjemy dziś przeważnie życiem pozahistorycznym. Nie tworzymy historii, nie przeżywamy jej realnie, lecz przyswajamy sobie gotowe jej wytwory, obserwujemy ją jako coś, co poza nami się dokonywa. Nie mowa tu oczywiście o przewodnictwie w życiu dziejowym, bo to z natury rzeczy może być udziałem tylko nielicznych jednostek; ale te nie tworzą przecież historii, tylko ją reprezentują, istotnymi jej twórcami, a właściwie twórcami ujawniającej i rozwijającej się w niej kultury są wszyscy różnego stopnia i różnej rangi społecznej pracownicy, wytwarzający wartości kulturalne od najprostszych, najpierwotniejszych aż do najwyższych, najbardziej złożonych. Takim pracownikiem jest prosty robotnik fabryczny, spełniający swe skromne, ale skuteczne zadanie w zbiorowej wytwórczości społecznej; nie jest zaś nim wykwintny dyktant, który przychodzi do gotowego, pochłania chętnie wszelkie materialne i duchowe dobra kultury, a do pomnożenia ich w niezem się nie przyczynia. Tymczasem patrzmy, co za sprzeczność: kulturalnym w obecnym życiu społecznym bywa zazwyczaj ten bezczynny spożywek kultury, a właściwy jej twórca-pracownik bądź wcale nie korzysta z jej dobrodziejstw, bądź nieznaczny tylko ma w nich udział. Ten stan rzeczy zdawien dawna oczywiście się datuje, od zaczątków cywilizacji i trwa poprzez wszystkie znane nam z dziejów jej fazy rozwojowe. Zawsze twórcami, pracownikami kultury były nieświadomione, obce jej duchowo masy robocze, spożywcami—uprzywilejowani uczestnicy uczty życia, na wyżynach społecznych zastawionej. Ale nadechodzi już czas, kiedy świadomość stanie się udziałem mas roboczych, zbudzi w nich poznanie i poczucie właściwej ich roli w życiu społecznym, w tworzeniu kultury, oraz wynikających stąd praw do jej owoców i dobrodziejstw. Jest to naturalny cel i kres rozwoju kultury,

ku któremu ona zdążyła siłą tkwiącej w niej logiki wewnętrznej, który obecnie bliski nam jest, a w niedalekiej przyszłości musi być osiągnięty. Chodzi o to, aby kultura w całej swej pełni stała się udziałem tych, co ją wytwarzają, aby właściwi jej twórcy stali się jej spożywcami. Społeczeństwo świadomej i wyzwolonej pracy—oto jest ten cel, ku któremu się zbliżamy, ku któremu nas wiedzie logika rozwoju kulturalnego.

Łatwo tu dostrzec zgodność, a zarazem przeciwieństwo z doktryną socjalistyczną: uznanie konieczności zwiastowanego przez nią przekształcenia społeczeństwa, ale postawienie tej wielkiej sprawy nie na ekonomicznym wyłącznie, lecz na ogólnie kulturalnym gruncie. Brzozowski zajmuje nie sam mechaniczny proces tego przekształcenia, pochłaniający całkowicie uwagę teoretyków i działaczy dzisiejszego socjalizmu, lecz jego wyniki i zastosowania w żywym, twórczym działaniu ludzkim, w zdobywce pracy kultury.

Określiwszy w pierwszym, wstępnym rozdziale zasadniczą swą myśl w ogólnie europejskim jej znaczeniu, w rozdziałach następnych zajmuje się autor przeważnie zjawiskami naszego rodzinnego życia kulturalnego w ich dostosowaniu do istotnych celów i zadań kultury powszechnej, jak one w powyższym określeniu dają się nam poznać. Oczywiście do tych zadań nieraz i w dalszej osnowie książki musi się odwoływać i powracać do wyrażających je utworów myśli zachodnio-europejskiej, ale sprawy i stosunki krajowe zawsze ma przytem na widoku.

Dwa określone już powyżej motywy przewijają się wciąż w osnowie książki w odpowiednim dostosowaniu do istotnego jej przedmiotu: problematu pracy polskiej: motyw główny—„legienda młodej Polski“; motyw poboczny—zwykła komedia życiowa starej, jak się autor złoś-

liwie wyraża, „zdziecinniałej Polski“ doby obecnej. Młodą Polskę poczytują często za odrodzenie romantyzmu. Zajmując się nią, trzeba koniecznie uprzytomnić sobie istotne znaczenie tego wielkiego prądu twórczości duchowej, który, jakkolwiek należy już dziś do przeszłości, licznymi swymi pozostałościami zawsze jeszcze zaznacza się u nas w życiu i w literaturze. I nie tylko u nas. Brzozowski wykazuje, że nawet bardzo ostry zwrot antyromantyczny kilku najnowszych krytyków francuskich, a szczególnie Piotra Lassera, autora głośnej u nas dosyć książki o romantyzmie, w gruncie rzeczy romantycznym przeniknięty jest dachem. Ale oczywiście pojmuje on istotnego dacha po swojemu, patrzy nań ze swego wyłącznego stanowiska i widzi w nim nietylko wybujałość uczucia i fantazji, ile fałszywy stosunek do życia społecznego, do zadań twórczej w nim pracy. Romantyk nie może się pogodzić z rzeczywistością otaczającego świata, chciałby ją przekształcić wedle swych myśli i pragnień, a właściwie niczem się nie przyczynia ani do nagłego przekształcenia, ani do powolnego jej rozwoju, gdyż jest typowym spożywcą kultury i w realnej pracy wytwarzania jej żadnego zgoła nie bierze udziału. W tem znaczeniu nie tylko dzisiejsza młoda Polska, trawiona ogniem bezpłodnych myśli, pragnień, tęsknot, nawskroś jest romantyczna, lecz romantycznym jest każdy prąd duchowy, dążący do przetwarzania życia bez uprzedniego przetworzenia warunków powodującej jego rozwój pracy społecznej, ściślej mówiąc, bez uświadomienia sobie nieodzownych po temu przeobrażeń społecznych.

Nie jest romantyczną w każdym razie dzisiejsza „Polska zdziecinniała“, która niczego nie pragnie, do niczego nie dąży, jak dziecko żyje rada chwilą obecną i jak dziecko zalewa się łzami nad różnemi swojemi w niej niedolami. Tak mniej więcej charakteryzuje autor pewne

objawy zgrzybiałości wśród naszych żywiołów zachowawczych. Że satyra jego (za satyrę, nigdy za stadjam społeczne uważać należy podobne charakterystyki) uderza często trafnie — to niewątpliwe, że częściej jeszcze pono w zacierzewienia polemicznym uderza naoślep — to niemięniej pewne. Trafną jest, gdy wyszydza różne nasze słabości, słabostki i niedołęstwa, przybierające pozory osobliwych enót narodowych—gdy ośmiesza płaczliwe skargi na los wyjątkowo srogi, na który reagujemy nie siłą heroicznego wytrwania i oporu, lecz żądaniem pobłażania od tych, co chcieliby nas umocnić i zahartować przeciw niemu. Ale skoro na jedną kupę szyderstwa wraz z pewnymi objawami naszego frazeologicznego patriotyzmu i naszej płytkiej ortodoksji katolickiej rzuci bez wyboru i powieści Sienkiewicza i różne wydęte chwilowem powodzeniem lichoty społeczne lub literackie — jakże wtedy stronniczą i zaślepioną się okazuje!

Zresztą bezwzględna dla konserwatyzmu, nie okazuje się weale względniejszą dla liberalnego postępu, któremu bardzo dosadne wymierza ciosy, wykazując różne jego uprzedzenia, zacieśnienia, niewczesne zapędy, zaściankowe wybryki. Naprzekór antyreligijnemu liberalizmowi bierze w obronę katolicyzm, jako czeigodną instytucję dziejową, mającą w sobie siły dacha, głębie myśli i żary uczucia, o jakich się nie śniło nawet różnym sekciarskim kościołkom i zborom liberalno-postępowym.

Powtarzające się często w książce Brzozowskiego ujemne nader sądy o różnych przedstawicielach i kierunkach współczesnego wolnomyślicielstwa są wynikiem właściwego wyznawcy idei socjalnej wstępu do propagujących go głównie sfer mieszczańskich. Głęboką żywi dla nich nienawiść, żadnej nie pominię sposobności, pozwalającej uciąć żądłem satyry, nie wierzy zupełnie w ich przyszłość, dni ich przewagi w społeczeństwie za poli-

czone poczytaje, a popularne wśród nich doktryny i teorie (jak ewolucjonizm przyrodniczy, determinizm psychologiczny, mechanizm społeczny i t. p.) odziera bez ceremonij z aroka wielkich zdobyczy wiedzy i myśli, odsyła często do dziedziny naukowych przesądów i zabobonów, upodobia je nieraz do pospolitych fetyszów, przez p.ostacką zabobonność ludzką naiwnie czczonych.

Wszelako, jak to już wyżej zaznaczyłem, jakkolwiek wyznawca idei socjalnej, nie jest autor „Legiendy“ zwolennikiem demokracji socjalnej. Zwalczając w imię wprost przeciwnych zapatrywań jej doktrynę mechanicznego rozwoju stosunków społeczno-ekonomicznych, równocześnie na nią samą nieraz napada, ostro krytykuje różne jej sekiarskie zaciętrzewienia, różne objawy ciemnoty i skostniałości urzędowej naczelnych jej powag.

Rozdając tak na prawo i na lewo w sferze ogólnoeuropejskich idei i stosunków ciosy swej satyry i swego krytycyzmu, nie traci nasz autor z oczu rodzinnych, polskich stosunków; w dalszym ciągu nie szczędzi im również ani satyry, ani krytyki, a przytem rozpatruje je ze stanowiska pewnych zasadniczych teorii, najczęściej zażyczonych lub wysnutych z idei wspomnianych już wyżej współczesnych myślicieli francuskich, a szczególnie Jerzego Sorela. Od niego wziął pojęcie mitu społecznego, któremu bardzo doniosłe przypisuje znaczenie. Mit społeczny jest to „obraz, ukazujący nam jako plan akcji, jako epopeę walki i zwycięstwa taką postać działania, w której nasze twórcze, wynalazcze dążenia posiadałyby moc istnienia wobec świata“ *).

*) Analogiczne pojęcie mitu wprowadził i uzasadnił Ryszard Wagner w swoich pismach teoretycznych i realizował je artystycznie w swych dziełach muzyczno-poetyckich, jako upostaciowania pewnych pragnień i dążeń, wysnutych z najistotniejszych prądów życia społecznego.

Ta definicja, niezbyt jasna, jak wogóle definicje Brzozowskiego, charakteryzuje jednak dość dobitnie odrębne jego wobec zadań życiowych stanowisko. Wyobrażenie walki epickiej, wysiłku heroicznego stale się u niego przy określeniu tych zadań powtarza i odpowiada wierze w czynną energję natury ludzkiej, najwyższym wyęczeniem swej mocy twórczej mającą się w realizowaniu ich ujawnić. Jest to pono jedyna wiara nader sceptycznego myśliciela, któremu obce są wszelkie religijne poruszenia duszy ludzkiej. Jakkolwiek wystawia on katolicyzm, jako instytucję społeczną, ale ani katolicyzmu, ani wogóle chrześcijaństwa nie pojmaje wcale jako religji, podnoszącej dusze nie już ku nadprzyrodzonym, lecz choćby ku wyższym przyrodzonym sferom życia. Wobec tego ów mit sorelowski, jako wyobrażeniowe upostaciowanie szczytowej idei zadań i dążeń życiowych, jest jakby zastępstwem religijnego żywiołu w duszy, niezdolnej odezwać go w pełni realnej, żywej jego prawdy.

W każdym razie wiara w stojące przed nami zadania życia i w siły wewnętrzne naszego jestestwa, przy odpowiednim natężeniu i skupieniu zdolne je realizować w heroicznym czynie, w zwycięskiej walce — wiara w człowieka i twórczą jego moc jest tu najwyższym regulatywnym czynnikiem duszy, podstawą i normą wszelkich wartościowań życiowych autora „Legiendy“.

Najwyższą, ponad wszystkie inne wzniesioną, rozstrzygającą bezwzględnie o przyszłości naszego kraju i naszego społeczeństwa wartością, jaką z tego stanowiska uznaje, ma być proletarijat polski, w swem uświadomieniu i w poczuciu swej siły dążący do zagarnięcia naczelnej władzy w narodzie i przetworzenia go w społeczeństwo świadomych, swobodnych robotników—twórców kultury. Twierdzi autor, że właśnie naszego narodu powołaniem i przeznaczeniem jest stać się pierwszym sprawcą tej

wielkiej reformy przyszłości, pierwszym przykładem i wzorem jej realizacji. Przeszłość nasza szlachecka doprowadziła nas do utraty samoistnego bytu — przyszłość nasza robotnicza pozwoli nam go odzyskać. Polski robotnik—to jedyny w kraju naszym żywioł, z którego powstać może naród, zdolny żyć i rozwijać się w nowożytnej ludzkości—to jedyny przedstawiciel rzeczywistej, nie legendowej młodej Polski. „Akcja proletariatu polskiego w latach ostatnich była pierwszym przeżyciem historycznym, w którym występował u nas świadomie nowoczesny, na wytwórczości i wyrastającym z niej prawie oparty człowiek“.

Łatwo sobie wyobrazić, że kto z takimi ideami do społeczeństwa naszego się zbliża, ten zaiste oddźwięku sympatycznego w niem nie znajdzie i sądów ujemnych szczerze mu nie będzie. Jakoż podobnie, jak w poprzednio wymienionych, i w następnych rozdziałach „Legiendy młodej Polski“ satyry ni krytyki nie brak. Świadczą o tem już same tytuły rozdziałów: Duszy nie potrzeba! Wyprzedaż starych zabawek, Polskie Oberamergau, Rozbrojenie duszy. Wszędzie autor dosadnym, ostrem słowem piętnuje znane, odwieczne wady i braki naszego społeczeństwa, które jemu ze stanowiska przewodniej jego idei tem jaskrawiej się przedstawiają.

W ciągu swych wywodów niejednokrotnie powołuje się na właściwe sobie, z idei swej wysnate pojmowanie stosunku jednostki ludzkiej do zbiorowości społecznej. Zbiorowość nietylko ogarnia, lecz i warankuje jednostkę. Wszelkie postacie i przejawy psychiki ludzkiej, najbardziej nawet indywidualnej, z życia społecznego powstały, w pryzmacie społecznego widzenia odbiły się, załamały, zabarwiły. Nawet stosunek człowieka do przyrody w ogniskach tego pryzmatu mógł się jedynie ukształtować, nawet najbardziej antyspołeczne zapędy na gruncie społecznym jedynie mogły zrodzić się i wybijać. Jednym słowem spo-

Łeczeństwo — to fakt ostateczny naszego ludzkiego bytu, naszej ludzkiej psychiki. Wszystko, co ponad nami unosić się zdaje, cały świat wierzeń religijnych, idei moralnych, filozoficznych, naukowych w życiu społecznym jedyne ma swe źródło, jedyne uzasadnienie. Poza społeczeństwem jest tylko obcy, wrogi nam, niehumaniczny, antyludzki, nieopanowany jeszcze przez człowieka żywioł: żywioł zewnątrz nas w nieujarzmionych przez kulturę siłach przyrody, żywioł w nas w nieujarzmionych przez świadomą wolę instynktach, popędach, namiętnościach. Treścią rozwoju społecznego — stopniowe opanowywanie żywiołu, podporządkowywanie go celom ludzkości, użytkowanie na jej dobro. Bliższy lub dalszy, mniejszy lub większy w tej wiekaistej sprawie życiowej udział człowieka, zbiorowości ludzkiej, narodu, rasy, plemienia jest jedyną normą, określającą życiową ich wartość.

Oparty na tej głębokiej, ale (jak to niżej postaram się wykazać) jednostronnej bardzo doktrynie, wypowiada autor wiele niemniej głębokich, bystrych i trafnych myśli o życiu wogóle i o naszym polskim życiu w szczególności. Treścią ich główną: zwalczanie polskiej niemocy. Przez losy nieszczęsne, z naszych błędów i win przeważnie wynikające, postawieni poza historją, pozbawieni możności czynnego w niej uczestnictwa, ztratiliśmy stopniowo te siły i uzdolnienia, które pełnia życia dziejowego w narodach pobudza i rozwija; wyrobiła się w nas odrębna psychika dziejowej bezczynności, zakrawająca niestety często na — psychikę niewolników. Działa ona rozkładowo na charakter narodu, paraliżującą na żywotną jego energję, prowadzi go stopniowo do zwyrodnienia i upadku.

Jakaż na to rada? — jak przeciwdziałać temu?

Przedewszystkiem zwalczając, gdzie się tylko da, z jak największą bezwzględnością wszelkie uczucia, wyobrażenia, pojęcia, idee, na gruncie owej bezdziejowej psychiki

zrodzone, będące jej usprawiedliwieniem, często jej apoteozą. Do ich liczby zalicza autor wszystkie stany umysłu, nastroje duszy, co nas odstręczają lub powstrzymują od wytwórczej pracy kulturalnej, co skłaniają nas do zamknięcia się w życiu wewnętrznym, w dążeniach ideowych, lub też do zasklepienia się w egoizmie domowego bytu, którego nie rozgrzać nie zdoła, prócz ciepła domowego ogniska. Autor niewyczerpany jest w rysach dosadnej satyry, jakimi zaznacza wszelkie podobne objawy naszego życia społecznego. Bez ceremonji zdiera maskę z oblicza sobkowstwa, ukostjumowanego na cnotę obywatelską, bez miłosierdzia rozprasza różne piękne złudzenia, czasem wzniosłe, niekiedy tylko naiwne, złudzenia wyższych posłannictw, ofiarnych cierpień, któremi oddawna, od wieków, broniliśmy się przed sarowemi wymaganiami rzeczywistości życiowej.

Jak już wyżej zaznaczono, w satyrze swej i krytyce Brzozowski bywa bardzo uprzedzony, nieraz jednak doskonale umie rozróżnić w analogicznych, pozornie blizkich sobie zjawiskach istotną odrębność prawdy i ałady, mocy i słabości. Dowodem rozdział o „polskiem Oberamergau“, jeden z najbardziej interesujących, pełen myśli głębokich i oryginalnych, bystrych spostrzeżeń, dosadnej charakterystyki. Przedmiotem jego—młoda Polska w jej zestawieniu z dawnym romantyzmem, którego odnowioną ma być niby postacią. Autor zbija to mniemanie, a nie wykazuje, na czem ta polega pozorne podobieństwo i ukrywająca się pod niem istotna różnica. Jedna nazwa doskonale to jądro rzeczy awydatnia. *Polskie Oberamergau*, wielkie we współczesnej literaturze naszej przedstawienie pa-syjne!—oto czem jest rzekomy nasz neoromantyzm w stosunku do dawnego emigracyjnego, mickiewiczowskiego romantyzmu, który był prawdziwie *polską Golgotą*, prawdziwie ofiarną za Polskę męką. Podobieństwo polega tu

na odosobnianiu się od otaczającej rzeczywistości, zamykaniu się w idealnym świecie duszy, na bezwzględnym podporządkowywaniu zewnętrznych zadań życia wewnętrznym postulatam serca. Ale patrzmy, w jak odmiennych występują te podobieństwa warunkach, zamieniających je na istotne różnice. Wielcy nasi romantycy, żyjąc na przymusowej emigracji, pielęgowali w duszach swych obraz dalekiej ojczyzny, z tym obrazem zamykali się w swem życiu wewnętrznym, jak świętości strzegli go „na paryskim braku“ przed wszelką profanacją obcych wpływów i ciężko, z ogromnym wysiłkiem ducha (wymownie świadczy o tem towianizm) pracowali wewnątrz nad zachowaniem go w żywej prawdzie i niepokalanej czystości, pełni wiary w przyszłą jego na ojczystej glebie realizację.

Jakże inaczej dzisiejsi neoromantycy młodo-polscy!— Nie przed obcą, a przed własną, rodzimą rzeczywistością zamykają się oni w egzotycznym odosobnieniu. Jest to, jak dobitnie wyraża się autor, „emigracja na wewnątrz“. Znaczy to traktować jako „brak paryski“— „rodzinną glebę“ — mówi w innem miejscu. Jednem słowem postawiony tu jest *młodej Polsce* zarzut, że stroi się w pozory, że fałszywie, opacznie stosuje do dzisiejszej rzeczywistości wielkie hasła idealizmu, wśród zupełnie odmiennych ogłoszone warunków, że, zamiast wedle istotnego programu Mickiewicza żyć dla ojczyzny całkowitem poświęceniem swego jestestwa, „pod osłoną Mickiewiczowskiego imienia, zakłada sobie Monsalvaty — schroniska egotystów, nastrojowców, snobów“.

Nie należy oczywiście zarzutu tego w jednakiej mierze stosować do wszystkich wogóle przedstawicieli młodej Polski, nie należy go rozumieć w ten sposób, aby wszyscy oni mieli być pozorami i bałwochwalczymi czcicielami swego *ja*. Są tacy niewątpliwie pomiędzy nimi — ale wielkie duchy Kasprowieza, Żeromskiego, Wyspiań-

skiego jakże odmienne mają drogi i cele! — Tym naczelnym wodzom młodej Polski i kilku innym wybitnym jej talentom, jak Miciński, Staff, Orkan, poświęca autor ostatnie cztery rozdziały swej książki, małe arcydzieła współczesnej krytyki literackiej, uderzające szczególnie niezwykłą siłą psychologicznej intuicji w ujęciu i określeniu tak niezmiernie oryginalnych, bogatych i zawiłych indywidualności twórczych.

Poprzedzone są te wyborne charakterystyki trzema rozdziałami, z których jeden („Nieboska dni naszych“) stanowi jakby ostatnie słowo rozwiniętych w poprzedniej osnowie poglądów na stosunek naszego życia narodowego do współczesnej kultury europejskiej i z ogromną siłą kreśli tragiczny patos bezmiernego wytężenia i zamętu twórczych jej mocy — a dwa drugie („Naturalizm, dekadentyzm, symbolizm“, oraz „Humor i prawo“) stanowią rzut oka na prądy umysłowe Zachodu i możliwy do nich stosunek polskiej umysłowości. Niepodobna rozpatrywać tu i podnosić wiele nader interesujących myśli autora, mniej ściśle związanych z zajmującym nas głównie tematem pracy polskiej. Pomijam też wiele rzeczy ze studjam nad mistrzami młodo-polskiej poezji—to tylko tu podnoszę, co z przedmiotem moim bezpośrednio się łączy.

Podnoszę przedewszystkiem stosunek wspomnianych poetów do naszej rzeczywistości społecznej i narodowej. Jest w nim rys głęboko tragiczny, wierne odbicie naszej dawnej tragedji dziejowej, wraz z dzisiejszym bezdziejowym jej 5-ym aktem. I tutaj mamy odosobnienie, ucieczkę w swój świat wewnętrzny, lub niemożność wyjścia z tego świata, z tej twierdzy dacha na bój z oblegającemi ją potęgami zewnętrznemi. I tutaj mamy legendę młodej Polski w przeciwstawieniu do jej rzeczywistości. Ale przyczyny tych objawów—nie w fanaberjach egotyzmu, ani w sno-

bizmach chimerycznego estetyzmu, ani w szamnych wewnętrznej pastką odgłosach pseudo miekiewiczowskiego Monsalvatu, lecz w pewnych, z najgłębszych pokładów współczesnej duszy polskiej wynikających koniecznościach psychologicznych, które w całej ich tragicznej grozie i fatalnej moey znakomicie awydatnił Brzozowski, szczególnie w charakterystyce Żeromskiego i Wyspiańskiego.

Charakterystyka Kasprowicza, choć niepozbawiona rysów silnych, nazbyt jednak ogólnikowa, samaryeczna, awydatnia tylko dobrze osamotnienie wielkiego liryka w jego głęboko ludzkiej i szczerze religijnej uczuciowości; ale dziwnie zawiła dusza Żeromskiego nawskroś przejrzana w całej swej potędze i—swej niemocy, a Wyspiański przedziwnie zrozumiany i oceniony w całym ogromie swego wyjątkowego dla Polski dzisiejszej znaczenia.

„Brak Żeromskiemu jakby jakiegoś ostatecznego ujęcia własnej indywidualności“: — oto określenie, ajmujące niezmiernie trafnie najstarszą stronę autora „Popiołów“. A jak głębokie amotywowanie go w naszej psychologii zbiorowej, z tragicznych losów narodu wynikającej: — „Ja, świadome ognisko czynów, przeciwstawiánych żywiołowi akształtowań psychicznych, zostało utracone. Losy Polski dokonywują się w Polakach, ale Polacy ich nie tworzą... Nasze życie dachowe nie wyrasta już z nas samych, lecz jest w nas zrobione, dokonywa się w nas“. — Czy odczawacie całą straszliwą grozę tych słów, tem straszliwszą, że tak prawdziwą? Czy pojmujecie tragizm wewnętrzny poety, co jest wyrazem, odbiciem tej nieszczęsnnej doli ojczyzny?—Brzozowski znakomicie pochwyił tę okropną niemoc czynu, niewiarę w czyn, właściwą poetyckiemu rzecznikowi skazanego na bezczynność dziejową narodu... „Pieśń Iljona śpiewa tu—niewolnik“, — w innym mówi miejsca — i z tego punktu widzenia rozpatruje w całym swym rozbiornie z ogromną przenikli-

wością dziwnie niepokojącą zagadkę duszy poety, po raz pierwszy, zdaje mi się, tak głęboko ujętą i tak trafnie rozwiązana.

Doskonale też wykazuje niezmierne jej dla nas znaczenie. Żeromski, wedle niego, nie poprzestaje, nie może poprzestać—jak np. Sienkiewicz, Rejmont, Sieroszewski—na artystycznym odtwarzaniu istniejącego świata, lub wskrzeszaniu tego, co niegdyś istniał. — „Świat Żeromskiego nie istnieje... jest on w tworzeniu tak, jak Polska... Żeromski—to jest życie nasze własne; łączy nas z nim konieczność rozwiązania zagadnień, bez których rozwiązania żyć nie można, których wyrzekając się—żyć nie wolno. On żyje nie na powierzchni tego lub owego danego świata, lecz w tych głębinach, gdzie przebywa sama z sobą psychika, wszelkie światy dźwigająca. On nie odtwarza tego, co można *dziś zobaczyć*. On jest w tej dziedzinie, gdzie życie, nie związane niczem, samo w siebie wnika, zastanawia się, sądzi. Książki jego nie są dla nas „obrazem“ rzeczywistości—należą do zgoła innej kategorii“.—

Można nie zgadzać się na tę charakterystykę—można widzieć w niej przesadne pogłębienie danej indywidualności twórczej;—ale czyż można nie uznać ogromnej głębi i prawdy w ujęciu najistotniejszego zagadnienia naszego bytu narodowego, jak ono się tu objawiło autorowi w twórczości jednego z najwybitniejszych i niewątpliwie najgłębszych poetów naszych doby obecnej?

Toż samo zagadnienie, ale w wyższej wzięte potędze, realniej zarysowane, ukazuje nam autor w poświęconym Wyspiańskiemu ostatnim rozdziale książki. Jest to prawdziwie koniec, co wieńczy dzieło — podwójnie wieńczy: jako potężny, ogromnie skąpany myślowy jego finał, jako hołd czci dla zgasłego przedwcześnie poety, co nie tylko w twórcach swych, ale i w swym życiu do ostatniego technienia był najdzielniejszym rzecznikiem i bojo-

wnikiem tej toczącej się w zbiorowej duszy narodu walki tragicznej, którą autor tak wielostronnie nam w swem dziele ukazał i oświetlił.

Ale cześć nie zaślepia go weale, nie pozbawia właściwego mu zawsze ostrego zmysłu krytycznego. Wielbi on twórcę „Wesela“, lecz sądzi go surowo, nie zasłaniając weale słabych stron tego potężnego ducha, ani tragicznych upadków tego rycerza wybijającej się w trudzie i męce z legendowych mroków na jaśń czynów *realnej* młodej Polski. Niestety, i w nim legenda przemaga nad rzeczywistością. W tem tragizm jego życia: unoszący się nad całym naszym bytem narodowym tragizm bezdziejowości, bezdziejowej niemocy czynu. Ale w tem jego wyższość i wyjątkowe dla narodu znaczenie, że, jak nikt u nas, tę niemoc poznał, zgłębił, całe straszliwe jej niebezpieczeństwo nam ukazał i heroicznie w duszy swej ją zwalczał.

Ale zwycięstwa nie odniósł. Autor rozprasza wszelkie w tym względzie złudzenia wielbicieli Wyspiańskiego. W przeglądzie jego twórczości okazuje nam, jak ta, zrazu na artystycznych przeważnie oparta motywach, choć od samego początku w wielu swych objawach ściśle z najgłębszą treścią duszy poety złączona, z czasem coraz zupełniejszym stawała się jej wyrazem, coraz wierniejszem odbiciem walki, wśród której poeta duszę swą przetwarzał.

„Kto rozumie Wyspiańskiego,—mówi autor—ten wie, że cała jego twórczość jest bolesnem dopracowywaniem się narodowej duszy, że stoi się tu u zawartych w głębi własnej duszy wrót narodu, że w nas samych obudzić się ma Apollo Salvator i że w nas samych trwa męka, pasowanie się, praca, wydzieranie duszy omamieniom, że tu niema miejsca na tryumfalne frazesy“.

I do końca nie zabrmi ani jeden okrzyk tryumfu. Wciąż tylko odgłosy walki wewnętrznej, walki o moc, o wiarę—o wiarę, co moc daje, o moc, co wiarę stwierdza. Ani jednej, ani drugiej wywalezyć poeta nie zdołał. Mocy twórczej, odradzającej w rzeczywistości polskiego życia nigdzie nie znalazł, a wiary w przyszłą jej realizację, w przyszłe przez nią zwycięstwo nad wrogami temu życiu potęgami ani we własnym sercu, ani w sercach współrodaków wzbudzić nie zdołał. Pozory go nie zadawały, złudzenia go nie omamiły. Tem nieszczęśliwszy od ogółu naszego, który tak łatwo temi lub tamtemi się pociesza—tem od niego wyższy, silniejszy, jako ten, co przemógł w sobie wiekową utrudę, co wyszedł poza zaczarowane koło bezpłodnych idealnych i ideologicznych zapędów, w których marnowały się siły wielu pokoleń.

„Wyspiański wyobraża moment narodzenia się nowej świadomości, woli do twardego realistycznego zmagania się—wyobraża grunt, na którym skąpić się musi cała siła, cała myśl polska. Ale grunt ten zaznaczony jest tu symbolicznie, jest nim to, co jest rzeczywistym życiem, rzeczywistą siłą. Znamy określenie tej rzeczywistości: *organizm pracującej Polski wobec świata*. Wejść w ten organizm, myśleć jego potrzebami, przetwarzać wiążącą go moralną moc—tradycję polską—w narzędzie jego wyższości: tak zarysowuje się sprawa... Idzie tu o tworzenie biologicznych, ekonomicznych zdolności i sił, o poleganie na tem tylko, co jest tą siłą, o zrozumienie, że wzruszeniowe promieniowanie akształtowanej dziejowej psychiki, męczeńskie spalanie się jej—staje się siłą dziejową jedynie przez biologiczno-ekonomiczną potęgę. W imię narodu, dla narodu—trzeba mieć wolę“.

Ten ustęp, rozpoczęty streszczeniem sądu autora o Wyspiańskim, jest zarazem streszczeniem przewodniej

myśli dzieła, w twórczości Wyspiańskiego znajdującej najzupełniejszy poetycki swój wyraz, stanowiący w niej niejako przejście do nowego polskiego życia, zwiastowanie mającej się narodzić nowej polskiej siły, wyraz wiary w przyszłe jej wcielenie i w rzeczywistość, nie w legendową młodą Polskę.

Czy i o ile zdołał aktor tę wiarę uzasadnić? na jakich oparł ją podstawach? Oto jest pytanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).





WŁADYSŁAW ORKAN.

Z P O E Z J I.

O DUSZE, MĘKĄ STRUCHLAŁE!

O dusze, męką struchlałe!
O serca, rozbite w piarg!
Gdyście w rozpaczę zniemiałe,
Krzyk za was pada z mych warg.

Jak kamień, leci w tę pustkę —
Jak kamień, wpada bez ech —
Krwawą-ć Weroniki chastkę
Wielekroć powitał śmiech.

Niechajże jarmark się czyni,
Niech mierzy łokieć i ćwierć —
My chodźmy do pustki-świątyni
Rozważać życie i śmierć...

WSZYSTKIE KRZYKI ME...

Wszystkie krzyki me, moje rozpacz,
Dymy, ofiarą spalonego ducha,
W głąb chłonie czarna mroków rzeka
I dalej martwa jest i głucha.

W tej pastce hak słów, serca lamenty,
Są, jak wyśmiewne wołania pchacze —
Strachem siebie człowiek przejęty
Daremnie od siebie ucieka.

Okrutne losu polowanie:
Serce-śmiej — a dokoła otehlanie..
Czyż nigdy ślad się nie zmyli?

Strach-rozpacz podąża w tropy —
Pod czyjeż schronne przypaść stopy?
Ach, czemuż Boga zabili...



NOC WRZEŚNIOWA.

Nad ciszą ziemi sierp księżycy —
Gwiazdy rozsiane w mroku —
Powietrze wilgna woń przesyca —
Tehnienie aroku.

Smrekowych gorców tony mroczne
 Pełzną k'niebios zieleni —
 W dole snają się mgły roztoczne,
 Dachy jesieni.

Z księżycą pada akój biały,
 Kwiatem na ziemię prószy —
 Ukojnym czyni się świat cały,
 Krom jednej duszy...

Tem jaśniej w ciszy tej kojącej
 Widzi swą dolę pewną,
 Iż jest jako ten promień drżący
 Podachą zwiewną...

Iż jest w tej wiecznej cisz harmoniji
 Niedosłyszalnym głosem,
 Mniej, niż ten świerszcz, co oto dzwoni
 O spadłą rosę.

Smutek? Pragnienie? Ból? Tęsknota?
 Wieczność? Wieczyste trwanie?
 Któż się o świerszcza zakłopotą,
 Gdy grać przestanie?

Oto w rozgwarach tego lasu —
 Cóż wróci żal głęboki! —
 Jak kamień, wpadły w głębię czasu
 Młodzieńcze roki...

I dzisiaj cisza... Sierp księżycą
 Jak kosa śmierci błyszczy —
 Powietrze zgniła woń przesyca
 Jesiennych zgliszczy...

NAPRZECIW BURZ.

Zdewniałość, serce... Przeciw tych nawałnic fali
Jeden las może ostać się oporem mieczy —
Z żyjących nikt zadość się nie ubezpieczy —
Los tnie... A wieleśmy to już tych fal przetrwali

Zaiste, wiele przenieść może duch człowieczy —
Jeno serce... ach, serce trzeba mieć twarde, ze stali...
Góra mogił narosłych życiem gdy się zwali...
Gdy chmurą spadnie, przeciężki smatek tych rzeczy...

Trza mieć przeciw nawałom życia serce-krzemień,
O który stalna losa siekiera się zbrasi —
Przeto, o serce! w bras się niezgładzony przemień.

Przed zamachami burz przyziemność jeno kryje.
Siek wichra masi znieść, kto się o górność pokasi.
W przywierzeźnie drzewa najsrożej wichara bije.



KIEDYS SIĘ ŻYCIU DAŁA W LENNO...

Kiedys się życiu dała w lenno,
Umiej-że, daszo, znieść niewolę —
Gdy cię jak jodłę niebopienną
Gnie wicher, hardość miej w swem czole.

Miej moc odgięcia i sproszenia
 Po każdej barzy, która-ć znęka —
 Zdrową bądź wiecznie ode rdzenia,
 Choć kora w brazdy chore spēka.

Postrach rzuć z chmar na ładzi-drwali,
 Błękity zadziw swym wyrostem —
 A gdy cię śmierć siekierą zwali,
 Bądź ku wieczności mostem...

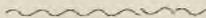


W PUSTCE.

Wzrok mój z omglonych pól smętnieć zbiera,
 Która siąpi nieznacznie w myśl mżeniem leciat-
 Radość błękitną zamgliwa, zaciera — [kiem,
 I oto cały-m jest napełnion smatkiem.

Smutny wzrok leci hen za oddal sią;
 Dziwne się włókna tęsknie koło myśli plotą,
 Serce bezmiarem oprzędą, owina —
 I oto jestem już cały tęsknotą.

Stęsknione oczy podźwigam do słońca;
 Zcieżate skrzydła myśli proszczą się, łopocą,
 Duszę napełnia rzeka jaśniejąca —
 I oto jestem znowu cały mocą!



WIECZOREM.

Cudnie się tęczy mroczna zorza —
W omgłi sinawej tają góry —
Niebo, jak sina roztoż morza —
Jak wyspy dalne, mgłą się chmary;

Mrokiem zasnute lasy dyszą —
Rżą łany świerszczów srebrnem graniem —
Różową błogostawion ciszą
Gaśnie dzień, szczęsny dokonaniem;

Echami dźwięczą gdzieś pasterze —
Płacze się postak wsi dalekiej —
Skądś zalatuje poszum rzeki —
Gdzieś dzwonią na pacierze.

Próżno mię ukój ten szczęśliwi,
Próżno w me serce się wpromienia —
Łka w niem tem głośniejsz, tem rzewliwiejsz
Nędza istnienia.



WYGNAŃCY.

Wygnańcy, Ewy synowie,
Szukamy drogi powrotu —
I śladem krwawego potu
Wciąż powracamy w pustkowie...

Lata nas palą upałem,
 Zimy mrozami nas mrożą —
 Ach wiedzą-ż to jest bożą,
 Co wycierpimy tu ciałem?

Pragnienia ogniem nas suszą,
 Tęsknoty wichrem w nas biją —
 Ach, wiedzą-ż to jest czyją,
 Co wycierpimy tu duszą?

Już całą naobszerz ziemię
 Zeszliśmy w próżnym szukaniu —
 Ach, kiedyż koniec wygnania?
 Któż nam zedźwignie to brzemię?

Próżno, półzmarli z boleści,
 Pytamy o wrótnie raju —
 Nie wiedzą w żadnym kraju,
 I znikąd ni echa wieści...

Stracona droga powrotu.
 Wygnańcy, Ewy synowie,
 Wciąż powracamy w pustkowie,
 Śladami krwawego potu.

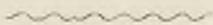
W I N A.

Minąłem brata w nędzy, gdy się trudził,
 I nie pomogłem mu dźwigać brzemienia —
 Sąsiada-m w przechodzie mimo nie obudził,
 Widząc nad dachem jego języki płomienia — —

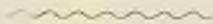
Niewiastę-m odszedł w pustce, pełną lęku,
I nie wróciłem na jej krzyk rozpaczny —
Ptaszę, które mi usiadło na rękę,
Zabiłem, na jego ufność nicobaczny — —

Ach, wiele zbrodni spełniłem w swej drodze,
Ślepy, jako ten kamień, co się stacza —
Jednak to brzemie win, choć cięży srodze,
Serca nierozgrzeszalną wagą nie przytłacza — —

Jeno tej winy udźwignąć nie mogę,
Żem duszy zmylił drogę...


SMUTEK.

W przestworzu, dalekiem od ludzkich śnień,
Na nicości sięgłej skalnej grani,
Wieczystą ochłonięty nocą,
Siedzi smutek i rzeka cień
Na światy, które w przestwornej otchłani
Jak świętojańskie robaczki migocą...



DZWONY.

W dali żaglowiec — biała mewa..
Wieże cyprysów na tle zorzy..
Domierający gwar ulicy..
Biały kwiat figowego drzewa
Tuż przy zielonej okiennicy..
Liście traw pełzną szkarłatem..
Wieczorny wezas.
W okno uderza pomruk dzwonów,
Duszę do cichych słów pokorzy,
Przywodzi na myśl litańję zgonów..
Drzewa białe, osypane kwiatem..
I wy kwitnicie — dwoje was —
Dzwony biją — —
Idę za waszym pogrzebem —
Wszystko jest piekłem i niebem —
Albo wy za pogrzebem moim —
Kiedyż z tą myślą się oswoim?
Dzwony biją — —
Jak dziwne obrazy się wiją..
„Umarł śmiercią zaszczytną,
Przeszedł do kraju cieni,
Stał się, jak one, niemy.
Połóżcie nad nim znak
Pamiętny,
I niech mu nie nie zmaća cisz“.
Cyprysy idą w wyż —
A drzewa białe kwitną —

Umrą na późnej jesieni —
I my pomrzemy...
Tak, tak —
Pomrzemy...
Jeden ton — sygnaturka — smętny —
To pamięć —
Ustanie —
I oto skończyło się granie.
Drzewa białe,
I biała śmierć — —





Dr. ADOLF CHYBIŃSKI.

ROBERT SCHUMANN

(W STULETNIĄ ROCZNICĘ URODZIN).

Prof. Jerzemu Lelewiczowi

poświęcam.

Ósmego czerwca r. z. obchodził świat muzyczny jubileusz urodzin jednej z najtragiczniejszych postaci, jaką kiedykolwiek muzyka wydała: setną rocznicę urodzin największego z romantyków niemieckich, Roberta Schumanna, bratniego ducha Fryderyka. Tragicznem było życie niejednego z wielkich muzyków twórczych. Bach stracił wzrok — Beethoven stracił słuch — Chopin przez całe życie szedł drogą Golgoty — Schubert cierpiał straszliwą nędzę, nie słyszał wykonania swych najlepszych dzieł i umarł, nie skończywszy swego arcydzieła (symfonji H-moll), był też przy końcu życia opuszczony nawet przez najbliższych, podobnie jak Mozart — Berlioz był nawet w oj-

czyżnie nie tylko nieznany ale i prześladowany — nieznanwany Hugo Wolf popadł w obłąkanie, dzieląc los z Schumannem, który był oddawna świadomy swego końca i pragnął skrócić cierpienia w odmętach Renu, który dał mu podietę do napisania jednego z najpogodniejszych dzieł, symfonji „reńskiej“. Lecz nie jego choroba (postępowy paraliż) i nie widmo obłąda były tragedją największą.... Plugawe krytyki również nie stały się powodem tragedji.. Schumann okazał się i pod tym względem daleko więcej majestatycznym, niż Wagner, który stworzył klasyczny typ Beckmessaera - krytyka i tem jedynie uratował sytuację, wynikającą z tego, że bądź co bądź na krytyce cokolwiek mu zależało. Tragedja Schumanna jest tragedją artysty, *tragedją artystycznych pomyłek*, z których nie zdawał sobie sprawy — na nieszczęście! Była ona tem straszniejszą, że zmarnowała niezliczone sposobności stworzenia samych arcydzieł, niszczyła jak czerw jego twórczość, zstępującą z Olimpa gienjuszka na wyżyny talentu, nie dlatego, żeby źródło natchnienia miało być u Schumanna ograniczone, lecz tylko z tego powodu, że płynęło w łożyskach nieodpowiednich dla natury talentu Schumann, który zamiast iść drogą, na której powstały pierwsze wielkie jego dzieła, zmienił kierunek rozwoju, błędąc po ścieżynach, nie mogących przyczynić się do tego rozwoju. Straszne kataklizmy niszczyły jego twórcze życie: autosuggestywne niezdawanie sobie sprawy z celów, dyktowanych przez indywidualny ustrój twórczy — błąkanie się po ścieżkach, przecinających właściwą drogę i zbaczających z niej — osiągnięcie celu, a jednak wahanie się, czy cel osiągnięty — marnowanie najcięższych sił dla tworzenia w dziedzinie sobie obecnej — sięganie do najgłębszych tajemników twórczości i znowu złudzenie, że się ich nie osiągnęło — entuzjastyczne zadowolenie i pewność, że się jest na najwłaściwszych drogach i że się

znalazło siebie samego, a po chwili powątpiewanie i najstraszniejsze złudzenie, iż daleko do tego — rozpadanie się na dwa dachowe wręcz sobie przeciwne światy, mąsakujące się i ociekające krwią w walce o miraż i rzeczywistość—tworzenie areydział w najwłaściwszem oświetleniu indywidualności, a jednak ciągła halucynacja, wskazująca złudnie na drogi, które nie prowadzą do celu — wreszcie to, co najtragiczniejsze: spoglądanie z zabobonną czcią na dacha niższego od siebie (choć gienjalnego) i przypuszczenie, że się nie tworzyło tak wzniosłych i wartościowych dzieł, gdy tymczasem rzeczywistość temu przeczyła.

Do tego przyczyniała się życiowa nieudolność Schumanna i coraz większa zależność od nakładców, powodująca w ostatnich kilkunastu latach „pisanie na zarobek“, bez kontrolowania siebie samego, a nawet bez *możności* poddawania kontroli utworów, które musiały być szybko pisane, gdyż liczna rodzina wołała o chleb, gienjalna zaś Klara nie mogła zapracować na utrzymanie jej przez swe występy w roli niechrównanej pianistki, dzieci bowiem potrzebowały matczynej pieczołowitości. Lot Schumanna zniżał się ustawicznie, obłąkanie zaś wszelką twórczość uczyniło niemożliwą.

Klara była idealną matką swych dzieci, lecz jako żona artysty o tak wielkiej potędze gienjuszku popełniała szereg nieszczęśliwych w pomyśle i wykonaniu czynów, które oddaliły Schumanna od artystów, należących mniej lub więcej do tego samego kierunku. Odnosił się Schumann z sympatją i uznaniem do Liszta, Wagnera, Berlioza i całego neoromantyzmu muzycznego. Za namową Klary nie tylko zerwał z tymi artystami i potępić zaczął ich kierunek, ale i podpisał protest, który przyczynił się do spotęgowania wrogiego już usposobienia obozu neoromantyków. Bolesnem było tryumfowanie Liszta, który

w sposób rycerski prowadził propagandę Schumanna, mimo że wszędzie zbierał dowody intryg Klary Schumann przeciw sobie.

Te tragedje pozostawiły niezatarty ślad na rozwoju twórczości wielkiego Roberta. Największem jego pragnieniem było tworzenie w *wielkich formach*. Jego ideałem była symfonia, sonata, muzyka kameralna, opera, oratorjum. Zazdrościł Mendelssohnowi tej swobody, z jaką twórca muzyki do „Sna nocy letniej“ ogarniał wielkie formy, bez trudu, bez wysiłku, bez niepewności. Mendelssohnowska wszechstronność, pozwalająca szczęśliwemu Felixowi tworzyć dzieła dojrzałe w największych i najmniejszych formach, wywoływała u Schumanna zachwyt, przesadę w uwielbieniu, przyczem Schumann nie zdołał rozróżnić u Mendelssohna potęgi formy i pseudo-romantycznego, konserwatywnego stylu i łączył w swych późniejszych dziełach obydwie te elementy, obce swej indywidualności. Cięższemu jego mógł najlepiej i najprędzej rozwinąć się w małych formach, indywidualność zaś jego była obca pseudoklasycyzmowi i skłaniała się zupełnie ku neoromantycznemu kierunkowi. Stąd wiele dzieł późniejszych zdradza niejednolitość stylu: obok ustępów typowo Schumannowskich pojawiają się echa zamierzchłych epok, obok fraz natchnionych i fantastycznych — tematy, zawdzięczające swój byt pracowitej pedanterji w stylizowaniu, obok przepelnionych głęboką treścią miejsc — ustępy bardzo rozwlekłe, które nie mówią przez to więcej, że są obszerne i długie. Szamotanie się z sobą, tak bardzo zbędne, staje się coraz widoczniejsze, aż wreszcie cięższemu ulega i staje się niestety małym talentem w swych kilku ostatnich dziełach, nad wyraz słabych. I znowu odnawia się odwieczna prawda, że postępowanie wbrew własnemu pędowi w sztuce zabija największy talent. Bardzo trafnie i zwięźle określił tę dysharmonję w rozwoju Schumanna

jeden z najwybitniejszych dzisiejszych muzyków, Feliks Weingartner: „W jego istotę i działalność wdrażała się jako ideał postać Mendelssohna, który we wszystkich formach tworzył z bajeczną łatwością — a to nie przyniosło Schumannowi wybawienia. W usiłowaniu dorównania w tym kierunku Mendelssonowi i osiągnięcia tej samej gładkości i zaokrąglenia formy cierpiąca jego najindywidualniejsza odrębność, a nie było mu danem dorównanie swemu wzorowi. Zawsze wpływa dawny romantyk, dawny fantasta, nigdy jednak z tą potężną siłą, jak w młodości. Obcy, poniekąd narzucony mu element odejmuje jego późniejszym dziełom tę żywiołową bezpośredniość, która nas zachwyca w pierwszych kompozycjach. Istota jego talentu, który w małych utworach wydał tak wspaniałe owoce, przekrzywia się (bez stania się bogatszą) w dziełach o większych rozmiarach, traci na bezpośredniości, staje się chudsza i szczuplejsza, ponieważ chce dać więcej, niż posiada *).

Typowe są pod tym względem jego sonaty, symfonje, kwartety. Z dwóch sonat fortepianowych daleko lepszą jest ta fis-moll, która najmniej zbliża się do formy sonaty; jest to zarazem dzieło napisane w młodości. Symfonje — a napisał ich cztery — dowodzą przede wszystkim, że Schumann był mało wrażliwy na koloryt orkiestrowy. I tu jednak zachodzi przedziwne rozdziwienie, które odczuwał sam mistrz najlepiej, symbolizując swą dwuosobowość w symbolicznych nazwach: „Eusebius“ i „Florestan“. Otóż możemy bez przesady powiedzieć, że symfonje jego są instrumentowane słabo i bez wprawy, wskutek czego nie brzmią jasno; brzmienie to nazywają muzycy „przeładowaniem“. A jednak instrumentacja naj-

*) Cytuję przekład polski z „Przeglądu muzycznego“ (1910, zeszyt 12).

lepszego orkiestrowego dzieła Schumanna jest doskonała. Jak sobie wytłumaczyć to zjawisko?! Jedyne w ten sposób, że w chwilach zupełnie wyjątkowych powstawała u Schumanna koncepcja orkiestrowa; czuł i myślał wtedy symfonicznie. Chwil tych wyjątkowych nie posiadał mistrz zbyt wiele podczas tworzenia symfonii, które były pomyślane fortepianowo, potem dopiero instrumentowane. Okazało się to, co zawsze przy słuchaniu orkiestrowych i symfonicznych dzieł przychodzi nam na myśl: t. j., że Schumann był panem siebie samego tylko w utworach fortepianowych. „Symfonia wymaga talentu, podobnego do epicznego wyposażenia poety — pisze Weingartner — a przedewszystkiem obiektywnej plastyki, Schumann zaś właśnie tego nie posiadał. W jego utworach fortepianowych znajdują się małe, charakterystyczne i pełne wyrazy tematy, które z fantazją i polotem umie przekształcać i użytkować. Ale w symfoniach nie zawsze wychodzi na swoim z tymi tematami i temacikami — mimo, że pochodzą z żywej i pięknej inwencji. Jeśli dokładnie przyjrzymy się jego orkiestrowym dziełom, to spostrzeżemy, iż często zmuszonym jest ratować się *powtarzaniem* pojedynczych taktów i grup, aby móc dalej snuć nić, ponieważ jest za mały. Co więcej — czasem ten temat jest utworzony przez powtórzenie tej samej frazy. Z powodu tych wielu tonalnych, a przez to oczywiście i rytmicznych powtórzeń, stają się jego dłuższe utwory orkiestrowe nieco monotonnymi. U Schumanna tylko powtórzenia tematów i włączanie fraz, często nie należących do organicznej całości, utrzymuje utwór w pozornym toku. Najczęściej cierpią pod tym względem pierwsze części, głównie zaś finały symfonii, które z wyjątkiem pełnej grajki ostatniej części symfonii B-dur są konwencjonalne i hałaśliwie instrumentowane. Najszcześniejszym jest Schumann w środkowych częściach. Larghetto symfonii B-dur zawiera jako

temat główny melodję tak bardzo szczerą i serdeczną i o tak szeroko rozproszanej linii, jak rzadko u Schumannna. Niezręczność Schumannna w instrumentacji polega na tem, że „prawie zawsze pracuje z pełnym aparatem orkiestrowym i nie stara się opracowywać głosów według charakteru pojedynczych instrumentów. Z dziecinną niemal naiwnością sądzi, że przez podwojenie osiągnie pełnię i siłę. Stąd brzmienie jest zbyt przeładowane i niezręczne, barwy szare na szarych, najważniejszych głosów nie słyszy się prawie, rzeczywiste zaś „forte“ jest równie niemożliwe, jak rzeczywiste „piano“ — jeśli wykonywa się według jego wskazówek... Symfonije Schumannna są jakby komponowane na fortepian i aranżowane — niestety nie-dobrze—na fortepian“ (Weingartner, l. c.).

Wspomnieliśmy już, że pojęcie wielkich symfonicznych form kojarzyło się w umyśle Schumannna z obowiązującym naśladowaniem klasycyzmu wraz z jego wszystkimi cechami stylistycznymi. Nie była dla niego klasycznym przykładem „Fantastyczna symfonia“ Hektora Berlijoza, którą cenił wyżej, niż cała Francja—i nie wytrwał na stanowisku zdecydowanego romantyka i obrońcy romantyzmu... i Chopina, zapomniał o swych entuzjastycznych manifestach krytycznych, w których zwalczał ciasnotę pseudoklasycznych miernot, panoszących się wówczas niemal w całym świecie. Stał się jakby przesadnym, trwającym w stanie egzageracji wielbicielem problematycznego zdania Goethego: „klasycyzm jest zdrowy, romantyzm jest chory“. Od 31 roku życia zdawał się być niewzruszonym w swych dążeniach i przekonaniach. Lecz tak genialny i erupcyjny, głęboko twórca i mimo długotrwałej sztucznej hipnozy szczerzy umysł i wielkie serce nie mogły, mimo silnej autosugestji, wytrwać przy narzuconych poglądach. Z chwilą, gdy znalazła się podnieta, harmonizująca z jego naturą, opadły mgły i miraż i znowu

przeszedł do słowa: ipsissimus Schumann. Podniętą tą był „Manfred“ Byrona. Mistrz przeszedł był tyle tragicznych kolei, że temat taki zjawił się jakby w porę. Już sama uwertura jest zapowiedzią nowego zwrotu. Znów wypada nam powtórzyć słowa Weingartnera: „Zupełnie innym, niż w symfoniach, jest Schumann nawet jako orkiestrowy kompozytor, gdy otrzymuje podniętę za pośrednictwem poetycznego dzieła kongieñjalnego, sobie sympatycznego, jakim jest „Manfred“ Byrona. Chęć uchodzenia za klasyka nie dręczy go wcale; może być *tem, czem jest—romantykiem* fantastycznym, skłonnym do nadzmysłowo-tajemniczego pierwiastku. Z tego nastroja, pokrewnego jego naturze, udało mu się stworzyć dzieło, które posiada najzupełniejsze prawo nazwania go klasycznym. Uwertura do „Manfreda“, instrumentowana nawet o wiele szczęśliwiej, niż inne dzieła, jest jedynym orkiestrowym utworem Schumanna, który można postawić obok jego fortepianowej muzyki. Tu rozwija Schumann siłę i wielkość i rozprowadza mimo powtarzań pojedynczych grup taktów ową potężną i jednolitą linię, która jest cechą dzieł wzniosłych. Ta uwertura jest typem *tragicznego* jednocześnie utworu i jako taka może być porównana z „Coriolanem“ Beethovena lub „Faustem“ Wagnera.

Do bardzo pięknych należą także ustępy ze „Scen Fausta“, zwłaszcza ustępy nastrojowe, programowe. I one odpowiadają naturze talentu Schumanna. Natomiast kilka uwertur oddzielnych poszło w zapomnienie. Są słabsze niż najslabsze części symfoni.

Tria, kwartety i kwintety Schumanna posiadają cechy formalne podobne, jak jego symfonie. Pomimo, że faktura ich nie zawsze zadawała styl kameralny, mimo to należą te dzieła do najpiękniejszych, jakie w tym rodzaju napisano od czasów Schuberta i Beethovena. Daleko

gładsze w formie i wdzięczniejsze w brzmieniu są kameralne dzieła Mendelssohna, a jednak — Schumann zwyciężył dzięki genialnej fantazji i wielkiej sile natchnienia. Znajdują się w tych kompozycjach ustępy tak wymowne, przejmujące nas do głębi, że nie dziwimy się, dlaczego dziś Mendelssohn nie może przemawiać do nas tak bezpośrednio, jak Schumann. Czas okazał się znowu nieubłagany sędzią. Ten, któremu Schumann zazdrościł, okazał się mniejszą od niego siłą twórczą — mniejszą, a więc na krótszy czas działającą indywidualnością.

Jeśli chcemy poznać dokładnie rodzaj talentu Schumanna i wielkość jego genialności, sięgnąć musimy do jego dzieł fortepianowych i pieśni z epoki pierwszej i drugiej, t. j. od r. 1829—1841. W tych latach wypowiedział się Schumann zupełnie i do tego stopnia, że, gdyby nie napisał był więcej nic, byłby już jednym z największych mistrzów muzyki. Ani co do wartości muzycznej, ani co do siły indywidualnej nie powstało później ani jedno dzieło, mogące przewyższyć najlepsze utwory z tej pierwszej epoki, w której talent Schumanna dojrzywał, nie potrzebując szukać indywidualnego wypowiedzenia się; Schumann bowiem, podobnie jak Chopin, znalazł siebie samego już w pierwszym i w drugim dziele. Romantyzm niemiecki osiąga już w nich najpiękniejszy swój obraz i najpiękniejszą formę. „Niebieski kwiat“ opiewał w nich mistrz, o którym Nietzsche wyraził się zbyt złośliwie, iż później był „piewcą niebieskiej pończochy“. Szlachetny idealizm, fantastyczność, przechodząca czasem w groteskę, melancholja obok rozigranej wesołości, mistycyzm i energja życiowa, pierwiastek naiwny i ludowy obok wyrafinowanego subiektywizmu, wznoszenie się na szczyty wszechludzkiej myśli i uczuć, a obok tego romantyczna poezja zacisza domowego — oto wielka i rozległa skala duszy Schumannowskiej, jej bogactwo i głębia, siła i wrażliwość.

Wszędzie zaś jakiś niewymownie sympatyczny i ujmujący nas pierwiastek, ujmujący bardziej, niż dzieła większych niż Schumann gieńjuszów, nieraz bardziej imponujących, porywających i wstrząsających. Przytem w każdym utworze niemal stwierdzamy, że Schumann był w swej muzyce więcej niż muzykiem, bo poetą; podobnie rzecz się ma u Berlioza, u którego zamiast pierwiastka poetycznego występuje malarski. Liszt i Wagner łączyli wszystkie trzy.

Poezja była jednym z najsilniejszych bodźców nie tylko twórczych, ale i kształtujących talent Schumanna. Jego uwielbienie dla Jean Paula, E. T. A. Hofmanna, Fr. Rückerta, L. Tiecka, H. Heinego, Eichendorffa, Chamissa, Uhlanda i Göthego było bez granic. Muzyka jednoczyła się u niego z poezją do tego stopnia, że w jednej sztuce widział pierwiastki drugiej. „Jeśli gram Schuberta, to zdaje mi się, że gram skomponowany romans Jean Paula“ — pisze w jednym z listów. Drobnie liryki i cykle małych poemacików, tak charakterystyczne dla romantyków niemieckich, odpowiadały mu najlepiej. Jeśli możemy przypuścić, że ballady Chopina powstały pod wpływem ballad Mickiewicza, to stosunek Schumanna do romantyków niemieckich nasuwa nam myśl o genezie tych małych pereł fortepianowej liryki Schumanna. Przed nimi istniały wprawdzie „Pieśni bez słów“ Mendelssohna i małe liryki muzyczne Schuberta, jednakże romantyczno-poetyczny element, dający muzyce pogłębienie i nastrojowość, a przytem swobodę formy, tworzonej nie na podstawie tradycyjnych schematów, lecz przez oddziaływanie poetycznej idei — to wszystko datuje się równocześnie od Chopina i Schumanna. Można wyobrazić sobie miłe zdumienie Schumanna, gdy otrzymawszy kompozycje Chopina, przekonał się, iż w swych tendencjach nie jest samotnym. Obydwaj romantycy byli wielkimi mistrzami i szli ręką w rękę z romantykami w poezji. Chopin — Novalis-

Mickiewicz z jednej, Schumann - Hofmann - Jean Paul z drugiej strony... Podobnie jak Chopin, był Schumann odrazu skryształowaną indywidualnością; wewnętrznego rozwoju nie znajdziemy u niego. To zaś, że tworzył później dzieła kameralne i orkiestrowe, dowodziło tylko przeniesienia własnego stylu z muzyki fortepianowej na inne gatunki muzyki, nie zaś zmiany stylu dalszych faz rozwoju tegoż. Już w „Papillons“ staje Schumann przed nami z tym gościem, z tą fizjognomią, jaka przegląda z każdego dzieła następnego. Same tytuły dzieł Schumanna są jakby zwięzłą charakterystyką tego rodzaju form, który odpowiadał mu najwięcej: Papillons (op. 2), Intermezzi (op. 4), Davidsbündlertänze (op. 6), Karnawał (op. 9), Phantasiestücke (op. 12), Kinderscenen (op. 15), Kreisleriana (op. 16), poświęcony Chopinowi, Blumenstücke (op. 19), Romanze (op. 23), Novelletten (op. 21), Faschingschwank (op. 26), Waldscenen (op. 82), Bilder aus dem Osten (op. 66), Fantazja (op. 17). Schumann był wcieleniem w muzykę świata poezji fantastycznej. W najniepozorniejszem zjawisku z rzeczywistości dopatrywał się czegoś, co ma związek z nadmysłowym światem. „Sich hineinträumen in die Welt des Scheins“ — tak określił go trafnie jeden z pisarzy niemieckich. Kwiat, zabawka dziecinna, chmura, posuwająca się po księżycowem niebie, cień drzewa, zniknięcie światła dziennego w pokoju, bajka w pięciu zdaniach opowiedziana, troska na czole dziecka, obca postać, przechodząca mimo domu, głos zasypiającego ptaszka w ciemni leśnej, polana leśna wśród ciszy—wszystko to było dla niego naczyniem duchowem, które napełniał swą twórczością, które opiewał, rzucając melodie tak piękne, iż mógł rywalizować z ukochanym swym Schubertem. Treść zaś tego naczynia przelewa się; zawsze bierze górę ponad formą. Często zmuszony jest treść swą tak skupić, aby nie rozsadziła małej formy;

czasem nie widzi innego wyjścia, jak tworzenie nowej formy. Dlatego obok Chopina jest Schumann twórcą dzieł o niesłychanej koncentracji treści, nastroju, uczucia— i tem większe wrażenie wywołują z tego powodu jego dzieła. Nie było niestety danem Schumannowi to niezbite i jasne przekonanie, że, chcąc pozostać wiernym swej naturze, powinien małe formy kontynuować aż po ostatni dzień swego życia. Ilekroć tworzy w wielkich rozmiarach, potężna siła jego inwencji rozdrabnia się i rozcieńcza, powstaje wiele monotonii rytmicznej i tylko kilka dzieł zdradza wyjątkowo szczęśliwą chwilę, w której rozmach obcy Schumannowi i siła namiętności snuje szeroki łuk tematu i tematycznego przeprowadzenia, mającego u Schumanna zawsze mniejsze zalety, niż inne części utworu.— Wielka fantazja pozwalała mu na nadawanie jednemu i temu samemu stanowi duszy tysięcznych odmian i kształtów i to łączy go z Chopinem. Drobne rysy jego kompozycji mają tyle szczegółów świetnych, niezrównanych i oryginalnych, że niema kompozycji Schumanna, któreby nie interesowały i nie utrzymywały ustawicznie w napięciu uwagi słuchacza. Przytem nigdy nie bierze góry jedna cecha nad drugą. Doskonałość opracowania nie przerasta treści — raczej naodwrot; niema też u Schumanna koncesji na rzecz rozbieganych palców pianisty, raczej fantazja jest—*sit venia verbis*— „rozbiegana“!— Schumann sam wypowiedział się bardzo trafnie, jakby o sobie: „Nie należy zapominać, że często wirtuozostwo jednego czynu artystycznego zastępuje impotencję innego“. — Rzecz dziwna: Schumann nie odczuwał orkiestrowego stylu symfonicznego i — jak już wspomnieliśmy — nie umiał instrumentować dość przejrzyście. Ilekroć jednak dzieł fortepianowych brzmi u niego orkiestrowo?! Przyczyna tego leży niewątpliwie w bogactwie polifonii, której wzorem był dla niego Bach, kochany i podziwiany przez Schumanna również, jak

przez Chopina. Zwłaszcza późniejsze dzieła Schumanna są pod tym względem charakterystyczne.

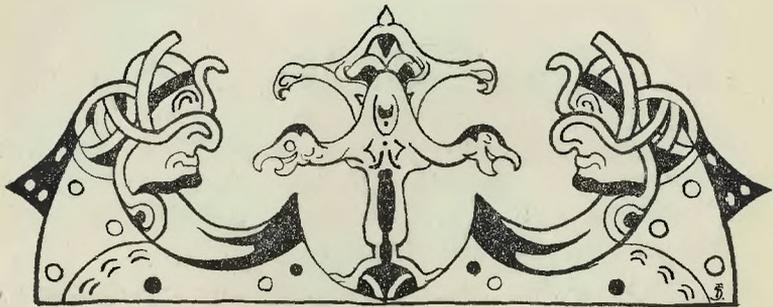
Które z dzieł Schumanna są najpiękniejsze? Odpowiedź na to jest niemożliwa. Większość głosów przyznaje pierwszeństwo cyklowi p. t. „Phantasiestücke“. Rzecz dziwna że jeden z najdłuższych jego utworów staje się dla nich rywalem: mianowicie fantazja (op. 17). Lecz czyż w sonacie fis-moll niema dłuższych ustępów nieopisanej wartości? Im to wypisał hymny wielki wielbiciel Schumanna i Chopina—Stanisław Przybyszewski. Koncert fortepianowy (a-moll), warjacje symfoniczne, sonata g-moll są znowu zbiorem najpiękniejszych myśli romantycznych. Wiele zaś dzieł słabych pod względem formy zawiera ustępy o tak wzniosłym natchnieniu i świeżości inwencji, że po dziś dzień są przedmiotem kulta, tak jak słaba instrumentacja symfonii nie usunęła ich bynajmniej z programów koncertowych. Gdzie nie wydoła kunszt, tam zwycięży proroczy, natchniony pierwiastek. Schumanna należy poznać w całości; w najslabszych utworach znajdują się miejsca, których nie znać—rownałoby się prawdziwej stracie. Twórcą nowożytnej pieśni jest, jak wiadomo, Franciszek Schubert. Stanowisko jego pieśni odpowiada mniej więcej temu znaczeniu, jakie w rozwoju muzyki symfonicznej posiadają symfonie Beethovena. Zamykają epokę klasyczną, lecz zwracają się już ku romantyzmowi. Bez pieśni Schuberta nie byłoby *pieśni Schumanna*, jednakże ten ostatni nie tylko wniósł romantyczny pierwiastek do pieśni, tak że każda jego pieśń jest zarazem najpiękniejszym wcieleniem romantyzmu w pieśni, lecz także zaszczerpał nowe elementy, mające stworzyć podstawę współczesnej pieśni, której głównymi przedstawicielami są: Franciszek Liszt, Ryszard Wagner, Hugo Wolff, Piotr Cornelius i Ryszard Strauss. Dlatego właśnie znaczenie pieśni Roberta Schumanna jest tak bardzo wielkie.

Największa część tychże powstała w r. 1840, a więc wtedy, gdy już Schumann wypowiedział się w zupełnie doskonały i dostateczny sposób, jako kompozytor fortepianowy, i gdy już mógł Klarę Wieck nazwać swą żoną. Pieśniami miłości nazwać można jego pieśni. „Frauenliebe und Leben“ — nazwał najpiękniejsze z nich, „Dichterliebe“, „Myrthen“ zwa się inne miłosne pieśni. Te perły liryki wokalnej są jakby arcywystąpieniem słynnego zdania wielkiego romantyka, Fryderyka Schlegla: „Alles wird Musik, weil alles mit den Augen der Liebe geschaut wird“. Jedną z najpiękniejszych pieśni jest duet na sopran i tenor: p. t. „On i ona“, pełen niezmiernie głębokiego uczucia, tak szlachetnego i tak silnie skoncentrowanego, że niewiele pieśni może rywalizować z tym arcydziełem, żadna zaś nie przewyższa go mocą doskonałej harmonii, jaką panuje między tem wszystkiem, co składa się na pieśń i dzieło sztuki muzycznej wogóle. Wszystkie zalety i cechy Schumanna, jakie są właściwe jego najlepszym dziełom fortepianowym, zwłaszcza tym potężnym—niewielkim perłom, znajdziemy w pieśniach Schumanna. Bezwładnem staje się pióro, gdy ma skreślić wrażenia. Możemy powtórzyć za biografem Schumanna, Wasilewskim, słowa krótkie, lecz trafne, choć będące jakby charakterystyką każdego pieśniarza z Bożej łaski: „Pieśni Schumanna, których liczba jest dowodem bogatej, różnorodnej i szybko kształtującej produktywnej siły mistrza, są pod każdym względem prawem dziełami jego ducha. Dają nam poznać całego wewnętrzznego człowieka ze wszystkimi zaletami i słabymi stronami. Głębka i ciepła uczucia, inspiracja o wielkim polocie, fantastyczne zabarwienie pojmowania i poglądu, pełnia ducha i poetyczne ujęcie wyrazu, szczegółowe i najczęściej bardzo szczęśliwe charakteryzowanie (tekstu i treści), powierzone zazwyczaj towarzyszeniu fortepianowemu—

oto te wszystkie cechy znajdują się z rzadką doskonałością połączone“. Pławimy się istotnie w romantyce i uczucia, a gdzie nie może głos ludzki wyrazić wszystkiego, tam instrument śpiewa i wyraża tyle treści, że nieraz mamy wrażenie, jakby ten pierwiastek chciał umyślnie okazać swą wyższość. Krótka przygrywka wprowadza nas od razu w nastrój pieśni; potem towarzyszy fortepian natchnionym melodjom, komentując je, uzupełniając siłę wyrazu i przeprowadzając niejako cały proces rosnącego lub przemieniającego się uczucia, aż wreszcie w postludjum znajdujemy syntezę lub jeszcze większą i silniej wyrażoną koncentrację wewnętrznej treści. Nieraz traci na tem całość pieśni, nieraz jednak zyskuje. I tak n. p. zakończenie ostatniej pieśni z cyklu „Frauenliebe und Leben“, gdy rezygnacja podyktowała słowa: „Da hab ich dich und mein verlornes Glück“, odzywa się po nich motyw szczęścia z poprzednich (pierwszych) pieśni i wzbudza nieopisany spokój i otuchę. Sama myśl o wielkości szczęścia, samo marzenie o przeszłym życiu, gdy róże zaściewały drogę życia, uspakaja i pobudza do myśli, że nie może być szczęście większem, jak to, które było. Ten pomysł, tak gienjalny i tak ludzki zarazem, wystarczy za słowa zachwytu nad pieśniami Roberta.

Głębia poezji, jaką technicznie każda z pieśni Schumanna, nie każe nam dziwić się, iż był czas, gdy młody Schumann nie wiedział, czy będzie muzykiem, czy poetą. Dziś, gdy realizm muzyczny stroni od poetycznego pierwiastka i gdy tylko pozorami poetycznych fraz pragnie okryć rzeczywistość dążeń instynktów, pieśni Schumanna są dla wielu nawet wielkich muzyków niezupełnie lub wcale niezrozumiałe. Niejedno uczucie, zaklęte w arcy mistrzowskie liryki Schumanna, wydać się może zbyt niemiłe dla „stylistów życia“. Jakby w przeczuciu rzekł raz Schumann:

„Ich möchte nicht einmal wünschen dass mich alle Menschen verstehen!“ Nie pragnąłem nigdy, aby mnie wszyscy ludzie rozumieli. Jeśli jednak kiedyś nastąpi reakcja przeciw gwałcenia muzyki, to duch Schumann'a stanie na jej czele. Chopin uzna ją za słuszną, Wagner po namyśle przyłączy się... Niewątpliwie i Ryszard Strauss—gdy zauważy, że na tem można zrobić dobry interes.





F. JABŁCZYŃSKI.

CZWARTA PARTJA.

Było to dawno temu. Czytałem wtedy wielką złotą księgę, w której zapisano wszystko, co było lub będzie kiedykolwiek na świecie, poza światami, lub tam—o czem jeszcze nic nie wiadomo. Piękny, poważny anioł, wskazując długim, promiennym palcem, tłumaczył mi to, czego zrozumieć nie byłem w stanie.

Ale wiele rzeczy i on nie rozumiał i zdawał się nie wiedzieć o nich nic. Wtedy przechadzaliśmy się. Było to w ogrodzie rajskim, pełnym drzew, kwiatów i wodospadów, które szumiały łagodnie, napełniając powietrze świeżym pyłem wód krystalicznych. Anioł szedł cicho, zamyślony, blady, z głęboką bruzdą na czole, z oczyma, przysłoniętymi cieniem, a ja obok niego, szanując jego mileżenie.

Później — został on strącony za pychę i nieposłuszeństwo i stał się demonem.

Znalazłem mego nauczyciela i płakałem szczerze nad jego losem. Widziałem, jak walczył w szeregach, jak potężny piorun raził go w same piersi, jak zezerniał i padł na wznak w otchłanie, które się pod nim rozwarły.

Płakałem bardzo, tak mi szkoda było białego, promiennego anioła, który był tak piękny! Nie rozumiałem wtedy nic, o co walczoneo, dlaczego, czemu zastępy białopiórych rycerzy spaliły się na węgle od płomienistego huraganu nieba. Czego chciano tam, w górze, nad chmurami, skąd w pogodny dzień patrzyła spokojnie błękitna tajemnica, nocami błyszczały zagadkowe gwiazdy, gdzie przechadzało się słońce, błędził księżyc blade, skąd były blaski piorunowe, szły burze, wiatry, rodziły się i gasły łuny wschodów i zachodów.

Pewnego razu — a było to już znacznie, znacznie później, przechadzałem się, jak zwykle, sam w rajskim ogrodzie, który był zupełnie pusty. Gąszenie drzew rozrosły się, obciążone kwiatami, owocami, zieleniły się łąki i trawniki bujnie, szumiały wodospady. Ale ogród był pusty. Ani ptaka, ani motyla, ani robaka, ani płazu nawet. Przechadzałem się smutny, nie rozumiejąc nic z tego wszystkiego. Wybierałem, jak zwykle, drogę do pięciu wodospadów, które szumiały, niby muzyka. Owego razu jednak — odeszła mi ochota od celu codziennych wycieczek. Obrąłem drogę inną. Był to kamienisty parów, który następnie rozszerzył się w cichą dolinkę. Byłem smutny i nawykły do milczenia. Odzwyczaiłem się już od własnego głosu, zapomniałem o nim tak, jak gdybym go nie miał wcale. Milczenie i pustkę czułem w sobie, łagodną, ale beznadziejną — tę samą, która panowała w pięknym ogrodzie rajskim. Szedłem długo, zrywając po drodze owoce, którymi karmiłem się. Skończył się dzień

jeden, nastąpiła noc, przespałem się. O świcie poszedłem dalej. Skończył się dzień drugi, trzeci — ja szedłem znowu. Upłynęło w ten sposób dni sześć. Siódmego dnia, na końcu doliny ukazała się groźna, olbrzymia prostopadła ściana. Poznałem, że zbliżyłem się znowu do granie rajskiego ogrodu, z którego nigdzie dotychczas nie było wyjścia. Wypędzając z raju Adama i jego synów, mnie tam zapomniano. Napróżno wołałem, szukając wyjścia z pustego, pięknego więzienia. I ziemia, i niebo, i otaczający ogród były głuche na wołania.

Spostrzegłszy w dali groźną ścianę, stanąłem przygnębiony. Tak tu było dawniej pięknie, wesoło, kiedy po zaroślach brodziły zwierzęta, ptaki śpiewały wśród gąszczów drzew, nad łąkami brzęczały roje owadów, a po ogrodzie przechadzali się aniołowie. Wtedy rodziców z raju jeszcze nie wypędzono. Ale za co skazano nas na tak srogą karę? Dlaczego piękny ogród zamieniono na ruinę? Co zawinili ci biedni ludzie, którzy żyli szczęśliwie, wesoło? Na podobne pytania nie znajdowałem nigdy odpowiedzi.

Szedłem dalej, aż zbliżyłem się do stóp granitowej ściany, która otaczała moje rajskie więzienie. Była to olbrzymia skała z granitu, prawie prostopadła—olbrzymi, nadludzki mur, który przebyć mógł tylko ptak bardzo wysokiego lotu, orzeł lub sęp, lecące nad chmurami. Ale nie było ani sępa, ani orła. Stałem pod ścianą, która rzucała cień ponury, dotykałem ręką jej zmurszałej, omszonej powierzchni, w nadziei, że znajdę jakąś szczelinę, przez którą można będzie spojrzeć na świat inny, znany mi tylko z domysłów i przypuszczeń. Niestety, ściana była wszędzie gładka. Szedłem wzdłuż niej jeden dzień, następnie drugi, trzeci, czwarty, żywiąc się dzikimi jagodami, które tu rosły. Wreszcie trzeciego dnia, pod wieczór, krajobraz zaczął się zmieniać. Od czasu do czasu

wśród traw napotykałem olbrzymie kamienie, zaryte głęboko w ziemię, które wyglądały tak, jak gdyby były rzucone ręką tytanów. Grunt stawał się niespokojnym, poranym dołami i brzdami, pełnym wyrw, zarośniętych zieliskiem. Ale pusto było i tu. Szedłem dalej, coraz to bardziej pod wrażeniem, że kroczę po dawnym bojuwisku, gdzie walczyły olbrzymy. Napotykałem coraz więcej podobnych skał porzuconych. Około południa zbliżyłem się w ten sposób do kolosalnego rumowiska głazów, które opiera się o ścianę granitową, w tem miejscu szczególnie poszarpaną; kamienie tworzyły niby lawinę, która zsunęła się ze szczytów i zmartwiała. Ostre wirchy rysowały się hen, w górze, pod obłokami, zębatą, potężną linią, niby zakończenia częstokoła. Byłem zmęczony. Więc usiadłem w cieniu jednego z głazów, bo słońce z nieba bez chmur piekło, powiększając jeszcze bardziej pustkę i ciszę, stężyła od blasku. Jakieś wspomnienia poczęły mi błędzić po głowie, dawne, prawie już zapomniane. Zdawało mi się, że byłem tu już raz kiedyś, że oglądałem to wszystko, tylko w zupełnie innem oświetleniu. Dreszcz mię przeszedł. Wstałem niespokojny i począłem czegoś szukać między kamieniami w nadziei, że sobie coś przypomnę. W ten sposób wdrapałem się na początek olbrzymiego kamieniospadu, ale tylko olbrzym mógł się dostać wyżej. Głazy tworzyły bowiem stopnie i zręby, kilkakrotnie przewyższające wzrost zwyczajnego człowieka. To też patrzyłem beznadziejnie w górę, jak ptak, zamknięty w klatce, patrzy na niebo, czując, że nie dostanie się tam nigdy. Wtem wydało mi się, że jeden z głazów poruszył się, i że z głębi, z pod niego wydostało się niby głębokie, ciężkie westchnienie, jęk.

Przyzwyczajony do szumu wodospadów, lub deszczu, uderzającego w noce o liście, w pierwszej chwili myśla-

łem, że to szmer jakiegoś strumienia podziemnego, który, podmywszy jeden z głazów, osunął go wreszcie. Ale po chwili kamień ruszył się i słaby jęk, tym razem wyraźniejszy, powtórzył się znowu. Złakłem się w pierwszej chwili. Ale ciekawość i nadzieja znalezienia kogoś, jakiejś żywej istoty, zatrzymały mię na miejscu. Począłem posuwać się ostrożnie w kierunku szmeru, przedzierając się przez szczeliny. Głazy leżały tu obok siebie luźno, tworząc labirynt przejść, grot, kominów, tuneli. Panowały tu niepodzielnie chłód, mrok i wilgoć. Co chwila przystawałem, nasłuchując, w obawie zabłądzenia. Natrafiłem wreszcie na studnię, zapadającą się głęboko między głazy. Nachyliłem się nad jej otworem, bo zdawało mi się, że z głębi jej wydobywają się jakieś szmery. I po chwili z dna wydzwignął się jęk, kamienie ruszyły się, niby ktoś je z pod spodu usiłował podnieść.

* * *

Siedem miesięcy pracowałem jak górnik, wątlami rękami wygrzebując ziemię. Przypomniałem sobie wtedy wszystko! Pod kamieniami leżał mój anioł strącony, mój nauczyciel, zagrzebany głazami w owym pamiętnym dniu walki, która się tu odbyła. Przypomniała mi się złota księga, gdzie wszystko jest zapisane, co było i co ma być jeszcze; przypomniałem sobie, że obaj nie rozumieliśmy w niej bardzo wiele i że wtedy mój nauczyciel, biały, skrzydlaty, wyniosły i poważny, mileżał i zamyślał się. I że wtedy przechadzaliśmy się po pięknym raj, który odtąd stał się pustką!

Pracując przez siedem miesięcy, marzyłem o powrocie owych czasów dawnych, myślałem sobie, że odtąd będę miał towarzysza niedoli. Przypuszczałem, że mój

anioł nie będzie taki biały i promienny, jak dawniej. Raczej nieszczęśliwy. To też krwawiłem sobie ręce, pracowałem dniem i nocą, nie zwracając uwagi na nie. Wreszcie wysiłki moje skończyły się. Kamienie, osłabione u podstaw, rozleciały się! I ujrzałem znowu mego anioła. Powstał! Ale jak zmieniony! Jak zmieniony!... Od jego widoku wszystko stało się rozpaczliwe! Czarny był. W oczach zapalał mu się lęk, ilekroć źrenice jego rozszerzone trafiały na niebo, chociaż nie było tam ani chmurki, ani obłoczka burzy! Białe, dawniej olbrzymie skrzydła zamieniły się na spiekło, zwęglone badyle, które sterczały bez sensu, połamane, pocięte! Na piersiach miał czarną, okropną, zapiekłą bliznę od uderzenia pioruna. Jedno oko oślepte. Nogi, które pod kamieniami połamały się, a następnie zrosły, wyglądały potwornie! Byłbym go nie poznał — tak był sterany, upadły. Kiedy usiadł na kamieniu, trząsł się, chociaż słońce piekło i znój był w powietrzu. Nie mieliśmy księgi złotej, w której wszystko jest zapisane, nie czytaliśmy jej już razem. Anioł zdawał się nie rozumieć nic. Jego oczy, dawniej głębokie, zamyślane, tajemnicze, jak morze, jak ono mieniące się głębią, miały w sobie skrzepłe, lodowate, ciasne przerażenie, niepokój i niepewność. Usta, niegdyś bez skazy, czyste — pocięte były, zsiniałe, popękane. Czoło, dawniej czyste, na którym tylko czasami, kiedy się zamyślał — ukazywał się cień i poważna brazda między brwiami, obecnie zorane było przez liczne, drobne, ostre zmarszczki zgrzybiałości i schorowania. Z rąk porobiły się knykie potworne, pokarczone! Siedzieliśmy nad wodospadem. Ale on uciekał od jego szuma. Przenieśliśmy się tam, gdzie panowała cisza. Ale poczęła go przerażać i cisza. Kazał się zaprowadzić do najciemniejszej pieczary. Nie dochodziły tam ani dźwięki, ani światło. Ale i tu nie mógł wytrzymać. Prokowałem rozmawiać

z nim, rozerwać go, ożywić wspomnienia, uspokoić nadzieją. Ale nie odpowiadał mi, tylko kiwał głową. Jedna myśl opanowała go w końcu niepodzielnie: uciekać, uciekać, jak najprędzej, jak najdalej!

Po długiej pracy, drapiąc się po olbrzymich kamieniach usypiska, poczęliśmy zbliżać się do wierzehołka ściany wspólnego naszego więzienia. Pomimo kalectwa, ran, pracował on, wytężając wszystkie siły. Myśl ucieczki spalała go, a nie ustający strach powiększał jeszcze gorączkę. Pamiętam błyski strasznego przerażenia w oczach jego, kiedy mimowoli spojrzął w głąb nieba, chociaż było ono spokojne i patrzyło obojętnie w noc i dzień na nasze wysiłki, jak gdyby nie było tam nic więcej, prócz milczenia i próżni. Pięliśmy się dzień i noc—ja na barkach jego. Niósł mię, bo bał się samotności. Zbliżaliśmy się wolno do szczytu.

Praca aniota stawała się coraz bardziej gorączkową. W ostatnią noc już tylko kilkanaście ogromnych kamiennych zrębów dzieliło nas od wierzehołka. Niepokój jego wzrastał. Pamiętam ostatnią chwilę. Ujrzałem go nagle, w majaczących ciemnościach nocy, jako ogromną, czarną postać, która powstała nagle, stanęła na szczycie wśród gwiazd błyszczących. Zdawało mi się, że zolbrzymiał nagle, wyprostował się, że mu urosły skrzydła!

I... zniknął mi w ciemnościach nocy!

Słyszałem tylko po drugiej stronie ściany głuchy łoskot kamieni, niknący w dali. Musiał biec. Uciekał.

Zapomniał o mnie! Byłem tak mały! Myślałem, że powróci, że była to tylko chwila zapomnienia się. Nie! Łoskot uciechł. Pozostałem sam!

Pracowałem długo, zanim zdołałem wdrzeć się na kamień ostatni, który mię dzielił od szczytu, pracowałem jak kobold, kując stopnie. Myślałem, że umrę z głodu i pragnienia na tym dzikim, pustym szczycie. Ale prze-

trzymałem. W siedem dni potem, o świcie, wydostałem się na świat upragniony. Mego anioła nie było. Widziałem przed sobą równinę, rzekę, drzewa, w dali miasto.

* * *

Z owego czasu pozostało mi wspomnienie—niby snu—anioła, jego twarzy, i jestem pewny, że spotykałem go nieraz w życiu, chociaż on zdawał się nie poznawać mnie nigdy. Nie chciał. Pamiętam raz, było to w noc mroźną. Bezksiężycowe niebo skrzyło się gwiazdami. Zdało się, że i ono ścięło się w łód i zamieniło gwiazdy w mroźne kryształy światła—twarde, jarzące się wszystkimi blaskami djamentów. Wysadzały jedne drugie! Zdało się, że słychać było w górze subtelny, suchy trzask ostrych igieł z ich promieni. Sypki śnieg pokrywał dachy i ulice puste małego miasteczka północy. Mroźna, zimowa, głucha noc panowała niepodzielnie. A on? On stał i drżał z zimna i głodu! Poznałem jego oczy ciemne, rozpaczliwe, rozszerzone i zacięte. Czoło miał obszerne, twarz małą, bladą, wycieńzoną, prawie bezsilną. Okropnie musiał czuć wszystkie miecze ostatniej nędzy i odrzucenia! I myśl jego resztkami sił, resztkami płomienia pracowała, podczas gdy zęby uderzały o siebie, a ramiona szczerpły kostniały od zimna. Ale to był on! Te same oczy, to samo czoło i ta sama bruzda między brwiami.

Innym razem—było to w Wenecji. Zapadał wieczór. San Giorgio płonął o zachodzie ponad ruchliwą, mieniącą się falą Canale Grande. Z poza *Santa Maria Salute*, w mgłach chijaecyntów i fioletów rysował się las masztów. Barwny wieczór lagun miał się ku końcowi. Na kanale, na wybrzeżach, na placach i w uliczkach panował zwykły ruch wieczorny sezonu, kawiarnie były pełne. On

stał przed palącymi się o zachodzie św. Markiem i pałacem Dożów i patrzył wzrokiem rozszerzonym, niepewnym na tę zagadkę kamienną — mieszaninę krwi ludzkiej, jejków więziennych, sztuki, złota, wyciśniętego z potu i blasków słońca—która wykwitła tu, z morza, z wiary, z wojen, z niewoli narodów, z ambicji silnych, z potęgi ludzkiej i jej grzechów, jako problemat jeszcze nie rozwiązany, pełen treści żywej i znaczącej.

A innym razem, pamiętam, było to w ciepłą noc majową. Księżyc stał wysoko w pełni—stary przyjaciel miłości, czarów, melancholji i złych zamiarów, woni, szmerów fontann i skradania się. Stał wysoko, ponad drzewami, sypiąc na ziemię pyłem srebrnych blasków, które wisiały w powietrzu, drżąc niby pianissimo nokturnu. Stałem za drzewami, ukryty w cieniu. Ciszę przerwał czasem jakiś ptak nocny, który przeleciał w górze na skrzydłach z aksamitu, lub szepnęły liście cicho, aby nie zmacić snu naturze, co roiła zapewne o tworach przyszłych, które miała wydać z siebie. A potem usłyszałem nagły, krótki płacz kobiecy, którego nie zapomnę nigdy. Był tam on! Uciekał. Widziałem, jak przystanął, cisnąc rękami czoło, jak odwrócił się, zamierzając cofnąć się, wrócić tam, skąd płacz go doszedł. Widać było walkę. Ale zwyciężył siebie i uciekł szybko, pozostawiając ciepłą, piękną, czarodziejską noc poza sobą!

A później? Później widziałem go. Okno było otwarte. Lekka, zielona firanka porusza się od przewiewu niewidzialnego wiatru, który zagląda nocą do okien otwartych. W niskiej, sklepionej, średniowiecznej komnacie, nad pulpitem pochylony siedział. Lampa olejna pstrzyła się i płomień wahał się lekko, poruszając cienie. Naokoło w mileczeniu, świecąc wyciskaniem na złoconych grzbietach, stały na półkach książki o tytułach głośnych, pełnych mądrości. Cała wiedza ówczesna: Aver-

rois „Opera“, Johannis Scotis „De divisione Naturae“, Anselma „Proslogium“, Abellarda „Sic et non“, Tomasza z Akwina „Summa Philosophiae“, Ptolomeusza „Almagest“, dalej Albertus Magnus, Boetius, św. Augustyn, Arystoteles, Dante, Platon, Księgi Testamentu i Ewangielje i mnóstwo innych w oryginałach, w łacińskich, arabskich lub chaldejskich przekładach. On przewraca od czasu do czasu wielką księgę, twarz ma znużoną myślami, obracającemi się około najgłębszych zagadek bytu. Przez okno, na niebie, poza dachami i wieżami wschodzi błądy świt, a w górze nad nim błyszczy, niby djament migotliwy, gasnąca już Capella. Odezwała się trąbka z wieży. W oknie, niby spływając z nieba, staje piękna postać kobieca, lekka, jak widzenie, zbliża się do stołu, i kładzie na otwartych kartach księgi pożółkłej świeżą, skropioną rosą, pachnącą różę, przysyłając litery. I wtedy On odrywa oczy, zamyśla się, wstaje, opiera głowę o futrynę okna i wzrok jego zagłębia się w przestrzeń, pełen pytania.

A później widziałem go w tumultach ulicznych, w walkach, poza kratami więzień, w tryumfie i w ucieczce, stojącego na mównicy, sądzącego i sądzonego, walczącego ciągle ze wszystkim i ze wszystkimi o coś, co jest pierwsze i ponad wszystkim!

* * *

W Paryżu nie spotkałem go dotychczas. Był tu niedawno jeszcze. Obecnie zamiast niego jest Chantecler czy Chanteclair, zależnie od tego, czy w Porte St. Martin, czy w Ba-Ta-Clan, no i wiele innych rzeczy. Ale brak... ezwartej partji. Narzekają na to mniej lub więcej świadomie, mniej lub więcej otwarcie rozmaici paryżanie i nie-paryżanie. Są trzy stare, odwieczne, istniejące odtąd, odkąd istnieją: życie zbiorowe i opinje zbiorowe.

Istnieje jedna tak zw. konserwatywna, która trochę działa, ale głównie czeka, w nadziei, że „ludzkość“ znajdzie się demokracją, tak, jak gdyby chodziło tu o zabawę, i wróca znowu czasy, kiedy ludzie podzieleni zostaną na dwie klasy: niższą, pracującą, cierpliwą, spokojną, rządową, i wyższą, rządzącą, do której, naturalnie, przedewszystkiem należeć będą... oni.

Jest druga partja. Na imię jej miliard i więcej, rozsiedlony po całej kuli ziemskiej. Są to głodni, biedni, narody i warstwy dzikie, ciemne lub ściemniane. To wszystko, co oni na razie od życia żądać mogą, to nie władza, wyższe stanowiska, sztuka, wykwinty życiowe, nie myśl o najwyższych dążeniach i najbardziej palących potrzebach ludzkości, nie rozstrzygnięcie zagadnień i stawianie problemów, lecz... jaka taka pewność, że jutro żyć będą, że będą mieli chleb, dach nad głową, że nie będą ginąć krociami z chorób, przepracowania, nędzy. I nie więcej—wymagania aż nadto skromne.

Istnieje trzecia partja — środkowa. Są to ludzie, którzy nie marzą o powrocie czasów feudalnych. Są to „*beati qui tenent*“. Wszystkie lewe teorie są dla nich utopjami. Są to demokraci w ścisłym kółku etc.

Słowem, łatwiej ich określić przez to, czem nie są, aniżeli tem, czem są.

Nie są również czwartą partją, której brak potrosze dziś wszędzie. Ale tu, w Paryżu, czuć się to daje mocniej.

Należy jej raczej szukać na cmentarzach paryskich i na innych, z których już nie pozostało ani śladu. Ci, którzy, nie mając partji własnej, przyłączyli się lub przyłączają nieprawidłowo do jednej z trzech partji wyżej określonych, stanowiąc od początku świata partję osobną, zawsze rozbitą, nigdy jeszcze nie zorganizowaną, nigdy jeszcze nie uświadomioną w pełni co do swego programu,

celów, środków działania, swoich cech szczególnych. Jest to partja tych, na których mózgach, czuciach, sercach, czynach oparło się tyle: i konserwatyzm, i socjalizm, i anarchizm, i radykalizm, i rozwój techniczny dzisiejszy, i drogi handlu, i urzãdzenia społeczne, i formy życia, i równość, i braterstwo, i wolność, i marsyljanka, i zresztã wszystko. Partja uczonych, prawodawców, pisarzy, wynalazców, organizatorów społecznych, artystów, poprawiaczy ludzi i rzeczy, twórców typów ludzkich, ducha i form życia — którym „człowiek“ zawdzięcza właściwie wszystko, nie wyłączając samego siebie.

Uświadomienie się, organizacja, oraz akcja tej partji—kosmiczna sprawa przyszłości.

Po sześćdziesięciu kilku wiekach przebytej historii... chyba już czas na to, chociaż sama idea dziś przedstawia się jeszcze niestety, jako bardzo utopijna utopja. Ale czas swoje robi.





NA FALI.

ECHO DZIECIŃSTWA.

*Bratu mojemu Józefowi
wzomian za serdeczny list Jego, przy-
stany z Grebieniówki pod Sumamą do
Heluanu pod Kairem.*

Na tle błękitnem słońce się pali,
Jak złoty niebios kwiat...
A kiedy z góry leje się złoto,
Ja szafirowej pozwalam fali
Huścić tak siebie z słodką pieszczotą,
Jak za dziecinnych lat.

Dażo burz wyło od owej chwili,
Dażo płynęło łez,
Gdyśmy huśtawkę — chwilo radosna! —
W Górnym Ogrodzie z Tobą robili...
Szamiały lipy, pachniała wiosna,
Zakwitał biały bez...

Haństawkę starsze robiły dzieci,
 A w bieli dworskich ścian
 W pierwszym pokoju Matka coś czyta.
 Przy niej gagatek bawi się trzeci,
 Feliks zaś stary sprząta i pyta,
 Czy z gamna wrócił *pan*.

I czy — samowar dać wreszcie pora
 (Grzał go już razy sześć!),
 I gderze trochę, że to panisko
 W polu od rana aż do wieczora,
 Człek nie wie, gdzie jest: daleko, blisko,
 I kiedy krzyknie: „Jeść!“

W Górnym Ogrodzie lipy szumiały,
 Jak dziś ta morska toń.
 A szum ich grał mi, jak cudne dzwony.
 Gotów go byłem słuchać dzień cały.
 To znów na pole — z wiatrem w przegony —
 Niósł mnie mój mały koń...

Pamiętasz kuca? Drobny był wzrostem,
 Lecz duże konie brał.
 Pamiętasz Kottka? Ściągał się z nami,
 Uczył nas pływać w „bełku“ za mostem,
 Na harmonice grywał czasami,
 Robił nam pęki strzał.

Pamiętasz ową nieboszczkę wronę,
 Co z jego padła rąk?
 Potem nas z sobą brał na szaraki...
 Ach, pędzą lata, lata szalone!
 Dzielne z nas jednak były chłopaki,
 My dwaj i Gutek — bąk.

Bączek był, ale w Górnym Ogrodzie
 (Wracam do niego preezi),
 Gdzieśmy zacięte staczali boje,
 „Książątko“ batnie bieгло na przodzie,
 Wznosząc zachwale na pałki moje
 Swój buntowniczy miecz.

A czasem nawet nasz pierworodny
 Brał udział w walkach tych.
 Pod kopcem—pomnę—pierzchł przed nim w trwodze
 Z czworaków zastęp ciarów niegodny.
 Walczyli tylko mężnie dwaj wodze,
 Na pewny idąc sztych.

Sam nie wiem, czemu — pisząc to — płaczę,
 Czemu mi smatno tak..
 Los dla nas w życiu nie był zbyt wrogi.
 Tak! Lecz my obaj — wieczni tufańce,
 I głowom naszym, Bracie mój drogi,
 Cienia lip tamtych — brak!

5 stycznia 1911 r., na pokładzie
 egipskiego okrętu „Osmanieh“,
 między Aleksandrią a Pireusem.

POWITANIE.

O ciemne świerki, jodły i sosny
 Ojczystych moich stron!
 Powracam do was z krainy wiosny,
 Gdzie pomarańcza teraz dojrzewa,
 Gdzie palma daje plon.

Jeszcze w mej duszy smętny hymn śpiewa
Ostatnia z morskich fal.
Jeszcze mi szumią te cudne drzewa,
Co do piramid świeżo nas wiodły,
Rozstania kojąc żal.

Gdy oto wasze słyszę znów modły,
Widzę wasz świeży śnieg,
I z rozrzewnieniem witam was, jodły,
Witam was, świerki, witam was, sosny —
Powracający zbieg!

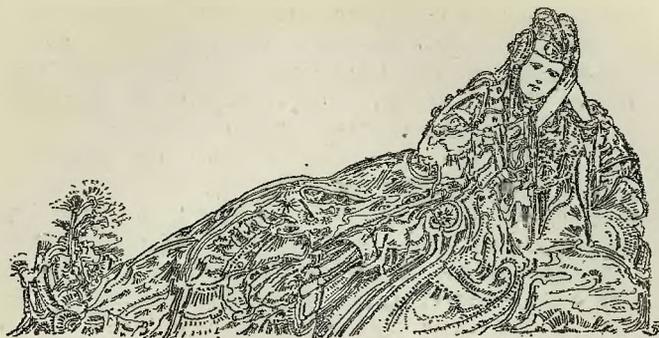
Choć kołysały mnie morskie fale,
Pieściły palmy wzrok,
Obraz wasz w drodze ścigał mnie stale, —
I teraz znowu witam radosny
Wasz miły serec mrok.

I już mniej żal mi Nilu wybrzeży,
Przybranych w gaje palm,
Odkąd poczułem wasz powiew świeży,
Odkąd mnie doszedł za ziemię naszą
Wasz nieastanny psalm.

Już bohaterów błysły mogiły,
Widzę już Kraków mój!
Nowe do duszy wpływają siły...
Zdrowie twe, Ziemio, twej wody czasą!
W niej nowy życia zdroj.

WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.

Dojeżdżając do Krakowa,
12 stycznia 1911 r.



Przeglądy i sprawozdania.

Zygmunt Wasilewski: **Seweryn Goszczyński w Galicji**, nieznanne pamiętniki, listy, utwory, 1832—1842. Lwów, nakład „Słowa polskiego“, 1910, str. 160.

Wydawca spuścizny po Goszczyńskim od dłuższego już czasu pracuje nad kompletnym wydaniem dzieł tego wielkiej miary poety ukraińskiego. Świeżo wydany tom części jego spuścizny obejmuje trzy części: „Wspomnienia Goszczyńskiego“ z lat 1832—1842, „Pro-roctwa ks. Marka“, poemat z r. 1833, wreszcie „Memorjał i Korespondencję z Tow. demokratycznym“. Są to ciekawe i bogate przy-czynki zarówno do biografji literackiej poety, jak i do charakteru jego twórczości, wogóle zaś do politycznego stanu i nastroju spo-łeczeństwa galicyjskiego. Słusznie bardzo ocenia go p. Wasilewski, mówiąc, że „jest to jedna z najtęższych postaci polskich wieku XIX“, że jest w niej „wiele z krwi i ducha narodu całego. Trudno spot-kać człowieka, któryby tak wiernie czas swój wyrażał, jak Goszczyń-ski“. W krótkich słowach jest to, można śmiało powiedzieć, świetny rzut charakterystyki, jaka się da uzasadnić na kanwie tej syntezy. W notatkach, listach, a nawet utworach poetyckich, zebranych w pe-wną całość przez wydawcę, znajduje się materiał pierwszorzędný historyczny do dziejów emigracji z „rewolucji“—jak autor niesłusznie pisze.

Nie będziemy ani analizować, ani oceniać wartości historycznej tego materiału. Zajmie się tem niewątpliwie ten, kto będzie pisać dzieje emigracji polskiej, traktując je szerzej i wszechstronniej, niż to uczynił Gadon. Pragnę tylko zastanowić się pokrótce nad poematem p. t. „Proroctwa ks. Marka“ (1833), a mówiąc ściślej—nad genezą jego. Powstanie każdej idei, a tembardziej pomysłu wielkiego poematu, którego bohaterem jest naród, musi wypływać z wielorakich warunków i impulsów, oddziaływających na poetę. Czytelnicy mogą oceniać już tylko pewną całość, gdy praca i natężenie ducha, które ją wywołały, bądź sięga dawniejszych czasów pomysłem, bądź stanowi cząstkę dawnej pracy. P. Wasilewski uważa ten poemat za jednolitą całość, opierając swój domysł na bardzo kruchej podstawie. Oryginalny rękopis tego poematu nie doszedł do nas. Ten zaś, którym posiłkował się wydawca, sporządzony jest najwidoczniej ręką A. Bielowskiego—tak wynika z zestawienia z jego listami“. Tą samą ręką przepisane są w innym zeszyciku, dawniej mi (wydawcy) znanym, szczątki „Kościeliska“. Takie same arkusiki, ten sam papier, ten sam atrament. Widocznie „Proroctwa ks. Marka“ jednocześnie były komponowane z „Kościeliskiem“, a Bielowski, idąc z pomocą Goszczyńskiemu i pragnąc zapewnić sobie poematy do „Ziewońji“, przepisał je porządnie z bruljonów, z których śladu nie pozostało“.

Z tego, co p. Wasilewski powiedział, wynika, że „Proroctwa ks. Marka“, a właściwie tylko fragment p. t. „Łomnica“, w takiej formie, w jakiej je ogłosił, mogły być przepisane jednocześnie, ale nie były w całości komponowane jednocześnie z „Kościeliskiem“, i posiadamy na to dowody, że „Proroctwa ks. Marka“, jak każdy wielki poemat, tworzyły się powoli, że dawne, niekiedy w młodości powstałe fragmenty wchodziły w skład tego poematu i że wiązanie tych fragmentów widocznem jest w układzie poematu. Te same arkusiki (co do formatu), ten sam papier i ten sam atrament „mogą być tylko dowodem, że poemat został przepisany mniej więcej jednocześnie, ale wcale dowodem nie są, że poemat—w całości—został jednocześnie z „Kościeliskiem“ komponowany“ — jak chce wydawca.

Trudno przypuścić razem z p. W. na podstawie jedynie tej, że Goszczyński mieszkał czas jakiś w Paryżu ze Słowackim, że „Książd Marek“ i „Sen srebrny Salomei“ powstały z ziaren, wrzuconych w duszę Słowackiego przez autora „Zamku Kaniowskiego“ i „Proroctw ks. Marka“. Śladów tego wpływu w korespondencji Słowackiego nie znajdujemy; nie spotykamy także w korespondencji Zales-

kiego Bohdana, który był uważany na emigracji za typowego przedstawiciela poezji ukraińskiej. Prawdopodobnie będzie przypisać, że „ziarna, rzucone w duszę Słowackiego“, jak i w duszę Goszczyńskiego, podały nie z cudzej głowy i serca, lecz ze smutnych dziejów Ukrainy, które obaj poeci znali dobrze i odczuwali dobrze. Poszli też obaj różnemi drogami, bo były to dwie bardzo różne potęgi, dwa bardzo odmienne umysły, to też jeden przedstawiał dramat duszy ludzkiej, a drugi ideę dramatyczną narodu, wijącą się przez dzieje. Każdy pozostał sobą, nie potrzebowali się wzajemnie zapożyczać. Tem łatwiej można to przypuszczenie zrobić, że o ks. Marku miał Goszczyński relacje ustne, jak świadczy jego notatka: „wypadek mojego nauczyciela z ks. Markiem“. (Wiadomości o ks. Marku, str. 37).

Jeżeli geneza pomysłu poematu „Proroctwa ks. Marka“ nie da się ściśle oznaczyć co do czasu, co do zbudzenia się idei przewodniej tego poematu, to zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że impulsy, które później poemat zrodziły, bardzo wczesnie a głęboko poruszały duszę poety, wywołując nie tylko nastrój, lecz i objawy tego nastroju, ujęte już w formę poetyczną. W pokoleniu wspólnym S. Goszczyńskiemu idea jedności ojczyzny była jeszcze faktem prawie żywym, uczucie gwałtu, dokonanego przez sąsiednie mocarstwa, jakoteż uczucie krzywdy państwa i narodu polskiego, były zbyt świeże. Czas jeszcze nie zacierał wrażeń. To też u wszystkich mniej lub więcej znakomitych poetów owej epoki uczucia te wybuchały gwałtownie a niezależnie od indywidualizmu tego lub innego pisarza. Na Litwie zabrzmiał głos Mickiewicza, Słowacki był dzieckiem Wołynia, Goszczyński i Zaleski — Ukrainy, Krasieński — gniazdowej Polski. U Goszczyńskiego od wczesnej młodości nata napięcia patriotycznego była potężną, świadomością krzywdy i przemocy—jasną. Na Ukrainie, przed rokiem 1840, ogniskiem patriotycznego podniecenia był dom Jana Krechowickiego w Leszczynówce. Tu znaleźli się także i Goszczyński.

Jakiż to związek mieć może z genezą poematu „Proroctwa ks. Marka? Zaraz zobaczymy,

Nie będę wchodzić w treść artystyczną tego poematu, ani jej oceniać. Chodził mi o ideę w nim wyrażoną, o to, że po „Sobótce“ nie nastąpiły bezpośrednio „Proroctwa ks. Marka“, jak przypuszcza p. W., lecz że fragmenty, które później weszły do poematu, napisane zostały przed r. 1830, w domu Jana Krechowickiego, pod świeżym wpływem przemocy, spełnionej na państwie polskiem.

Ażeby to sprawdzić, musimy się odwołać do „Pamiętników“ Kaspra Pokrzywnickiego, kolegi szkolnego z Humania Goszczyń-

skiego, których szanowny wydawca nie uwzględnił. Rozpatrzmy je krytycznie, o ile związek mieć mogą z „Prorocstwami ks. Marka“.

Wysoką wartość tego poematu słusznie bardzo ocenia p. W, „Odnalezienie jego — mówi — jest dla historii romantyzmu naszego wypadkiem pierwszorzędno znaczenia. Na przytoczonych ułamkach tego poematu, można robić studja w celu zbadania, jak rozrastała się dusza ówczesnego poety pod wpływem wypadków w kraju i oddalenia od miejsc rodzinnych, a zarazem jak łączyły się w jeden związek psychiczny pierwiastki poetyckie, znane z dawniejszych utworów (amiłowanie przyrody i religijny stosunek do wszechświata, pociąg do rodzinności i historycyzm, uczucie patriotyczne i demokratyczność), z rodzącym się na emigracji podziwem dla Polski i mogiłnym acz nie beznadziejnym żalem po upadku sprawy. Na poezji z tego czasu możemy śledzić głębię i naturę wezbranych wówczas uczuć narodu, oraz falowanie wytrąconej z równowagi myśli (34). Wartość ta polegała nie tylko na artystycznych przymiotach i filozoficznej idei poematu, ale także na wysokiem napięciu patriotycznego uczucia, które stawało się niekiedy albo istotnie proroczem widzeniem przyszłości, albo piorunem słowem zbolełego Jeremjasza, wołającego na sąd krzywdzicieli: — „wychodźcie, narody, do miary i wagi“.

Treścią tego poematu jest apoteoza Polski, bohaterem — naród. Nie będę zapoznawał czytelnika z tą treścią, nie będę wiódł go przez drogi narodowego dramatu, zaznaczone w poemacie. Wymaga to osobnego studjum, może nawet porównawczego, chociażby dlatego, ażeby wykazać, że Goszczyński „nie gorzał wcale światłem Mickiewicza“ (84), że w „Prorocztwach ks. Marka“ niema refleksów „Dziadów“ (85). Jest to poeta, mniejszej miary artystycznej niż Mickiewicz, ale tak nawskroś samodzielny, iż w tym wypadku źródła natchnienia mogły być i będą w samej rzeczy wspólne: ogólne położenie kraju i rozpacz głęboko czującej a bezsilnej duszy poetów. Innej wspólności z „Dziadami“ nie może być choćby już z tego względu, że poemat ten ukazał się w Paryżu w r. 1882, a „Prorocztwa ks. Marka“, jako „pomysł“, poeta zanotował pod rokiem 1883

„Studja i szkice historyczne“. Serja I. Lwów, 1903, str. 289 i n. n. („Młodzieńcze utwory“ Sew. Goszczyńskiego. Urywek z „Pamiętników“ Kaspra Pokrzywnickiego. Str. 295, 296, 297).

(24)¹⁾. Wątpić należy, czy w tym czasie znał nawet paryskie wydanie „Dziadów“, jeżeli zważywszy, że książki przychodziły z trudnością, szczególnie z zagranicy, i że Goszczyński całkowicie był pochłonięty agitacją polityczną i podróżami w tym celu.

Plan do poematu, jaki sobie zakresił poeta, był, można powiedzieć, olbrzymi. Miał to być raczej szereg poematów (41), niż jeden poemat, a wszystkie połączone wspólną ideą przewodnią.

Poeta zdołał napisać tylko małą cząstkę ze swego szerokiego tematu, dał tylko fragment jeden p. t. „Tajemnica“, ale fragment potężny natchnieniem i siłą ekspresji.

Kiedyż rzeczywście mógł powstać ten fragment i czy jednorazowo został napisany w całości? P. Wasilewski sądzi, że tak, ale dowodu na to nie ma, bo nie znał wcale autografu i niewiadomo, czy się on kiedy odszuka. Gdyby się nawet odszukał—fakt ten nie byłby wcale rozstrzygającym.

Rzadko kiedy poemat — mówię o wielkich pomysłach — powstał jednorazowo. Nie trzeba tego dowodzić. Wiemy, jak powstawały „Dziady“, „Beniowski“, „Król-Duch“ i inne. Im plan jest szerszy, im myśl, mająca go wypełnić, jest głębsza, tem większą być musi praca ducha nad jej rzeczywistnieniem. Całość składa się powoli i nieraz do dzieła umysłu dojrzałego wchodzi pomysł lub okruchy dawniejsze.

O ile to się da zastosować do „Łomnicy“, jako cząstki wielkiego poematu — „Proroctwa ks. Marka“? Trudno rzec. Dadzą się jednak w niej odszukać części składowe, należące do epoki wcześniejszej.

Kasper Pokrzywnicki, o którym już wspomniałem, w „Pamiętniku“ swoim pisze: „w Leszczynówce w powiecie Humańskim, należącej wówczas do Jana Krechowickiego, (Goszczyński) po większej części przebywał“—a było to przed r. 1839—gdzie się, śmiało mogę powiedzieć, zbierał kwiat młodzieży polskiej, idącej z duchem czasu,

¹⁾ Ustęp „Wspomnienia“. Jeżeli w notatce swojej Goszczyński trzymał się porządku chronologicznego, co byłoby rzeczą zupełnie prawdopodobną, to, pisząc w Hoszanach na początku r. 1832 „Proroctwa ks. Marka, z największą pewnością „Dziadów“ nie znał. Ze względu na ówczesne środki komunikacyjne była to rzecz nie możliwa. W innym miejscu pod r. 1833 stwierdzają wyraźnie, że z Łubienia w zimie, sankami wyjechał do Hoszan (21, 22).

ładzi czynu, gotowych do poświęceń. *W tym czasie* Goszczyński napisał piękny wiersz p. t. „Konstytucja 3 Maja“. Ponieważ nigdzie w druku nie spotykałem go, tu wypisuję, jako naszą narodową własność, bojąc się, aby nie zaginął. Przywiózł mi ją były profesor literatury ks. Atanazy Telczyński, należący całkowicie do naszego kółka“.

Z tego to wynikało, że wiersz p. t. „Konstytucja 3 Maja“ by napisany przed r. 1830 — „w tym to czasie“, gdyż po r. 1830 już się nie zbierano w Leszczynówce; że ks. Telczyński przywiózł wiersz z Leszczynówki, gdzie się „kółko“ zbierało. Można by przypuścić, że wiersz ów dostał się z Galicji na Ukrainę, ale podstawy do tego nie ma żadnej. Goszczyński, który w swoim pamiętniczku zapisuje szczegółowo, gdzie był i z kim się widział, ani jednego nazwiska z Ukrainy nie zapisuje, z nikim się nie styka. Czy to ostrożność? Nie. Równe niebezpieczeństwo było i w Galicji, a jednak zapisuje mnóstwo nazwisk miejscowych. Poprostu stosunki z Ukrainą były przez czas jakiś przerwane zupełnie.

Cóż to za wiersz? Nie będę go powtarzać. Zapisany jest w „Pamiętnikach“ K. Pokrzywnickiego. Ale odnajdujemy go także z bardzo małemi odmiankami w fragmencie „Łomnica“, od wyrazów: „w świeżości wdzięków dziewica rozkryła się i zachwyca“ i zakończony wyrazami: „wolność, równość, niepodległość“ (61, 62).

Skąd się ten ustęp wziął w poemacie „Łomnica“, skoro pod tytułem „Konstytucja 3 Maja“ znany był na Ukrainie przed r. 1830? Oczywiście, że nie był napisany równocześnie z ustępem „Łomnica“, lecz był włączony do tego ustępu. Skoro przecie zarysował się jasno plan wielkiego dzieła poetyckiego, którego bohaterem miał być naród polski, w trakcie pisania przypomniał mu się ów wiersz, wygłoszony przed kilkoma laty na Ukrainie, w Leszczynówce, a ponieważ on sam przez się stanowił cząstkę poematu, którego „Łomnica“ miała być fragmentem tylko, włączył go przeto w miejscu właściwym do „Łomnicy“.

Ale uczuwa się tu jeszcze jeden domysł — nic innego, jak domysł tylko — czy plan do poematu, skryształizowany poniekąd w r. 1833, nie powstał także na Ukrainie przed r. 1839?

Wogóle żałować należy, że p. W. jako wydawca „Prorocत्व ks. Marka“, względnie „Łomnicy“, nie rozpatrzył krytycznie tego pomysłu, nie ocenił go wszechstronnie, nie oświetlił i nie dał poznać treści poematu, a tem samem nie pozwolił lepiej poznać umy-

słowości poety. W każdym razie jednak jest to materiał dla historyka literatury i emigracji z r. 1831 bardzo ciekawy, ważny i pierwszorzędny o ile obejmuje samą działalność polityczną Goszczyńskiego. Drobne asterki sprostować łatwo. Prawdopodobnie wypadnie czytać zamiast „Hermanowie“ — Hermanowice, zamiast „Założcie“ — Założce.

Franciszek Rawita-Gawroński.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Prenumeratoroe „Biblioteki Sfinksa“. Dwa pierwsze tomy „Biblioteki Slinksa („O literaturze polskiej w wieku XIX“ Mochnackiego z przedmową A. Drogoszewskiego i pierwsza część „Jana-Krzysztofa“ Rollanda w przekładzie p. Jadwigi Sienkiewiczówny) są już gotowe i w tych dniach rozesłane zostaną Prenumeratorom. Opóźnienie nastąpiło z powodów formalnych, gdyż koncesję na to wydawnictwo doręczono nam dopiero przed paroma dniami. Redaktorką i wydawczynią jest p. Marja Bakowińska. Komitet redakcyjny składają: Wł. Bakowiński, Ign. Chrzanowski, A. Drogoszewski, Ign. Matuszewski, R. Radziwiłłowicz i Stefan Żeromski.

Panu K. S. i innym pytającym. Redaktor „Slinksa“ musiał na parę tygodni wyjechać z Warszawy i bawił od niej dosyć daleko. Z tego powodu w zeszyte grudniowym zdarzyło się parę niedokładności, zeszyt styczniowy uległ opóźnieniu, a niektóre listy dłużej niż zwykle czekają na odpowiedź. Obecnie powrócił już i przyjmuje w Redakcji (Hortensja 4) we czwartki od 6-ej do 7½ po południu.

Pani E. D. Redakcja nasza tyle otrzymuje rękopisów, że musielibyśmy dziesięciokrotnie powiększyć format „Slinksa“, chcąc wszystkie drukować. Wybieramy te, które wydają nam się najodpowiedniejszemi ze względu na treść swą i formę, a protekcji autorom i autorkom udziela przedewszystkiem — talent ich własny. Pretensja Sz. Pani, że na odpowiedź w sprawie dłuższego utworu czekała „aż dwa miesiące“ i że otrzymała ją bez amotywowania, dlaczego z dzieła Jej nie skorzystamy, — nie wydaje nam się uzasadnioną. Motywować szczegółowo odmowy każdej niepodobna. Czytelnicy nasi dosyć często nadsyłają nam próby swego talentu, a gdy ich drukować nie możemy — przestają prenumerować „Slinksa“. „Literaci“ niektórzy, o ile mają na usługi organ inny, zaczynają w tym wypadku występować w nim przeciwko „Slinksowi“ i szkalują zawzięcie wydawnictwo, którego filarami zostać im się nie udało. Znana historyka. Jaka szkoda, że jedni i drudzy nie czytali, zdaje się, pewnego listu Cyprjana Godebskiego do redaktora „Pamiętnika Warszawskiego“. Zasłużony i talentowany autor „Wiersza do legjów polskich“, nadsyłając utwór swój do tego wydawnictwa, pisał: „Jeżeli ten owoc dorywczej pracy zostanie przyjętym od W. M. Pana, cieszyć się będę bardzo, a jeszcze bardziej, gdy dla naciska wielu lepszych odmówisz mu miejsca“. Dziś zmieniły się stosunki, a początkujący zwłaszcza autorowie i autorki uważają utwory swoje za — najgodniejsze druku.

Odezwa Komisji literackiej Akad. Umiejęt.

Komisja dla dziejów literatury i oświaty w Polsce, t. zw. Komisja Literacka Akademii Umiejętności w Krakowie, ma zamiar wydać dokładny spis wszystkich bibliotek i archiwów publicznych i prywatnych, znajdujących się na ziemiach, które przed r. 1772 państwo polskie stanowiły, oraz istniejących gdzieindziej, lecz zawierających w znacznej części rzeczy polskie, lub będących w rękach polskich.

Spis ten ma zastąpić przestarzałą i pod wieloma względami już niedostateczną „Wiadomość historyczno-statystyczną o znakomitszych bibliotekach i archiwach publicznych i prywatnych... w Królestwie Polskiem, Galicji, W. Ks. Poznańskiem i zachodnich guberniach Państwa Rosyjskiego“, ułożoną przez Franciszka Radziszewskiego (Kraków, 1875).

Pożądaną są tedy treściwe informacje o bibliotekach i archiwach rządowych, i prowincjonalnych, urzędów i innych organizacji państwowych, wszelkich instytucji duchownych wszystkich wyznań, i narodowości, kościołów, klasztorów, cerkwi, synagog, gmin wyznaniowych i t. d., miejskich, gminnych, szkół wszelkiego stopnia, zakładów i towarzystw naukowych, literackich i artystycznych — oraz i przedewszystkiem informacje o bibliotekach i archiwach rodzinnych i prywatnych.

Upraszamy zatem najuprzejmiej wszystkich P. T. Właścicieli, i Kierowników bibliotek i archiwów, tudzież wszystkich miłośników nauki i literatury o łaskawe nadsyłanie wiadomości pod adresem: **Dr. Józef Korzeniowski**, sekretarz Komisji Literackiej, Akademii Umiejętności, Kraków.

Wszystkie pisma polskie prosimy o przedrukowanie tej odezwy.

W Krakowie, w listopadzie 1910 r.

Sekretarz Komisji Literackiej



J. Korzeniowski.

„ZIEMIA“

Tygodnik ilustrowany krajoznawczy
wychodzi w Warszawie od 1 stycznia 1910 r.

pod redakcją

KAZIMIERZA KULWIECIA,

jako organ **POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO.**

Stając na niezajętej dotychczas placówce czasopiśmiennictwa polskiego, „ZIEMIA“ postawiła sobie za zadanie szerzyć znajomość kraju ojczystego w formie przystępnej, dokładnej i barwnej.

„ZIEMIA“ obejmuje możliwie szeroko pojęty całokształt zjawisk, wchodzących w zakres krajoznawstwa, interesuje się równie lizjografią kraju, która jest podłożem jego dachowej kultury, jak i tem wszystkim, co człowiek żywy, co pokolenia ubiegłe w pracy rąk swoich, w tradzie myśli i woli wysiłku pozostawiły.

Zaliczając do grona przyjaciół i współpracowników swoich ludzi o znanej i wypróbowanej wartości naukowej, „ZIEMIA“ daje rękojmię, że treścią swą wznosić się będzie coraz wyżej ku szczytom swego zadania.

Z drugiej strony w szeregu drobnych przyczynków, nadsyłanych przez ludzi, obeznanych ze sprawami i zjawiskami miejscowymi, „ZIEMIA“ wyświetla niejedną szczegół, nieawzględniany dotychczas w najbardziej nawet szczegółowych monografiach.

„ZIEMIA“ jest obficie i pięknie illastrowana, kładąc wogóle nacisk na schludną i wykwinną szatę zewnętrzną.

Z rzeczy obcych daje „ZIEMIA“ — dla urozmaicenia i porównania — przekłady lub streszczenia prac wszechświatowej doniosłości, oraz krótsze, alotne wrażenia pisarzy polskich.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI:

Warszawa, Aleje Jerozolimskie Nr. 29 — 1.

Filja Administracji „ZIEMI“ na Galicję — **Kraków, ulica Felicjanek 11 — II p.**

PRZEDPŁATA W WARSZAWIE:

Rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2 kop. 50. Za odnoszenie do domu dopłaca się ~~15 kop.~~ kwartalnie.

Z PRZEŚYŁKĄ POCZTOWĄ:

Rocznie rb. 6 kop. 50, półrocznie rb. 3 kop. 30, kwartalnie rb. 1 kop. 85.

Za granicą: rocznie rb. 8 (20 koron, 18 marek, 22 franki).

Cena numeru pojedynczego 15 kop.

CENA OGŁOSZEŃ:

Za wiersz jednoszpaltowy petita na I-ej stronie okładki 50 kop.;
na trzech pozostałych 15 kop.

Nadesłane na ostatniej stronie teksta za wiersz petita 60 kop.

„ŻYCIĘ”

tygodnik polityczny, społeczny i literacki

pod redakcją

Gustawa Daniłowskiego

Wydawcy radni m. Lwowa **dr. Al. Lisiewicz i H. Śliwiński.**

„Życie” staży sprawie Polski, demokracji, postępu.

Zamieściło dotąd lub zamieści w najbliższym czasie prace: Gustawa Daniłowskiego, Wilhelma Feldmana, Tadeusza Gruzewskiego, Władysława Gampłowicza, Marji Konopnickiej, Marji Markowskiej, Romualda Minkiewicza, Izy Moszczeńskiej, Andrzeja Niemojewskiego, Savitri, Wacława Sieroszewskiego, Artura Śliwińskiego, Michała Sokolnickiego, Konstantego Srokowskiego, Andrzeja Struga, Stefana Żeromskiego i wielu innych.

Każdy zeszyt bogato zdobiony.

Redakcja i administracja we Lwowie ul. Dwernickiego 11A.

Prenumerata wraz z przesyłką pocztową kwart. rb. 3, półroczna rb. 6, roczna rb. 12

WILLA WANDA

Pensjonat polski w HELUANIE POD KAIREM

Własność Wandy Bilińskiej.

Sezon od 15 października do 15 maja.

Pokój z całodziennem utrzymaniem, oświetleniem elektrycznem, usługą, pościelą i wszelkimi wygodami od rb. 3 kop. 50 do rb. 6 dziennie, zależnie od rozmiarów i położenia pokoju.

Willa Wanda w roku bieżącym ponownie rozszerzona i upiększona.

Przy willi ogród powiększony.

Informacji bliższych udziela Zarząd willi:

**Egypte, Hélouan les Bains,
Madame Wanda de Bilińska.**

Redaktor i Wydawca: **WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.**

Druk A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego, Erywańska Nr. 2-4.

Od stycznia roku 1911
wychodzić zaczęło niezależnie od „SFINKSA“
miesięczne wydawnictwo książkowe p. t.

„BIBLIOTEKA SFINKSA”

pod kierunkiem literackim

**Władysława Bukowińskiego, Ignacego Chrzanowskiego,
Ludwika Drogoszewskiego, Ignacego Matuszewskiego, Rafała Radziwiłłowicza
i Stefana Żeromskiego.**

2 tomów rocznie (od 12 do 15 arkuszy w tomie) wyborowych utworów
beletrystycznych, oraz studjów literackich, artystycznych i naukowych.

Prenumerata w Warszawie: rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3, kwartał-
alnie rb. 1 kop. 50.

Z przesyłką pocztową w Królestwie i Cesarstwie: rocznie rb. 7,
półrocznie rb. 3 kop. 50, kwartałalnie rb. 1 kop. 75.

Z przesyłką pocztową zagranicę: rocznie rb. 8, półrocznie rb. 4,
kwartałalnie rb. 2.

DLA PRENUMERATORÓW „SFINKSA”

prenumerata

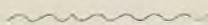
„BIBLIOTEKI SFINKSA”

wynosi:

w Warszawie: rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartałalnie rb. 1;

z przesyłką pocztową w Królestwie i Cesarstwie: rocznie rb. 5
półrocznie rb. 2 kop. 50, kwartałalnie rb. 1 kop. 75;

z przesyłką pocztową zagranicę: rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3
kwartałalnie rb. 1 kop. 50.



Pierwsze dwa tomy „Biblioteki Sfinksa“ („O literaturze polskiej w w. XIX“
M. Mochnackiego z przedmową A. Drogoszewskiego i „Świt“ Romain
Rollanda, w przekładzie J. Sienkiewiczówny) rozsyłamy w przyszłym ty-
godniu. Dalsze tomy w druku.

Redaktorka i wydawczyni: **Marja Bukowińska.**

W ADMINISTRACJI „SFINKSA“ I W KSIĘGARNIACH

są do nabycia:

PISMA WŁ. BUKOWIŃSKIEGO:

„Z marzeń i życia“	rb. 1 kop.	20
„Nowy zeszyt“	” — ”	75
„Na greckiej fali“ (poemat)	” — ”	30
„Poeta melodji i głębin i Poetka Idei“ (rzecz o Kononickiej i Asnyku)	” — ”	75
Świeżo wydany wykwiłtnie poemat „ECHA“	” — ”	80

Inne wydawnictwa „SFINKSA“

lub dzieła w większej ilości posiadane:

- Ign. Matuszewski.** „Król Dach czy „Królowie Dachy?“ (przyczynek do wyjaśnienia niektórych punktów epepei Słowackiego) z 2 portretami Słowackiego, k. 50.
- Cyprjan Norwid.** Odezyty o Słowackim k. 60.
- Henryk Heine.** „Pieśni współczesne“, przekład Wł. Nawrockiego kop. 45.
- Bernard Kellerman.** „Ingeborga“ powieść (przekład Br. Neufeldówny), k. 75.

Prenumeratorzy „SFINKSA“, nabywający powyższe wydawnictwa bezpośrednio w Administracji naszej, otrzymują 25% odstępnstwa. Na przesyłkę do każdego rubla dołączyć należy kop. 15.

Portret Juliusza Słowackiego, akwaforta Franciszka Siedleckiego, odbita na papierze holenderskim. Cena księgarska rb. 3, dla prenumeratorów „Sfinksa“ rb. 1 kop. 50.

Kilku ostatnich egzemplarzy tego portreta na papierze japońskim — cena księgarska rb. 10, dla Prenumeratorów rb. 7 kop. 50.

Przedpłatę przysyłać najlepiej **wprost** do Administracji naszej (**Hortensja 4**) w Warszawie.

Prenumerata „SFINKSA“ wynosi rb. 8 rocznie, rb. 4 półrocznie i rb. 2 kwartalnie w Warszawie, a rb. 9 rocznie, rb. 4 kop. 50 półrocznie i rb. 2 kop. 50 kwartalnie z przesyłką pocztową w Królestwie i Cesarstwie.

Prenumerata „SFINKSA“ zagranicą wynosi (z przesyłką rekomendowaną) rb. 11 rocznie, rb. 5½ półrocznie i rb. 2 kop. 75 kwartalnie.

Cena ogłoszeń w „SFINKSIE“: w rubryce *przed tekstem* i na okładce kop. 60, w rubryce *po tekście* kop. 40, 30 i 20 za duży wiersz petitowy lub jego miejsce.

Cała strona: przed tekstem i na okładce rb. 60, po tekście rb. 40, 30 i 20. Pół i ćwierć strony w tym samym stosunku.

Na obwołacie: cała strona rb. 75, ½ str. rb. 40, ¼ str. rb. 25. Wiersz petitowy lub jego miejsce rb. 1.

Jan Kleczyński. Rzeźba współczesna, k. 60
Portret barwny Aleksandra Świętochowskiego (według pastelu K. Mordasewicza), k. 60.

8 portrecików (Mickiewicz, Słowacki, Norwid, Asnyk, Konopnicka, Wyspiański, Żeromski, Kasprowiez). Cena za wszystkie razem kop. 80.

Prof. M. Karejew. „Podręcznik historii wieków średnich“ (przekład M. Bukowińskiej), rb. 1 kop. 20.

Dr. Fryderyk Kirchner. „Katechizm historii filozofji“ (przeł. dr. K. Krauz), rb. 2.

J. M. Baldwin. Życie społeczne i moralne, rb. 2.

J. Simmel. Filozofja pieniądza (przekład Leo Belmonta), rs. 2.

A. V. Dicey. Wstęp do nauki o prawie konstytucyjnym, rb. 2.

Kazimierz Krauz. Socjologiczne prawo retrospekcji, kop. 30.

Edward Abramowski. Dusza i ciało, rb. 1 kop. 50.

Operę, operetkę, koncert, wieczór śmiechu

można mieć w domu, nabywając ulepszony gramofon z drewnianą tabą wyrobu angielskiego.

Płyty w wykonaniu najwybitniejszych artystów świata: Patti, Kochańskiej, Barrientos, Galvani, Carusa, Anselmiego, Bonci, Battistiniego, Didura, Dygasa, Kubelika, orkiestr symfonicznych i t. p.

Operetki w wyk. Kaweckiej, Messal, Tracikiewicz, Bielskiej, Redo, SzczaWińskiego, Rapackiego i innych. Cygańska miłość, Luxemburg, Rozwódka, Kryśia, Bohaterowie, Czar walca i w. in.

Specjalnie możemy polecić ostatnie wspaniałe nagrania prof. **BARCEWICZA**, które są do nabycia wyłącznie w naszym składzie.

Melodekiamacje: Wzywacie Boga, Dzwony Ujejskiego, Preludjum Chopina i in.

Orkiestry cygańskie z Budapesztu pod dyr. nadwornego skrzypka **Berkes**: Banfy walc, Hopia hop, walc z Rozwódki, walc z Cygańskiej miłości, Catus nie grzech, Kryśia leśniczanka.

Bogaty asortyment instrumentów mazyecznych, stran oraz przyborów, tylko z najcenniejszych źródeł — **POLECA**

Skład Instrumentów mazyecznych i ulepszonych gramofonów

B. RUDZKI

Warszawa, ulica Marszałkowska № 87

Zamówienia z prowincji odwrotną pocztą za zaliczeniem.



WIDNOKRĘGI

Dwutygodnik, poświęcony sprawom kultury polskiej, wychodzi we Lwowie

pod redakcją:

Bronisława i Leona Biegeleisenów, Tadeusza Dąbrowskiego, Józeta Jedlicza,

Marjana Olszewskiego i Ludomira Różyckiego.

„Widnokreghi“ dają szereg rozpraw ze wszystkich działów kultury narodowej, pióra wybitniejszych sił publicystycznych polskich. Zasadą pisma jest umiłowanie kraju, troska o zdrowy, niezaciemniony doktrynerstwem rozwój całokształtu życia polskiego.

„Widnokreghi“ podają artykuły z zakresu filozofji, spraw społecznych, literatury, teatru, muzyki i sztuk plastycznych. Każdy zeszyt ponadto mieści utwory belletrystyczne (poezje, nowele, dramaty i t. d.), oraz urozmaicone przeglądy.

Bardzo niska prenumerata wynosi:

Kwartalnie: 1 rb. 50 kop. — 2 kor. 70 gr. — 2 m. 50 fen.

Półrocznie: 3 rb. — 5 kor. 40 gr. — 5 m.

Rocznie: 6 rb. — 10 kor. 80 gr. — 10 m.

Adres administracji: Lwów, Czarneckego 3. Adres redakcji: Lwów, Św. Marka 6.

„WYCHOWANIE

W DOMU i SZKOLE“,

wychodzi rocznie w 10 zeszytach, co miesiąc z wyjątkiem czerwea i lipca.

Całość dziesięciu zeszytów stanowi rocznik.

Oprócz rozpraw w szerokim zakresie wychowania domowego i szkolnego, stanowiących dział naukowo-pedagogiczny, „Wychowanie“ zawierać będzie nadto równoległe dział sprawozdawczo-informacyjny, na który składają się:

— Informacje i sprawozdania z higieny szkolnej i domowej.

— Sprawozdania z ruchu pedagogicznego w kraju i zagranicą. — Informacje i sprawozdania ze szkolnictwa ludowego.

— Sprawozdania ze zjazdów pedagogicznych.

— Krytyczne oceny rozpraw pedagogicznych i podręczników szkolnych. — Bibliografia pedagogiczna.

— Sprawozdania z działalności stowarzyszeń pedagogicznych oraz informacje osobiste. — Korespondencje z rodzicami i wychowawcami, materiały do pogadarek i informacje z dziedziny nauczania elementarnego i t. p.

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2 kop. 50,
kwartalnie rb. 1 kop. 25.

Z przesyłką pocztową rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3,
kwartalnie rb. 1 kop. 50.

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, Al. Jerozolimska 29.

Wydawnictwa GEBETHNERA i WOLFFA.
NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!

Józef Weyssenhoff

H E T M A N I

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

nigdzie nie drukowana. Cena rb. 2.

Tegoż autora poprzednio wydane:

Dni polityczne. Ser. I. Narodziny działacza (rok 1905). 1.—

Ser. II. W ognia (rok 1905—6). 1.—

Sprawa Dotęgi. 1.80

Syn marnotrawny. 2.20

Ułja. Powieść litewska. 2.20

Za błękitami Z ilustr. K. Gorskiego.

Wyd. 2-gie rb. 1. W ozd. oprawie 1.40

Zaręczyny Jana Belzkiego. Z ilustr. K. Gorskigo, Wyd. 2-gie rb. 1. W ozd. opr. 1.40

Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego.

Wyd. 4-te. 1.50

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

KULTURA POLSKA

miesięcznik pod redakcją

Aleksandra Świętochowskiego.

Prenumerata: dla Członków Tow. Kultury Polskiej rb. 2 kop. 25, dla nieczłonków rb. 3 k. 25 rocznie
Nakładem sekcji etycznej T. K. P. wyszło słynne dzieło M. GUYAU

Moralność bez powinności i sankcji.

Cena rb. 1 kop. 50.

Adres: Warszawa, Krucza 9.

K R Y T Y K A

miesięcznik, poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce
pod redakcją **Wilhelma Feldmana**,
rozpoczyna trzynasty rok istnienia.

KRYTYKA jest wyrazem niezależnej myśli politycznej, kulturalnej i artystycznej, nie służy żadnej partii, lecz ogólnej idei wyzwolenia i twórczości; wszystkie prądy, w tym kierunku zdążające, a nie mogące się przejawić w innych czasopismach, znajdują w „Krytyce“ swobodny azyl. Stąd niezmierną żywotność pisma.

„KRYTYKA“ rozpada się na dwa działy. Pierwszy, społeczno-polityczny, umieszcza rozprawy zasadnicze i przegląd miesięczny życia politycznego, kulturalnego, ruchu religijnego, nowych wydawnictw. Drugi dział, artystyczny, umieszcza utwory belletrystyczne, rozprawy z dziedziny filozofii i krytyki literackiej, nado w każdym numerze Listy o literaturach obcych i charakterystykę wybitnego artysty-plastyka. Każdy numer przynosi też kilka reprodukcji dzieł artystycznych w osobnych dodatkach kartonowych. Bogaty dział informacji z dziedziny nowości książkowych, teatrów polskich, wystaw artystycznych, czyni „Krytykę“ odbiciem współczesnej umysłowości polskiej.

PRENUMERATA WYNOŚI:

Rocznie rb. 10, półrocznie rb. 5, kwartalnie rb. 2 kop. 50.

Prenumeratę uiścić najlepiej pocztą, adresując:

